

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

NORA ROBERTS

*Noene
kompozycje*

NORA ROBERTS

NOCNE KOMPOZYCJE



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co ty, do diabła, tutaj robisz?!

Maggie, klęcząc na czworakach, nie podniosła nawet głowy.

- Ciągle ta sama piosenka, C.J.?

C. J. obciągnął kaszmirowy sweter. Potrafił uczynić z zamartwiania się prawdziwą sztukę. Niepokoił się o Maggie. Ktoś musiał. Spojrzał na jej brązowe włosy związane byle jak na czubku głowy. Miała długą, wiotką szyję, była drobna, szczupła i sprawiała wrażenie kruchej. C. J. zawsze kojarzyła się z dziewiętnastowiecznymi angielskimi arystokratkami. Być może one też w swoich filigranowych, smukłych ciałach gromadziły niewyczerpane zasoby energii.

Maggie miała na sobie sprany podkoszulek i równie sprane dżinsy. I brudne ręce. C. J. przeszedł dreszcz: wiedział, do jakiej magii zdolne są te wytworne, delikatne dłonie.

Faza, pomyślał. Maggie ma fazę. Był dwa razy żonaty, miał za sobą kilka luźnych związków i zdawał sobie sprawę, że kobiety od czasu do czasu miewają humory. Musnął starannie przystrzyżone jasne wąsy. Ostrożnie, łagodnie sprowadzi Maggie z powrotem na ziemię, przywróci jej poczucie rzeczywistości.

Rozejrzał się. Wokół tylko drzewa, skały, kompletne pustkowia. Ciekawe, czy są tu niedźwiedzie, przemknęło mu przez głowę. W realnym świecie takie stwory trzyma się w zoo. Popatrując nerwowo, czy nie dojrzy między drzewami jakiegoś zagrożenia, spróbował jeszcze raz.

- Jak długo zamierzasz tak się zachowywać, Maggie?

- Niby jak, C.J.? - Miała niski, zmysłowy głos. Sprawiał, że mężczyźni marzyli, by budziła się u ich boku.

Ta dziewczyna doprowadzała go do furii. C. J. przecesał palcami świetnie ostrzyżone włosy. Co ona robi blisko pięć tysięcy kilometrów od Los Angeles, pełzając po lesie na czworakach? Czuł się za nią odpowiedzialny. Wypuścił powietrze z płuc - stary nawyk, zawsze tak robił, kiedy napotykał na opór. Negocjacje to była jego specjalność. Musi przemówić jej do rozumu. Przeształ z nogi na nogę, ostrożnie, żeby nie ubrudzić eleganckich pantofli.

- Kocham cię, maleńka. Wiesz przecież. Wracaj do domu.

Maggie odwróciła się i posłała mu uśmiech, jeden z tych, rozświetlających całą twarz. Usta, którym tylko trochę brakowało, by były za szerokie, lekko szpiczasta broda i wysokie kości policzkowe. Wielkie brązowe oczy, a w nich żywy błysk. Nie była to twarz

przyprawiająca o niemy zachwyt, a jednak, nawet teraz, bez makijażu, z umazanym ziemią policzkiem, Maggie Fitzgerald przyciągała uwagę. Była osobą ze wszech miar interesującą.

Przysiadła na ziemi, zdmuchnęła spadający na oczy kosmyk i spojrzała na zachmurzonego C. J. Wzruszał ją i śmieszył. Jedno i drugie przychodziło jej z łatwością.

- Ja też cię kocham, a teraz przestań utyskiwać jak stara baba.

- Nie masz tu nic do roboty - próbował tłumaczyć. - Po co łazisz na czworakach? Jesteś cała umorusana ziemią.

- Lubię to.

Pełen naturalności ton, jakim to powiedziała, oznaczał prawdziwe kłopoty. Gdyby krzyczała, klóciła się, łatwiej by mu z nią poszło. Nieporównanie łatwiej. Przełamać ten spokojny upór zdawało się ponad ludzkie siły. Jak wspinaczka na Mount Everest. Niebezpieczna i wyczerpująca. C. J. był mądrym człowiekiem, zmienił więc taktykę.

- Rozumiem, że chciałaś się wyrwać, odetchnąć. Nikt bardziej nie zasłużył na odpoczynek. Dlaczego nie pojedziesz na dwa tygodnie do Cancun albo nie polecisz na zakupy do Paryża?

Maggie strzepnęła resztki ziemi z bratków, które właśnie posadziła. Nie najlepiej wyglądały. Podniosła się z kolan.

- Możesz mi podać konewkę?

- Nie słuchasz tego, co mówię.

- Ależ słucham. - Wyciągnęła rękę i sama sięgnęła po konewkę. - Byłam już w Cancun, a ciuchów mam tyle, że nie wiem, co z nimi robić.

C. J. spróbował od innej strony.

- To nie tylko moje zdanie - zaczął, patrząc, jak Maggie podlewa bratki. - Wszyscy twoi znajomi, którzy dowiedzieli się o twoim pomysśle, uważają, że...

- Że mi odbiło? - podesunęła. Za dużo wody, pomyślała, widząc, jak kwiatki w oczach oklapły. Musi jeszcze dużo się nauczyć. - C.J., pomógłbyś, zamiast besztać mnie jak dziecko i namawiać do czegoś, na co nie mam najmniejszej ochoty.

- Pomóc ci? - oburzył się, jakby mu zaproponowała, że doda do najprzedniejszej whisky wody z kranu.

Maggie parsknęła śmiechem.

- Podaj mi te petunie. - Wbiła ponownie w ziemię niewielki szpadeł. - Ogrodnictwo zbliża człowieka do natury - stwierdziła sentencjonalnie.

- Nie mam ochoty zbliżyć się do natury. Zaśmiała się ponownie. Dla C. J. kontakt z naturą kończył się na wejściu do basenu z chlorowaną wodą, i to podgrzewaną, ma się

rozumieć. Jeszcze kilka miesięcy temu o sobie mogła powiedzieć to samo. Jednak znalazła inny świat, którego, zresztą, wcale nie szukała. Gdyby nie przyjechała na Wschodnie Wybrzeże, żeby pracować nad muzyką do nowego musicalu, gdyby po długich, wyczerpujących próbach nie ruszyła na południe wiedziona irracjonalnym impulsem, nigdy nie odkryłaby sennego miasteczka w Blue Ridge.

Tak naprawdę nie wiemy, gdzie jest nasze miejsce dopóty, dopóki nie natkniemy się na nie przypadkiem. Maggie jechała po prostu przed siebie i trafiła do domu.

Może to los przywiódł ją do maleńkiego Morganville u podnóża gór: kilkadziesiąt budynków, stu czterdziestu dwóch mieszkańców, kilka farm, parę samotnie stojących domów. Przy furtce jednego zobaczyła tablicę „Na sprzedaż”. Nie zastanawiała się, nie targowała, nie żywiła wątpliwości. Podpisała umowę i po miesiącu była właścicielką liczącej dwanaście akrów posiadłości oraz dwupiętrowego drewnianego domu.

Nie dziwiła się specjalnie, że znajomi mogli martwić się o stan jej umysłu. Zostawiła rezydencję z marmurami i basenem dla starego budynku i zarośniętego ogrodu. Bez oglądania się za siebie.

Przyklepała ziemię wokół petunii i przysiadła na piętach. Sadzonki wyglądały trochę lepiej niż bratki. Może zaczynała chwytać, o co chodzi.

- I co myślisz?

- Myślę, że powinnaś wrócić do Los Angeles i dokończyć muzykę.

- Pytałam o kwiaty. - Podniosła się i otrzepała dzinsy. - Pracuję nad muzyką tutaj.

- Jak możesz pracować tutaj?! - C. J. wyrzucił w górę ręce gestem, który uwielbiała, tyle było w nim teatralności. - Jak mogło przyjść ci do głowy, aby mieszkać w tej dziczy?

- Niby dlaczego w dziczy? Bo nie ma tu siłowni i butików na każdym rogu? - Chcąc złagodzić ostre słowa, ujęła C. J. pod ramię. - No dalej, weź głęboki oddech! Świeże powietrze ci nie zaszkodzi.

- Ludzie nie doceniają smogu - mruknął C. J. Był agentem Maggie, ale uważał się za jej przyjaciela. Być może był nawet jej najlepszym przyjacielem, od kiedy umarł Jeny. Znowu zmienił ton, tym razem na łagodny: - Wiem, że masz za sobą trudny okres. Może z Los Angeles wiąże się zbyt wiele bolesnych wspomnień, ale nie możesz zakopywać się na tym odludziu.

- Nie zakopuję się. - Ucisnęła dłonie C.J., zapominając, że jej są uwalane ziemią. - Pochowałam Jerry'ego prawie dwa lata temu. To zupełnie inny rozdział mojego życia, C.J., i nie ma nic wspólnego z obecną decyzją. Tu jest mój dom. Nie wiem, jak ci to inaczej wytłumaczyć. Czuję się tutaj szczęśliwsza niż kiedykolwiek w Los Angeles.

Wiedział, że wali głową w mur, ale spróbował jeszcze raz. Objął ją ramieniem, jakby była małym dzieckiem, które zbłądziło.

- Popatrz na ten dom.

Rzeczywiście budynek nie prezentował się imponująco. Farba obłaziła, w podłodze ganku brakowało kilku desek, okiennice zwisały smętnie na starych, zardzewiałych zawiasach. Ale Maggie widziała jak słońce odbija się w szybach, tworząc tęcze refleksy.

- Nie powiesz mi, że chcesz tu mieszkać.

- Trochę farby, kilka gwoździ - zbyła C. J. Dawno zrozumiała, że zewnętrzne problemy najlepiej ignorować. A te prawdziwe kryją się pod powierzchnią, nieuchwytne, nie zawsze dostrzegalne. - Ten dom ma szansę odżyć.

- Ten dom ma szansę zawalić ci się na głowę.

- W zeszłym tygodniu naprawiłam dach. Przyszedł taki jeden miejscowy i po kłopotcie.

- W promieniu kilkunastu kilometrów nie ma żadnych miejscowych. Chyba że elfy i gnomy.

- W takim razie może to był gnom. - Maggie rozprostowała zeszytniałe plecy. - Mógł mieć metr sześćdziesiąt, ale był silny jak wół - pokpiwała. - Na imię ma Bog.

- Maggie...

- Bardzo sympatyczny człowiek. Obiecał, że zajmie się wszystkimi ważniejszymi naprawami.

- W porządku. Znalazłeś gнома, który zna się na ciesiołce i zrobi ci remont. A co z tym? - C. J. zatoczył ręką, wskazując otoczenie: głązy, chwasty i gęste zarośla.

Nawet największy optymista nie mógłby nazwać kawałka gruntu „trawnikiem”. Tuż obok domu rosło przysadziste drzewo niebezpiecznie nachylone w jego stronę. Zaniedbana od lat winorośl rozkrzewiła się dziko. Wszystko tu wyrosło, jak chciało, tworząc zielone chaszczce.

- Zamek Śpiącej Królowy - szepnęła Maggie. - Będzie mi trochę przykro usuwać te zielska, ale pan Bog obiecał, że i w tym mi pomoże.

- Ma koparkę?

Maggie przechyliła głowę i uniosła brwi. Ludziom powyżej czterdziestki musiałyby przypominać teraz swoją matkę.

- Poleciał mi projektanta zieleni. Twierdzi, że Cliff Delaney jest najlepszy w całym hrabstwie. Przyjdzie dzisiaj po południu, żeby zobaczyć, co jest do zrobienia.

- Jeśli jest mądry, spojrz na wykroty, które nazywasz drogą dojazdową, i pojedzie dalej.

- Sarkasz, a jednak dojechałeś pod sam dom tym wynajętym mercedesem. - Obróciła się, zarzuciła C. J. ręce na szyję i ucałowała go. - Dziękuję, że chciało ci się lecieć tutaj z Kalifornii i że się o mnie martwisz. Nie myśl, że tego nie doceniam. - Zmierzyła mu włosy: na taki gest nikt inny nie mógłby sobie pozwolić. - Wierz mi, naprawdę wiem, co robię. A patrząc z zawodowego punktu widzenia, moja praca tylko zyska na tej zmianie.

- To się okaże - mruknął C. J. i dotknął policzka Maggie. Jest jeszcze na tyle młoda, by mieć szalone marzenia, pomyślał. I taka wzruszająca przez to, że w nie wierzy.

- Nie o twoją pracę się martwię.

- Wiem. - Głos zabrzmiał łagodniej. Maggie nigdy nie starała się panować nad swoimi uczuciami, pozwalała raczej, by one nią kierowały. - Potrzebuję spokoju, który mam tutaj. Po raz pierwszy w życiu zsiadłam z karuzeli. Rozumiesz? Czuję wreszcie twardy grunt pod nogami i bardzo mi z tym dobrze.

Znał Maggie na tyle, by wiedzieć, że w żaden sposób nie odwiedzie jej od podjętej decyzji. Może rzeczywiście powinna odpocząć?

- Muszę już jechać, jeśli mam zdążyć na samolot - powiedział. - Skoro uparłaś się tu zostać, obiecaj, że będziesz do mnie dzwoniła codziennie.

Maggie znowu go pocałowała.

- Raz w tygodniu - oznajmiła. - Za dziesięć dni będziesz miał muzykę do „Heat Dance”. - Otoczyła go ramieniem i podprowadziła do mercedesa. - Bardzo podoba mi się ten film. Jest lepszy, niż wyobrażałam sobie po przeczytaniu scenariusza. Muzyka pisze się sama.

C. J. odchrząknął i rzucił ostatnie spojrzenie na dom.

- Jeśli poczujesz się samotna...

- Nie poczuję się. - Maggie ze śmiechem popchnęła go do samochodu. - Odkryłam, jak bardzo potrafię być samowystarczalna. Leć szczęśliwie i przestań o mnie się martwić.

Słabe szanse, pomyślał i odruchowo włożył rękę do kieszeni, żeby upewnić się, czy ma aviomarin.

- Przyślij mi muzykę. Jeśli okaże się sensacyjna, może przestanę się martwić... trochę.

- Jest sensacyjna. - Cofnęła się, robiąc C. J. miejsce do wykręcenia samochodu. - Ja jestem sensacyjna! - zawołała, kiedy uruchomił silnik. - Powiedz znajomym, że postanowiłam kupić kozy i kury.

Mercedes zatrzymał się gwałtownie.

- Maggie... Parsknęła śmiechem.

- Nie teraz. Może jesienią - uspokoiła go, przerażona, że gotów wysiąść z wozu i zacząć namowy od początku. - Przyślij mi trochę czekoladek Godiva.

To już brzmi lepiej, pomyślał C.J., wrzucając bieg. Za sześć tygodni Maggie będzie z powrotem w Los Angeles. Zerknął jeszcze w lusterko wsteczne. Widział jej drobną, szczupłą postać na tle gęstwiny roślin i rozpadającego się domu. Wzdrygnął się. Tym razem jednak nie był to dreszcz obrzydzenia wobec „natury”, raczej lęk, graniczące z pewnością przeczucie, że nie będzie na tym pustkowiu bezpieczna.

Pokręcił głową i odszukał w kieszeni buteleczkę ze środkami uspokajającymi. Wszyscy mu powtarzali, że za bardzo się przejmuje.

Samotna, pomyślała Maggie, patrząc, jak mercedes podskakuje na wertepach. Nie, nie czuła się tak. Miała pewność, że nigdy nie poczuje się samotna w nowym domu. Raptem dopadły ją złe przeczucia, ale odegnała je szybko, mówiąc sobie, że to jakiś absurd.

Odwróciła się i powoli ruszyła do stojącego na wzniesieniu domu. Drzewa zaczynały dopiero puszczać pąki, ale za kilka dni dom otoczy zielona ściana. Zimą będzie tu białe - czarny pejzaż, lód na gałęziach, oblodzone głązy. Jesienią za oknami pojawi się wielobarwny kilim we wszystkich odcieniach żółci, brązów i czerwieni. Nie, nie będzie tutaj samotna.

Po raz pierwszy w życiu może odcisnąć ślad na miejscu, w którym mieszka. To wyłącznie jej miejsce. Błędy, które tu popełni, będą tylko jej błędami. Podobnie jak małe triumfy, które tu odniesie. Prasa nie będzie porównywała domku w zachodnim Marylandzie z rezydencją jej matki w Beverly Hills ani z willą ojca na południu Francji. Jeśli dopisze jej szczęście, bardzo dużo szczęścia, prasa w ogóle tu nie trafi. A ona będzie pisać muzykę i żyć spokojnie z dala od ludzi.

Jeśli stawała bez ruchu i zamykała oczy, natychmiast otaczała ją muzyka. Nie ptasie koncerty - granie powietrza w gałęziach drzew. Kiedy wyteżała słuch, dochodził cichy szmer małego potoku po drugiej stronie drogi. To była muzyka ciszy. Bogata, zorkiestrowana jak symfonia.

Miała już dość blichtru świata. Miała go dość od dawna, ale nie wiedziała, jak się z niego wyrwać. Kiedy twoje narodziny odnotowywane są przez międzynarodową prasę, gdy kolorowe magazyny zachwycają się, że zaczęłaś chodzić, powiedziałaś pierwsze słowo, możesz potem nie wiedzieć, że istnieje inne życie.

Jej matka była jedną z największych amerykańskich pieśniarek bluesowych. Ojciec, aktor dziecięcy, został uznanym reżyserem. Fani na całym świecie śledzili związek tej pary, a pojawienie się Maggie na świecie celebrowano jak narodziny księżniczki krwi. Maggie żyła jak księżniczka. Złote karuzele i białe futerka. Miała szczęście, bo rodzice ją uwielbiali tak jak siebie nawzajem. Miłość kompensowała to, co w show - biznesie trudne do zniesienia:

umowność, bezwzględność. Miłość i bogactwo chroniły ją przed światem. Nazwisko wystawiało na widok publiczny.

Jako nastolatka, na każdej randce była prześladowana przez paparazzi. Ją to bawiło, chłopców frustrowało. Pogodziła się z tym, że jej życie jest własnością publiczną. Od początku tak było.

Kiedy samolot rodziców rozbił się w szwajcarskich Alpach, miała osiemnaście lat. Jej świat się rozsypał. Prasa rozpisywała się o jej rozpacz. Nie protestowała. Rozumiała, że ludzie oplakują razem z nią śmierć dwojga swoich ulubieńców.

Potem pojawił się Jerry: przyjaciel, kochanek, wreszcie mąż. I znowu życie nabrało wymiaru fantazji, by przynieść kolejną tragedię.

Nie będzie o tym teraz myśleć, powiedziała sobie, biorąc do ręki szpadel i atakując ponownie kamienistą ziemię. Tak naprawdę została jej muzyka. Z muzyki nigdy by nie zrezygnowała. Nie potrafiłaby. Muzyka stanowiła część jej samej. Komponowała obsesyjnie, w zachwycie, nieustannie. Sama nigdy nie występowała, obdarowywała innych swoim talentem.

Miała dwadzieścia osiem lat, dwa Oskary, pięć nagród Grammy i Tony. Mogła usiąść przy fortepianie i zagrać z pamięci każdy utwór, jaki kiedykolwiek napisała. Nagrody ciągle leżały w pudłach, które przyleciały z Los Angeles.

Mała rabata, którą właśnie zakładała w pocie czoła, była dziełem serca. Umieszczona tak, że nikt jej pewnie nigdy nie zobaczy poza Maggie. Sprawilo jej przyjemność, że mogła ubarwić kawałek ziemi, który uważała za własny. Maggie pracowała i nuciła. Zapomniała o niemiłym uczuciu, jakie ogarnęło ją po odjeździe C. J.

Cliff Delaney zwykle nie robił wycen i nie sporządzał wstępnych projektów. Już nie musiał. Od sześciu lat firma prosperowała na tyle dobrze, że wysyłał na pierwsze rozmowy jednego z dwóch najlepszych pracowników. Zazwyczaj oni też później prowadzili roboty, on sam włączał się dopiero w końcowej fazie, kiedy zaczynały się subtelności i zabawa w detale. Jeśli zlecenie było ciekawe, zaglądał czasami na miejsce, coś sugerował, ale to wszystko. Tym razem zrobił wyjątek.

Znał dom Morgana. William był jednym z tych Morganów, od których nazwiska miasteczko wzięło nazwę. Dziesięć lat temu jego samochód stoczył się do Potomacu i od tego czasu budynek stał pusty. Pozbawiony od samego początku uroku, surowy, wzniesiony na niewdzięcznej ziemi. Jednak przy odpowiednim podejściu można tam wyczarować piękne otoczenie. Bardzo wątpił, czy dama z Los Angeles potrafi wykazać się odpowiednim podejściem.

Słyszał o niej, ma się rozumieć. Każdy, kto przez ostatnie dwadzieścia osiem lat zaglądał przynajmniej od czasu do czasu do gazet, musiał słyszeć o Maggie Fitzgerald. Morganville ożywiło się, kiedy przyjechała. Sensacja była jeszcze większa niż po ucieczce żony Lloyda Messnera z dyrektorem banku.

Miasteczko żyło ospałym rytmem. Wydarzeniem był zakup nowej armatki wodnej i doroczna parada w Dniu Założyciela. Dlatego Cliff zdecydował się zostać, choć w jego sytuacji mógł mieszkać, gdzie chciał. Tu się wychował, znał ludzi, akceptował ich poczucie jedności, różne wady. Co więcej, rozumiał ziemię. Bardzo wątpił, czy opromieniona sławą kompozytorka z Kalifornii też ją zrozumie.

C. J. dawał jej sześć tygodni na powrót do Kalifornii, Cliff trzy, zanim ją jeszcze zobaczył. Liczył, że uda mu się coś zdziałać, zanim Maggie Fitzgerald znudzi się wiejskim życiem i wsiądzie do samolotu.

Skręcił z szosy w polną drogę prowadzącą do domu Morgana. Nie był tucale lata. Posesja wyglądała gorzej, niż ją zapamiętał. Deszcze i zaniedbanie uczyniły drogę niemal nieprzejezdną. Gałęzie zarośli, porastających z obu stron pobocze, uderzały o karoserię. Pierwsza rzecz to zrobić porządek z drogą, myślał Cliff, pokonując wykroty. Trzeba ją wyrównać, wysypać żwirem, wykopać z obu stron rowy odwadniające.

Jechał powoli nawet nie dlatego, że oszczędzał pick - upa: chłonał widok. Miał wielką ochotę zmierzyć się z tym prymitywnym, beczasowym otoczeniem. Jego talent naprzeciwko geniuszu natury. Jeśli Maggie Fitzgerald chciała mieć tu asfalt i egzotyczne roślinki, to źle trafiła. Pierwszy jej to uświadomi.

Cliff nie darzył zaufaniem przyjezdnych i miał ku temu powody.

Pojawiali się tu zamożni mieszkańcy Waszyngtonu i chcieli mieć przed domami gładko wystrzyżone trawniki. Kazali wycinać dęby i topole, które przecież miały większe prawa niż oni. Żądali równiutkich rabatki kwiatowych. Trawnik też powinien być gładki i równy, żeby można było kosić go bez wysiłku. A potem opowiadali, że „mieszkają na wsi”, rozmyślał Cliff z ironicznym uśmiechem, chociaż przywozili ze sobą miejskie nawyki i także same gusta. Dojeżdżając do domu Morgana, był już wrogo nastawiony do Maggie Fitzgerald.

Maggie usłyszała samochód, zanim wyłonił się z zakrętu. To była jedna z wielu rzeczy, która podobała się jej w nowym domu: otaczający go spokój. W mieście nie zwróciłaby nawet uwagi na odgłos silnika. Podniosła się znad rabaty, wytarła dłonie o pupę i osłoniła oczy od słońca, wypatrując nadjeżdżającego wozu.

Pick - up zatrzymał się w tym samym miejscu, gdzie jeszcze przed godziną stał mercedes. Zakurzony, z dawno niepolerowanymi chromami, wyglądał znacznie bardziej

swojsko niż luksusowa maszyna wypożyczona przez C.J. Co prawda, nie mogła dojrzeć jeszcze kierowcy, słońce odbijało się w przedniej szybie, ale uśmiechnęła się i pomachała ręką na powitanie.

Pierwsza rzecz, jaką Cliff pomyślał, to że jest znacznie drobniejsza, niż oczekiwał. Fitzgeraldowie powinni być więksi od zwykłych śmiertelników. Ciekawe, czy będzie chciała hodować równie delikatne, jak ona storczyki. Wsiadł z samochodu przekonany, że damulka zaraz go zirytuje.

Maggie przeżyła moment zaskoczenia na widok Cliffa: spodziewała się chyba kogoś w typie pana Boga, tymczasem zobaczyła modelowego faceta: na oko prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary, szczupła sylwetka, ciemne, rozwiane jazdą włosy, zmysłowe usta bez uśmiechu. Ciemne okulary zasłaniały oczy. A ona oceniała ludzi po oczach.

Poruszał się swobodnie, pewnie. Wysportowany, pomyślała. Był kilka metrów od niej, kiedy wyczuła jego nieprzyjazne nastawienie.

- Panna Fitzgerald?

- Tak. - Uśmiechnęła się neutralnie i wyciągnęła rękę. - Pan od Delaney'a?

- Tak.

Wymienili krótki uścisk dłoni. Cliff nie przedstawiając się, omiół wzrokiem teren.

- Chciała pani, żebyśmy wycenili prace ogrodowe.

Maggie poszła za jego wzrokiem i w jej uśmiechu pojawiło się rozbawienie.

- Muszę coś tu zrobić. Czy wasza firma potrafi czynić cuda?

- Znamy się na swojej robocie. - Zerknął na biedną rabatkę z bratkami i petuniami.

Pańcia znudzi się, zanim przyjdzie pora na pielienie pierwszych chwastów. - Proszę powiedzieć, o czym pani myśli.

- W tej chwili o szklance mrożonej herbaty. Przyniosę coś do picia, a pan niech się rozejrzy, potem porozmawiamy. - Wydawała polecenia przez całe swoje życie, miała to we krwi. Odwróciła się i weszła po chwiejnych stopniach na ganek. Cliff zmrużył oczy.

Dobre, markowe džinsy, pomyślał zgryźliwie, zanim siatkowe drzwi zamknęły się za nią. Na szyi brylant, przynajmniej jednokaratowy. W co się bawi ta hollywoodzka panna? Zostawiła po sobie subtelny, drażniący zmysły zapach. Wzruszył ramionami i odwrócił się plecami do domu.

Otoczenie można było uporządkować i ukształtować bez większych szkód dla pejzażu. Należało tylko uporać się z wieloletnimi zaniedbaniami i nie ingerować zbyt nachalnie w naturę. Na pewno nie zafunduje pannie Fitzgerald idealnego trawnika przed domem. Cliff

odrzucał już w swojej karierze wiele zleceń tylko dlatego, że klienci chcieli zbyt radykalnych zmian. Nawet przy takim stosunku do krajobrazu nie nazwałby się artystą. Był biznesmenem. Jego biznesem były ziemia i zieleń.

Ruszył w stronę kępy drzew obrosniętych powojem, gęstej od ostów. Poszycie można było z łatwością oczyścić, nawieźć, posadzić może w miejscu ostów żonkile. Kępa zacznie emanować spokojem. Cliff wetknął kciuki do tylnych kieszeni dzinsów. Z tego, co czytał przez lata o Maggie Fitzgerald, spokój był jej raczej obcy.

Podróże, szybkie życie, blask i blichtr. Co ją tutaj przywiało?

Zanim ją usłyszał, poczuł zapach perfum. Kiedy się odwrócił, była kilka kroków od niego, niosła dwie szklanki wypełnione herbatą. Przyglądała mu się z nieukrywaną ciekawością. Gdy stanęła przed nim, ze słońcem za plecami, pojawił się najbardziej pociągająca kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Podawała mu szklankę dobrze zmrożonej herbaty.

- Chce pan usłyszeć, o czym myślę?

Chyba chodzi o głos, pomyślał. Niewinne pytanie zadane zmysłowym głosem, w którym kryły się jakieś mroczne obietnice. Upił łyk.

- Po to przyjechałem - odpowiedział niemal niegrzecznie. Nigdy tak się nie zachowywał wobec potencjalnych klientów.

Uniosła brwi na ten ton, jedyny znak, że usłyszała w jego głosie wrogość. Z taką postawą niedługo utrzyma pracę. A jednak nie robił wrażenia najętego pracownika.

- W rzeczy samej, panie...

- Delaney.

- We własnej osobie. - Nadal nie wyjaśniało to jego postawy. - Słyszałam, że jest pan najlepszy, panie Delaney, a ja chcę mieć najlepszych ludzi, więc... - Przesunęła palcem po szkle. - Powiem panu, czego chcę, a pan mi powie, czy podejmie się zadania.

- Bardzo proszę. - Nie wiedział, dlaczego zirytowało go to proste stwierdzenie, tak jak nie wiedział, dlaczego podziwiał gładkość jej skóry, dlaczego wpatruje się w te wielkie, aksamitne oczy. Nie był myśliwym, raczej obserwatorem. - Powiem pani od razu, że moja firma nie przyjmuje zleceń, które rujnują naturalne otoczenie. Taką mamy zasadę. To jest surowy krajobraz, panno Fitzgerald, i taki ma pozostać. Jeśli oczekuje pani akra albo dwóch wymuskanego trawnika, kupiła pani nie tę ziemię i zamówiła nie tego projektanta zieleni.

Maggie ciężko pracowała nad tym, żeby opanować naturalną skłonność do wpadania w złość. Nie chciała, by przyłgnęła do niej etykieta wybuchowej córeczki wybuchowych rodziców.

- Uczciwie stawia pan sprawę - udało się jej powiedzieć po trzech głębokich wdechach.

- Nie wiem, po co kupiła pani ten dom.

- Nie sędzę, żebym chciała udzielać informacji na ten temat.

- To rzeczywiście nie moja sprawa. Ale to - zatoczył ręką - już tak.

- Nie sądzi pan, że trochę pospieszył się pan z potępianiem mnie, Delaney? - Maggie upiła łyk herbaty. - Nie zdążyłam jeszcze pana poprosić, żeby sprowadził pan buldożery i puścił w ruch piły mechaniczne.

Powinna mu powiedzieć, by wyniósł się z jej terenu. Ledwie zadała sobie pytanie, dlaczego tego nie zrobiła, przyszła odpowiedź. Instynkt. Instynkt sprowadził ją do Morganville, kazał kupić ziemię, na której teraz stała. Instynkt mówił jej, że Delaney jest najlepszy. Tylko on może zająć się otoczeniem domu. Nie chcąc robić nic pochopnie, upiła kolejny łyk herbaty.

- Ta kępa drzew - wskazała. - Chciałabym ją oczyścić z ostów. W tej chwili nie sposób tam wejść.

- Zerknęła na Cliffa. - Nie robi pan notatek?

Przyglądał się jej uważnie.

- Nie. Proszę mówić.

- Dobrze. Ten kawałek ziemi tutaj, przed domem... - Spojrzała na wysokie po kolana chwasty.

- Kiedyś musiał być tu trawnik. Powinien znowu być. Trzeba by zasadzić na nim, nie wiem, może kilka sosen, żeby zbyt nie odcinał się od lasu. Wszystkie chwasty na zboczu, aż do drogi dojazdowej, też trzeba usunąć. - Niektóre z nich tak wybujały, że Maggie mogła pośród nich zniknąć.

- Trochę tu za stromo, żeby siać trawę. Niech pan wprowadzi trochę koloru, nie lubię jednostajności.

- Na zboczu można posadzić iglaki, różne odmiany. Jałowiec, na przykład, a do tego forsycje. Tu, gdzie mniej stromo, jakieś niskie, płozące się rośliny. - Widział już fuksje kwitnące między głazami.

- To trzeba wyciąć - wskazał na drzewo nachylające się niebezpiecznie nad dachem domu. - Za domem też są dwa czy trzy spróchniałe, które trzeba usunąć.

Zachmurzyła się, chociaż zawsze wierzyła zdaniu ekspertów.

- Dobrze, ale nie chcę, żeby usuwał pan cokolwiek, czego usuwać nie trzeba.

Nie widziała jego oczu, tylko swoje odbicie w jego okularach.

- Nigdy tego nie robię. - Odwrócił się i ruszył na tyły domu. - Tu jest problem kolejny - ciągnął, nie sprawdzając nawet, czy Maggie za nim idzie. - Deszcze wymywają ziemię z klifu, co oznacza, że skała może zacząć się osypywać. Któregoś dnia głązy wylądują pani w kuchni.

- Co pan radzi? Pan jest ekspertem.

- Trzeba umocnić ten stok i obsadzić cały wyką. Wtedy powstrzyma się erozję. Wyka dobrze trzyma grunt.

- Zgoda. - Brzmiało to rozsądnie. - Te chwasty też należy usunąć - powiedziała, przebijając się przez zieloną gęstwinę tuż za domem. - Tutaj - wskazała konkretne miejsce - można by zrobić skalniak. - Tyle tu głazów - mruknęła. - A tam...

Cliff chwycił ją za rękę.

- Nie radziłbym - powiedział i Maggie przeszedł lekki dreszcz.

- Czego by pan nie radził? - Odwróciła się bardziej zaskoczona niż przestraszona.

- Schodzić tędy. - Wskazał na opadające stromo zbocze, gdzie kończyły się chaszczce.

Czuł pod palcami gładką skórę Maggie. Z łatwością zamykał dłoń na jej przedramieniu. Drobną i delikatną, pomyślał. Zbyt delikatną, by zмагаć się z upartą ziemią.

Maggie spojrzała na jego dłoń: mocna, ogorzała od słońca. Czuła, że serce zaczyna jej bić nierówno. Podniosła wzrok.

- Panie Delaney...

- Wężę - poinformował krótko i Maggie cofnęła się gwałtownie. - W takich miejscach zawsze są wężę. Otoczenie jest tak zarośnięte, że musi mieć je pani teraz wszędzie.

- W takim razie... - Maggie dokonała herkulesowego wysiłku, żeby się nie wzdrygnąć z przerażenia.

- Mógłby pan zacząć prace od razu.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. Bardzo ostrożne, nieznaczące skrzywienie warg. Oboje zapomnieli, że nadal zaciska dłoń na jej przedramieniu. Stali teraz bardzo blisko siebie. Nie zareagowała tak, jak się spodziewał. Nie byłby zaskoczony, gdyby krzyknęła głośno na wspomnienie węży i uciekła do domu, zatraskując za sobą drzwi. Sam o tym nie wiedząc, gładził kciukiem gładką skórę.

- Może uda mi się przysłać tu ludzi w przyszłym tygodniu, ale najpierw trzeba zrobić porządek z drogą dojazdową.

Maggie wzruszyła ramionami.

- Niech pan robi, co uważa za konieczne, nie kładźcie tylko asfaltu. Ma być dobry dojazd, to wszystko. Chcę skupić się na domu i jego otoczeniu.

- Poprawienie drogi będzie panią kosztowało jakieś tysiąc dwieście, tysiąc pięćset dolarów... - zaczął, ale przerwała mu.

- Niech pan robi, co uważa za konieczne - powtórzyła z mimowiedną arogancją osoby, która nigdy nie musiała martwić się o pieniądze. - A tam - wskazała zarośnięty płaski kawałek ziemi, szeroki może na cztery metry i długi na pięć, u stóp niewielkiego zbocza, po którym zabronił jej zejść.

- Tam chciałabym mieć oczko wodne.

- Oczko?

Spojrzała na niego przeciągle.

- Proszę pozwolić mi na ten jeden kaprys, panie Delaney. Niewielkie oczko wodne. Podejrzewam, że z tym miejscem nic innego nie da się zrobić. Ma pan coś przeciwko wodzie?

Cliff nie odpowiedział. Wpatrywał się we wskazany kawałek gruntu i zastanawiał. Prawdę mówiąc, nie mogła wybrać lepiej. Oczko dałoby się zrobić. Zadanie niełatwe, rozmyślał, ale wykonalne.

- Będzie to panią sporo kosztować - odezwał się w końcu. - Włoży pani w ten dom mnóstwo pieniędzy, a odsprzedać go później nie będzie wcale łatwo.

Maggie skończyła się cierpliwość. Była zmęczona, bardzo zmęczona, słysząc bezustannie, że nie wie, co robi.

- Panie Delaney, wynajmuję pana do określonej pracy, nie chcę rad na temat obrotu nieruchomościami czy moich finansów. Jeśli pan nie jest w stanie podjąć się zlecenia, proszę powiedzieć, znajdę kogoś innego.

Cliff mocniej zacisnął palce na jej ręce, nieznacznie, ale wyczuwalnie.

- Podejmę się tej roboty. Przygotuję kosztorys i umowę. Jutro otrzyma je pani pocztą. Jeśli zdecyduje się pani wynająć moją firmę, proszę o telefon do biura. - Puścił ją, oddał szklankę z niedopitą herbatą i ruszył do samochodu.

- Za mocno podlała pani bratki - rzucił jeszcze, nie oglądając się.

Maggie stała przez chwilę bez ruchu na skraju zbocza, po czym wypuściła powietrze z płuc i wychlusnęła letnią herbatę na ziemię.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wróciła do domu kuchennymi drzwiami, które zaskrzypiały niemiłosiernie, gdy je otworzyła. Wątpiła, czy jeszcze zobaczy Cliffa Delaney'a. Najprawdopodobniej przyśle jej swoich pracowników, a ewentualne kwestie sporne będą omawiać przez telefon albo listownie. Tak nawet lepiej. Jest niesympatyczny, irytujący, chociaż usta, trzeba przyznać, ma piękne.

Przeszła przez kuchnię, kiedy przypomniała sobie, że niesie szklanki. Cofnęła się i wstawiła je do zlewu, a potem oparła się o parapet i utkwiała spojrzenie w zboczu, o którego umocnieniu mówił Cliff. Nawet teraz potoczyło się w dół parę kamieni. Kilka porządných deszczy i będzie miała zwały ziemi i odłamki skalne pod kuchennymi drzwiami. Delaney bez wątpienia zna się na swojej robocie.

W powietrzu czuło się wiosnę. Gdzieś w lesie rozśpiewał się ptak. Robił to z takim zaangażowaniem, jakby nigdy nie zamierzał przestać. Słuchając go, zapomniała o podmywanym zboczu i o obnażonych korzeniach drzew. Zapomniała o nieuprzejmym zachowaniu Delaney'a i wrażeniu, jakie na niej zrobił. Patrzyła w górę, gdzie czubki drzew stykały się z niebem.

Będzie podziwiał ten widok o wszystkich porach roku. Nie mogła się już doczekać. Do tej pory nie uświadamiała sobie, jak bardzo potrzebuje własnego miejsca na ziemi. Wreszcie je znalazła.

Westchnęła i odeszła od okna. Powinna zabrać się do pracy, jeśli chciała wystać gotową muzykę na czas. Przeszła korytarzem ze zwisającymi ze ścian tapetami do małego saloniku, który służył jej jako pokój muzyczny.

Pod ścianą stały pudła z Los Angeles. Nie zaczęła ich jeszcze rozpakowywać. Nie zdjęła pokrowców z mebli. W oknach nie było zasłon, a na podłogach dywanów. Na ścianach, gdzie kiedyś wisiały obrazy, zostały ciemniejsze prostokąty. Na środku pokoju stał jej ukochany domowy fortepian. Obok jedyne otwarte pudło, z którego Maggie wyjęła papier nutowy. Zatknęła ołówek za ucho i usiadła do instrumentu. Znieruchomiała, pozwalając, by muzyka zaczęła rozbrzmiewać w głowie. Miała w oczach scenę z filmu, teraz musiała opisać muzyką jej klimat. Włączyła nagrywanie w małym magnetofonie i zaczęła grać.

Komponowała muzykę tylko do niektórych filmów. Oskary były potwierdzeniem, że jest dobra w tym fachu, ale najchętniej pisała piosenki: muzykę i słowa.

Komponowanie było dla niej czymś w rodzaju budowania mostu. Najpierw pojawiał się zarys, wstępny projekt, potem trzeba było obmyślić konstrukcję, powoli, starannie, tak by łuk dźwięków wspierał się na solidnych filarach.

Pojedynczą piosenkę dyktuje nastrój. Powstaje z niczego, rodzi się ze zbitki kilku słów, z paru nut, które pojawiają się w głowie. Można w niej zawrzeć całą opowieść, przekazać emocje, zbudować klimat.

Kiedy pracowała, zapominała o wszystkim innym poza składaniem nut. Powtarzała każdy fragment wiele razy, zmieniając czasami pojedynczy dźwięk, aż intuicja mówiła jej, że jest dobrze. Mijały godziny. Maggie nie czuła się zmęczona ani znudzona. Była zawodowcem, ale też wielką miłośniczką muzyki.

Nie usłyszałaby pewnie pukania, gdyby nie przerwała na moment, by przewinąć kasetę. Zdezorientowana nie zareagowała, czekając, aż pokojówka otworzy. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje.

Nie masz pokojówek, Maggie. Ani ogrodnika, ani kucharki. Wszystko teraz na twojej głowie. Była to jednak miła myśl.

Podniosła się i podeszła do drzwi wejściowych. Nie musiała przestawiać się na wiejski zwyczaj zostawiania drzwi otwartych. W Los Angeles zamki, łańcuchy i system alarmowy to była sprawa służby. Nie jej. Teraz po prostu nacisnęła klamkę i szarpnęła. Musi powiedzieć panu Bogowi, że drzwi się zacinają.

Na ganku stała kobieta. Mogła mieć najwyżej pięćdziesiąt dwa, trzy lata. Siwe włosy nosiła gładko uczesane, bez wdzięku i stylu. Patrzyła na Maggie wyblakłymi niebieskimi oczami zza okularów w różowych oprawkach.

Jeśli była to pani z Welcome Wagon^F, to najwyraźniej nie lubiła swojego zajęcia. Maggie przechyliła głowę i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry. Słucham panią?

- Pani Fitzgerald? - Niski, nijaki głos, tak samo nijaki jak prosta suknia kobiety.

- Tak, to ja.

- Jestem Louella Morgan.

Maggie uprzytomniła sobie, że Louella Morgan to wdowa po Williamie Morganie, poprzednim właścicielu domu, który właśnie kupiła. Wyciągnęła rękę.

- Witam, pani Morgan. Może pani wejdzie?

^F Organizacja powstała w 1928 roku - pracujące w niej panie odwiedzały nowych sąsiadów, witały ich w imieniu lokalnej społeczności i reklamowały okoliczne sklepy oraz usługi, wręczając kupony zachęcające do korzystania z tychże. WW nadal istnieje, ale działa raczej przez Internet lub rozsyła powitania pocztą, (przyp. tłum.).

- Nie chcę przeszkadzać.

- Bardzo proszę. - Otworzyła szerzej drzwi. - Poznałam pani córkę, kiedy podpisywałam umowę kupna.

- Tak, Joyce mi mówiła. - Louella przekroczyła próg. - Nie spodziewała się, że tak szybko znajdzie kupca. Wystawiła dom na sprzedaż zaledwie tydzień wcześniej.

- To musiało być przeznaczenie. - Maggie oparła się o drzwi i pchnęła je z całej siły, żeby zamknąć. Pan Bog koniecznie musi się tym zająć, uznała.

- Przeznaczenie? - Louella skończyła pobieżną inspekcję holu i obróciła się do Maggie.

- Dom czekał na mnie. - Wykonała zapraszający gest. - Proszę do salonu. Napije się pani kawy? A może czegoś zimnego?

- Nie, dziękuję. Zajmę pani tylko chwilę. - Kobieta weszła do salonu. Stała tu kanapa z miękkimi poduchami, ale Louella nie chciała siadać. Spojrzała na zwisające tapety, na łuszczącą się farbę na ramach okiennych. - Chciałam zobaczyć dom jeszcze raz, już zamieszkania.

Maggie omiotła spojrzeniem prawie pusty pokój. W przyszłym tygodniu zabierze się za zrywanie tapet.

- Minie jeszcze dobrych kilka tygodni, zanim zaczniesz wyglądać na naprawdę zamieszkania.

Louella zdawała się nie słyszeć.

- Sprowadziliśmy się tutaj zaraz po ślubie.

- Uśmiechnęła się, ale nie był to szczęśliwy uśmiech, pomyślała Maggie. I te puste oczy człowieka zagubionego od lat.

- Wkrótce mąż chciał coś nowocześniejszego, bliżej miasteczka i swojej firmy. Przenieśliśmy się, a ten dom wynajęliśmy. Miłe, spokojne miejsce - dodała. - Szkoda, że od lat popadało w coraz większe zaniedbanie.

- To rzeczywiście miłe miejsce - przytaknęła Maggie z uśmiechem, ale poczuła się nieswojo.

- Chcę doprowadzić dom i otoczenie do porządku... - Zamilkła, widząc jak Louella podchodzi do okna. Na litość boską, co mam jeszcze powiedzieć? Co to za kobieta? - Zamówiłam już ludzi, ale część prac będę w stanie wykonać sama.

- Chwasty się rozrosły - zauważyła Louella, cały czas odwrócona plecami do Maggie.

- To prawda. Cliff Delaney był tu dzisiaj po południu, obejrzał teren.

- Cliff. - Louella jakby się ocknęła. Odwróciła się. Światło padające z okna czyniło ją trochę nierealną. - Interesujący młody człowiek. Trochę szorstki w obejściu, ale zdolny. Dobrze pani wybrała. Jest spokrewniony z Morganami. - Zaśmiała się cicho. - W całym hrabstwie znajdzie pani Morganów.

Krewny. Może dlatego był taki nieuprzejmy, że dom poszedł w obce ręce, pomyślała Maggie. Nie potrzebowała jego aprobaty.

- Tu był kiedyś ładny trawnik przed domem - powiedziała Louella.

Maggie zrobiło się jej żal.

- Będzie znowu. Firma Cliffa uporządkuje cały teren wokół domu. Chcę założyć ogródek skalny. Będzie też oczko wodne. W tym obniżeniu z boku domu.

- Oczko wodne? Chce pani oczyścić jar?

- Tak. - Maggie znowu poczuła się nieswojo. - To doskonałe miejsce.

Louella przesunęła dłonią po torebce, jakby coś z niej ścierała.

- Też miałam skalny ogródek. Goździki brodate, glicynie i róże, czerwone pnące róże na treliazu.

- Musiało być pięknie.

- Mam zdjęcia.

- Tak? - Maggie przyszedł do głowy pewien pomysł. - Może mogłabym je zobaczyć? Posadziłabym to samo, co pani.

- Przyślę je. Dziękuję, że mnie pani przyjęła. Z tym domem łączy się wiele wspomnień. - Wyszła do holu, Maggie za nią, gotując się na kolejną szarpaninę z drzwiami. - Do widzenia, pani Fitzgerald.

- Do widzenia, pani Morgan. - Poruszona, dotknęła ramienia kobiety. - Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić.

Louella uśmiechnęła się blado i spojrzała na Maggie zmęczonym wzrokiem.

- Dziękuję.

Maggie patrzyła, jak jej gość wsiada do starego, ale dobrze utrzymanego lincolna i odjeżdża powoli, po czym wróciła do pokoju muzycznego. Nie poznała jak dotąd zbyt wielu mieszkańców Morganville, ale stanowili oni niewątpliwie interesujący zbiór typów ludzkich.

Hałas obudził Maggie z głębokiego snu. W pierwszej chwili próbowała zakryć głowę poduszką: wydawało się jej, że znajduje się w Nowym Jorku, a głośny ryk przypominał odgłosy wydawane przez wielkie śmieciarki. Nie jestem w Nowym Jorku, uzmysłowiła sobie, trąc oczy pięściami. To Morganville, gdzie nie ma śmieciarek. Tutaj wrzucało się worki ze

śmieciami do bagażnika albo na skrzynię pick - upa i wywoziło na miejscowe wysypisko. Dla Maggie był to szczyt samoobsługi.

A jednak hałas nadal się rozlegał.

Leżała przez chwilę, wpatrując się w sufit. Słońce, jeszcze blade i niskie, sączyło pierwsze promienie przez okno. Nigdy nie należała do skowronków i nie zamierzała tego zmieniać pomimo przeprowadzki na wieś. Ostrożnie odwróciła głowę i zerknęła na zegarek: siódma zero pięć.

Niechętnie usiadła w pościeli i rozejrzała się tępo po pokoju. Tutaj też stały pod ścianą nierozpakowane pudła. Obok łóżka leżała wysoka sterta czasopism i książek na temat urządzania mieszkań i ogrodów.

Na ścianie pojawiły się trzy pierwsze pasy nowej tapety, kremowej w drobne fiołki, którą zaczęła kłaść własnoręcznie. W rogu leżały kolejne rolki, stało wiaderko z klejem. Jednostajny hałas za oknem nie ustawał.

Maggie podniosła się z łóżka. Potknęła się o kapcie, zaklęła i podeszła do okna. Wybrała sobie ten pokój na sypialnię, bo mogła stąd widzieć to, co miało stać się frontowym trawnikiem, a że dom stał na wzgórzu, to sięgała wzrokiem aż ku dolinie Morganville.

W oddali widać było dom sąsiada farmera, z czerwonym dachem i kominem, z którego unosił się dym. Obok kawałek świeżo zaoranego i obsadzonego pola. A na widnokręgu szczyty gór, niebieskie i niewyraźne w porannej mgle. Z sąsiedniego okna był widok na jar, w którym miało powstać oczko wodne.

Otworzyła okno i wciągnęła w płuca chłodne powietrze. Nadal słyszała hałas - odgłos pracującego silnika. Zaintrygowana przycisnęła twarz do siatki... i wypchnęła ją z ramy okiennej. Siatka upadła na ganek. Jeszcze jedno zadanie dla pana Boga. Westchnęła i wychyliła się. W tej samej chwili zza zakrętu drogi dojazdowej wyłonił się żółty buldożer pracowicie równający grunt.

Cliff Delaney dotrzymał słowa. Kosztorys i umowę dostała dwa dni po jego wizycie. Kiedy zadzwoniła do biura, jakaś kompetentna kobieta powiedziała jej, że roboty zaczną się w najbliższy poniedziałek.

A dzisiaj poniedziałek, przypomniała sobie, opierając łokcie na parapecie. Zaczęli zgodnie z obietnicą. Zmrużyła oczy i przyjrzała kierującemu buldożerem mężczyźnie. Był drobniejszy od Cliffa i miał jaśniejsze włosy. Nie musiała nawet widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, że to nie Delaney.

Wzruszyła ramionami i odeszła od okna. Skąd przyszło jej do głowy, że Delaney będzie obsługiwał buldożer? I dlaczego chciała, żeby to był on? Przecież już sobie

powiedziała, że najpewniej więcej go nie zobaczy. Wynajęła jego firmę, która wykona zlecenie, ona wypisze czek i to wszystko.

Dwie godziny później wzmocniona kawą, którą zrobiła dla siebie i dla operatora buldożera, Maggie na kolanach zrywała stare, popękane linoleum z podłogi w kuchni. Skoro już musiała wstać o tak barbarzyńskiej porze, uznała, że może zająć się pracą fizyczną. Włączyła kasetę z prawie gotową muzyką do filmu i zabrała się energicznie do roboty, układając w głowie słowa do tytułowej piosenki.

To prawda, że położyła dopiero trzy paski tapety w sypialni, w łazience na górze pomalowała na razie tylko sufit, dwa stopnie schodów na piętro należało jeszcze oczyścić i zaciągnąć lakierem, ale Maggie pracowała po swojemu i we własnym tempie. Zaczynała jedną robotę i rzucała się na następną. W ten sposób, myślała, doprowadzi cały dom do porządku w tym samym czasie, zamiast kończyć pomieszczenie po pomieszczeniu, kiedy reszta pozostaje nadal w rozpaczliwym stanie.

Poza tym, kiedy ruszyła pierwszy prostokąt linoleum i zobaczyła kawałek podłogi pod spodem, poniosła ją ciekawość i koniecznie chciała odkryć całość.

Kiedy Cliff wszedł przez kuchenne drzwi do domu Maggie, był zły. To głupota, żeby marnował czas na wizyty tutaj, kiedy firma realizuje tyle zleceń. A jednak przyjechał. Prawie przez pięć minut dobijał się do frontowych drzwi. Wiedział, że Maggie jest w domu, bo samochód stał na podjeździe, a operator buldożera powiedział mu, że mniej więcej godzinę wcześniej przyniosła mu kawę. Nie przyszło jej do głowy, że skoro ktoś puka, to widać chce się z nią widzieć?

Muzyka dochodząca przez otwarte okno przykuła jego uwagę i poruszyła wyobraźnię. Nigdy wcześniej nie słyszał tej melodii. Nastrojowa, frapująca. Samotny fortepian, bez towarzyszenia innych instrumentów, ale była w tym jakaś niezwykła moc, człowiek miał ochotę chwycić każdą nutę, ani jednej nie uronić. Cliff stał zasluchany, poruszony i trochę zbity z tropu.

Obszedł dom i wtedy ją zobaczył: na kolanach zrywała linoleum z podłogi w kuchni. Rozpuszczone włosy przesłaniały twarz i połyskiwały w słońcu złotymi refleksami.

Szare sztruksy opinały ciasno biodra. Była bosą. Miała na sobie czerwoną koszulę z cieniutkiego zamszu. Widział gdzieś te koszule. Sprzedawano je w ekskluzywnych sklepach, w zawrotnych cenach. Dłonie i nadgarstki Maggie były tak delikatne, że Cliff skrzywił się, kiedy energicznie zaatakowała kolejny prostokąt i zahaczyła knykiem o jego kant.

- Co pani, do diabła, wyprawia? - huknął, otwierając siatkowe drzwi. Odruchowo chciała oblizać zakrwawiony knykieć, ale Cliff był szybszy. Przyklęknął obok niej i chwycił ją za rękę.

- To drobiazg. Zwykle zadrapanie.

- Mogła pani rozciąć sobie palec. - Głos brzmiał szorstko, było w nim zniecierpliwienie.

Maggie nie cofnęła dłoni. Tym razem widziała jego oczy. Szare, znamionujące skrytość. Maggie skojarzyły się z wieczorną mgłą. Czasami niebezpieczną, zawsze frapującą. Wyobrażała sobie, że taka mgła spowija szkockie Brigadoon, zaklętą wioskę, która ożywa raz na sto lat na jeden dzień i znika znowu. Bardzo lubiła ten musical. Pomyślała, że Cliffa też mogłaby polubić.

- Kto miał taki głupi pomysł, żeby kłaść tu linoleum? - Wskazała na odkryte deski. - Piękna podłoga, prawda? To znaczy będzie piękna, jak się ją scyklinuje i wywoskuje.

- Niech Bog to zrobi - zakomenderował Cliff. - Pani się na tym nie zna.

Miała już dość wysłuchiwania podobnych komentarzy.

- Dlaczego tylko on ma mieć frajdę? Poza tym jestem ostrożna.

- Właśnie widzę. - Odwrócił jej dłoń, tak by mogła widzieć skaleczenie. Nienawidził wszelkich skaz na tym, co delikatne. - W pani zawodzie chyba trzeba dbać o dłonie.

- Są ubezpieczone - odparowała. - Myślę, że mimo tak poważnych obrażeń uda mi się zagrać kilka nut. - Cofnęła dłoń. - Przyjechał pan krytykować mnie, panie Delaney, czy ma pan do mnie jakąś sprawę?

- Przyjechałem sprawdzić, jak posuwa się praca. Co nie było konieczne, jeśli miał być szczerzy. Co go obchodziło, że przez nieuwagę skaleczyła się w palec? Pojawiła się na jego terenie i zniknie, zanim nadejdzie pełnia lata. Powinien o tym pamiętać. Jak i o tym, że Maggie Fitzgerald go nie interesuje. Podniósł opartą o ścianę siatkę, którą zabrał z ganku.

- Znalazłem to pod oknem.

- Dziękuję. - Maggie rzadko przybierała ton udzielnej księżnej, a Cliff ją do tego, nie wiedzieć czemu, prowokował. Odebrała siatkę i teraz ona ją oparła o ścianę.

- Droga będzie zablokowana prawie przez cały dzień. Mam nadzieję, że pani nigdzie się nie wybierała.

- Rzeczywiście nigdzie się nie wybierałam, panie Delaney.

- To dobrze.

Tempo muzyki z taśmy uległo zmianie. Była teraz mocniejsza, bardziej prymitywna. Takiej muzyki ma się ochotę słuchać w gorące bezksiężycowe noce. Działała na Cliffa, intrygowała go.

- Co to jest? - zapytał. - Nigdy tego nie słyszałem.

Maggie zerknęła na magnetofon.

- Muzyka do filmu, którą komponuję. To akurat tytułowa piosenka. - Zmarszczyła czoło, ciekawa jego zdania. Długo się męczyła nad tą melodią.

- Podoba się panu?

- Tak.

Prosta, jasna odpowiedź. Ale Maggie to nie wystarczyło.

- Dlaczego?

Milczał przez chwilę, słuchając. Oboje nadal siedzieli na podłodze, blisko siebie, na wyciągnięcie ręki.

- Wchodzi w krew. Przemawia do wyobraźni. Chyba tak powinna działać muzyka?

Nie mógł trafniej odpowiedzieć. Maggie uśmiechnęła się, a Cliff znieruchomiał, jakby w niego piorun strzelił.

- Dokładnie tak - przytaknęła entuzjastycznie i poruszyła się, dotykając niechęć kolaniem jego kolana. - Chciałam napisać coś bardzo prostego. To film o namiętności, o dwojgu ludziach, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, ale pragną się nawzajem. Dochodzi do zbrodni.

Przerwała i słuchała własnej kompozycji. Widziała ją w mocnych kolorach: purpurach, karminach. Była jak ciężkie, duszne powietrze w gorącą noc. Maggie zmarszczyła czoło i melodia się skończyła się. Z taśmy rozległo się jeszcze soczyste przekleństwo i zaległa cisza.

- W ostatnich dwóch taktach coś schrzałam - wyjaśniła. - Coś... - Uniosła dłonie, odwróciła je i opuściła ponownie. - Nie wyszło mi. Miała zabrzmieć desperacja, ale subtelniej niż teraz. Namiętność, pasja, nad którą nie można zapanować.

- Zawsze komponuje pani w ten sposób? - Cliff przyglądał się jej uważnie, niemal tak samo, jak studiował wcześniej otoczenie domu. W detalach i nie tracąc z oczu całości.

Maggie przysiadła na piętach. Czuła się pewnie, była na swoim terenie. W rozmowie o muzyce nie mógł zbić jej z tropu. To było jej życie.

- To znaczy w jaki? - zapytała.

- Kładąc nacisk bardziej na nastrój i na emocje niż na notację i czas.

Odgarnęła włosy z policzka. Na palcu miała ciemny ametyst o prostym, geometrycznym szlifie. Błysnął z nim refleks słońca i zgasł, kiedy opuściła rękę. Nikt, nawet jej najbliżsi współpracownicy, nie zdefiniował jej stylu bardziej precyzyjnie.

- Tak - odparła krótko.

Nie podobało mu się, że te wielkie oczy tak na niego działają. Podniósł się.

- Dlatego pani muzyka jest taka dobra.

Maggie zaśmiała się. Nie komplement ją rozbawił, tylko burkliwy ton, którym został wygłoszony.

- Potrafi pan być miły.

- Kiedy jest po temu powód. - Cliff patrzył, jak Maggie wstaje. Poruszała się miękko, płynnie. - Podziwiam pani muzykę.

I znowu zwróciła uwagę bardziej na ton, zaprawiony z lekka irytacją, niż na same słowa.

- I tylko muzykę.

- Nie znam pani.

- Kiedy pan przyjechał tu pierwszy raz, był pan do mnie uprzedzony. - Maggie oparła dłonie na biodrach i spojrzała mu prosto w oczy. - Mam wrażenie, że nie lubił mnie pan na długo przed tym, zanim poznał.

Maggie Fitzgerald, złota dziewczyna z Kalifornii, stawia sprawy jasno, pomyślał Cliff. On też tak postępował.

- Nie ufam ludziom, którzy żyją pod kloszem. Mam zbyt wiele respektu dla rzeczywistości.

- Pod kloszem - powtórzyła Maggie o wiele za spokojnym głosem. - Innymi słowy, ponieważ wychowałam się w bogatym domu, nie rozumiem realnego świata.

Poczerwieniła ze złości. Była niższa od Cliffa o dobrych dwadzieścia centymetrów, ale zrobiła taką minę, jakby zamierzała rzucić się na niego i wygrać zapasy.

Czuł, że nie powinien ustępować ani na krok, bo Maggie Fitzgerald natychmiast to wykorzysta.

- Mniej więcej do tego rzecz się sprowadza - przytaknął. - Żwir przywiozła o piątej.

Nawykła, że to ona kończy rozmowy, Maggie chwyciła go za rękę, kiedy próbował odwrócić się do wyjścia.

- Jest pan ograniczonym snobem i nic nie wie o moim życiu.

Cliff spojrzał na delikatną dłoń, zaciskającą się na jego opalonym przedramieniu. Błysnął ametyst.

- Panno Fitzgerald, cały kraj zna pani życie.

- To jedno z najmniej inteligentnych stwierdzeń, jakie kiedykolwiek słyszałam. - Maggie nie próbowała już hamować złości. - Pozwoli pan, że coś powiem... - Dzwonek telefonu uniemożliwił jej wykonanie werbalnej egzekucji na impertynencie. Zaklęła głośno. - Pan tu zaczeka - poleciała i odwróciła się do wiszącego na ścianie aparatu.

Cliff uniósł lekko brwi na ten rozkazujący ton i oparł się o blat kuchenny. Poczekaj, owszem, lecz nie dlatego, że mu kazała. Był ciekaw, co usłyszy.

Maggie chwyciła słuchawkę i warknęła:

- Słucham.

- Słyszę, że życie na wsi ci służy. Cieszę się.

- C. J. - Spróbowała opanować emocje. Nie życzyła sobie pytań i uwag w rodzaju „A nie mówiłem?”. - Przepraszam, prowadzę właśnie dyskusję filozoficzną - Udała, że nie słyszy śmiechu Cliffa. - Co się stało?

- Nie odzywałaś się od kilku dni...

- Powiedziałam ci, że będę dzwoniła raz w tygodniu. Przystaniesz się martwić?

- Wiesz, że nie mogę. Musiała się roześmiać.

- Wiem, że nie możesz. Jeśli to cię trochę uspokoi, właśnie robią mi drogę. Następnym razem nie będziesz musiał się obawiać, że tłumik odpadnie.

- To, że robią ci drogę, ani trochę mnie nie uspokoi. Mam koszmary sennie. Śni mi się, że dach spada ci na głowę. Ten dom się rozsypuje.

- Ten dom wcale się nie rozsypuje. Odwróciła się gwałtownie i niechcący kopnęła siatkę, która upadła na ziemię z łoskotem. Spojrzała na Cliffa. Stał oparty o blat kuchenny, blisko drzwi: wystarczyły dwa kroki, żeby znalazł się na zewnątrz. Uśmiechnął się i Maggie zasłoniła usta, tłumiąc chichot.

- Co to za hałas? - zainteresował się C. J.

- Hałas? Nic nie słyszałam. - Przykryła mikrofon dłonią i uciszyła rechoczącego Cliffa. - C. J. - powiedziała do słuchawki - muzyka jest prawie gotowa.

- Kiedy? - padło krótkie, rzeczowe i łatwe do przewidzenia pytanie.

- W zasadzie skończyłam, wygładziłam, co było do wygładzenia. Mam problem z tytułową piosenką. Jeśli nie będziesz zwracał mi głowy, w przyszłym tygodniu dostaniesz kasetę.

- Może sama ją przywieziesz? Zjemy lunch.

- Mowy nie ma. C. J. westchnął.

- Pomyślałem, że powinienem spróbować. Wysłałem ci prezent.

- Prezent?

- Zaczekaj, sama zobaczysz. Powinnaś dostać paczkę jutro rano. Tak się wzruszysz, że przylecisz najbliższym samolotem do Los Angeles, aby podziękować mi osobiście.

- Nie licz na to.

- Wracaj do roboty. I dzwoń - dodał. Był dość mądry, by wiedzieć, kiedy się wycofać.

- Ciągle mi się zwiduje, że spadasz z tego swojego wzgórza.

Rozłączył się, zostawiając ją, jak to często on, rozbawioną i poirytowaną jednocześnie.

- Mój agent - wyjaśniła, odwieszając słuchawkę. - Lubi się martwić.

- Rozumiem.

Ten jeden, pozbawiony większego znaczenia moment, sprawił, że pękła bariera, która dotychczas ich dzieliła. W jej miejsce pojawiło się zakłopotanie, którego żadne z nich do końca nie rozumiało, ale oboje mniej więcej równocześnie uświadomili sobie, że coś ich w sobie nawzajem pociąga. Maggie odchrząknęła.

- Panie Delaney...

- Cliff.

Uśmiechnęła się i spróbowała odprężyć.

- Cliff. Dość niefortunnie zaczęliśmy znajomość. Może skupmy się na tym, co oboje nas interesuje, czyli zieleni wokół domu, i skończmy te przepychanki.

Przepychanki. Ciekawe określenie. Chociaż nieprecyzyjnie oddające to, o czym właśnie myślał, a miał wielką ochotę pogłaskać Maggie, przesunąć dłońmi po jej gładkiej skórze.

- Dobrze. - Wyprostował się i podszedł do niej, nie wiedząc, kogo tak naprawdę próbuje nabrać: siebie czyją.

Nie dotknął jej, ale oboje o tym pomyśleli.

Delikatna skóra, szorstkie dłonie. Ciepło zamieniające się w żar. Pocałunek, w którym jest napiętność.

- Ten projekt to prawdziwe wyzwanie - powiedział cicho, patrząc jej w oczy. - Dlatego zajmę się nim osobiście.

Maggie miała nerwy napięte jak struny. Nie cofnęła się, bo czuła, że takiej reakcji oczekiwał. Nie odwróciła wzroku, tylko oczy jej pociemniały.

- Nie będę się z tobą kłócić.

- Nie.

Uśmiechnął się nieznacznie. Gdyby został dłużej, musiałby ją pocałować. Kto wie, czy nie byłby to największy błąd w jego życiu. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Wezwij Boga - rzucił przez ramię. - Masz dłonie stworzone do fortepianu, a nie do szpachli.

Maggie skrzywiła się, uklękła, chwyciła właśnie szpachlę i z zajadłością zaatakowała kolejny kwadrat linoleum. Umiała radzić sobie w życiu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Już trzeci dzień pod rząd rankiem budził Maggie warkot maszyn i głosy pracowników Cliffa. Ledwie zaczęła przywykać do ciszy, rozpętał się hałas za oknami. W miejsce buldożera pojawiły się piły mechaniczne, ciężarówki i niszczarki chwastów.

Wstała o świcie zrezygnowana, ale zdecydowana nie zmieniać na stałe rytmu dnia. O siódmej piętnaście wyszła spod prysznicza i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Nie najlepiej, oceniła, wpatrując się we własne zaspane oczy. Nic dziwnego, skoro do drugiej pracowała nad muzyką. Przetarła twarz dłonią. Dbała o skórę i nigdy nie uważała tego za stratę czasu czy luksus. Robiła to nawykowo, tak jak nawykowo codziennie rano w Kalifornii przepływała dwadzieścia długości basenu.

Ostatnio się zaniedbała. Od dwóch miesięcy nie była u fryzjera i grzywka wpadała jej do oczu. Powinna coś z tym zrobić.

Owinęła mokre włosy ręcznikiem i otworzyła szafkę z lustrzanymi drzwiczkami. Najbliższy sklep Elizabeth Arden był oddalony o sto dziesięć kilometrów. Są takie chwile, rozmyślała, nakładając maseczkę, kiedy trzeba radzić sobie samej.

Podnosiła właśnie ręce, gdy doszło ją świdrujące w uszach szczekanie. Prezent od C. J. domaga się śniadania, pomyślała cierpko. W krótkim szlafroku kąpielowym, z głową owiniętą kraciatym ręcznikiem i zastygającą na twarzy maseczką zeszła na dół, by zająć się wymagającym prezentem. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i mały buldog oszalał.

- Uspokój się - poprosiła grzecznie i wzięła szczeniaka pod pachę. - Weź pod uwagę, że nie wypilał jeszcze porannej kawy. Zlituj się nade mną. - Szczeniak pochylił łepkę i zaczął warczeć. Zdecydowanie miejski pies, pomyślała, usiłując go uspokoić. Drzwi zacięły się jak zwykle. Postawiła zwierzę na podłodze i szarpnęła klamkę oburącz.

Drzwi ustąpiły i Maggie razem z nimi poleciała do tyłu. Szczeniak umknął do schowka i wychylił głowę zza framugi, prychając. Cliff wszedł do holu i spojrzał pytająco na zasapaną Maggie.

- Myślałam, że życie na wsi jest spokojne. Cliff uśmiechnął się i wetknął kciuki do kieszeni dżinsów.

- Niekoniecznie. Sądząc po twoim wyglądzie, nie wyciągnąłem cię z łóżka. - Spojrzał na twarz pokrytą maseczką, a potem, nie mogąc się powstrzymać, na zgrabne nogi, znacznie dłuższe, niż mógł przypuszczać, szacując to po drobnej sylwetce Maggie.

- Wstałam jakiś czas temu - oznajmiła wyniośle.

Wzrok Cliffa zatrzymał się na szczeniaku, Strategicznie przyczajonym na progu schowka.

- Znajomy?

- Kumpel. - Maggie spojrzała na szczeniaka, który dobywał groźnie warczał, trzymając się w bezpiecznej odległości od obcego. - Prezent od mojego agenta.

- Jak ma na imię?

- Zbój - poinformowała Maggie, posyłając tym razem małemu tchórzowi lekceważące spojrzenie.

Szczeniak schował się za futryną.

- Bardzo trafne. Chcesz z niego zrobić psa obronnego?

- Nauczę go atakować krytyków muzycznych.

- Podniosła dłoń, żeby przeczesać włosy palcami, i natrafiła na ręcznik. Natychmiast przypomniała sobie, jak się prezentuje. Dotknęła maseczki. - O Jezu - mruknęła i Cliff uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Cholera. - Odwróciła się i pobiegła na piętro.

- Zaraz wracam - rzuciła jeszcze.

Dziesięć minut później zeszła na dół w pełnym rynsztunku, gotowa na rozpoczęcie dnia. Włosy podpięła dwoma grzebieniami, zrobiła lekki makijaż, włożyła obcisłe czarne dzinsy i obszerną białą bawełnianą bluzę. Cliff siedział na najniższym stopniu i zajmował się wprawianiem małego tchórza w ekstazę drapaniem po brzuchu.

- Nie powiesz ani słowa?

Cliff nie przestawał drapać szczeniaka, nie podniósł też wzroku.

- O czym?

Maggie zmrużyła oczy i założyła ręce na piersi.

- O niczym. Chciałeś coś ze mną omówić, że przyjeżdżasz tak wcześnie?

Nie bardzo rozumiał, dlaczego podoba mu się ten zimny, książęcy ton. Chyba bawiło go, że potrafi bez trudu wydobyć go z Maggie.

- Nadal chcesz mieć oczko?

- Owszem, nadal chcę mieć oczko. Nie zwykłam zmieniać zdania.

- Dobrze. Dzisiaj po południu oczyścimy jar. - Podniósł się, a szczeniak usiadł u jego stóp, czekając na dalsze pieszczoty. - Nie zadzwoniłaś do Boga w sprawie podłogi w kuchni.

- Skąd wiesz?

- W Morganville wszyscy wiedzą wszystko.

- Nie twój...

- W małym miasteczku dość trudno powiedzieć „nie twój interes” - wpadł jej w słowo Cliff i Maggie sapnęła ze złości. - Prawdę mówiąc, od czasu przyjazdu jesteś nieustannym tematem dnia. Wszyscy się dziwią, czego taka sławna artystka z Kalifornii szuka u nas w górach.

- Tak? - Maggie stanęła bliżej. - A ty? Ty też się dziwisz?

Dotknął lekko jej policzka.

- Masz delikatną skórę. Musisz o nią bardzo dbać. Ja zajmę się otoczeniem twojego domu.

I tak ją zostawił. Z odchyloną głową, założonymi na piersi rękoma i zdumieniem w oczach.

O dziesiątej Maggie doszła do wniosku, że musi pożegnać się z nadzieją na cichy dzień na wsi. Robotnicy wrzeszczeli, usiłując przekrzyczeć hałasujące maszyny. Ciężarówki kursowały w tę i z powrotem już wyrównaną i wyźwirowaną drogą. Mogła się tylko pocieszać, że za parę tygodni roboty wokół domu dobiegną końca.

Odbyła trzy rozmowy telefoniczne od kalifornijskich przyjaciół, którzy chcieli wiedzieć, jak żyje i co porabia. Przy trzeciej rozmowie miała już serdecznie dość wyjaśniania, że zrywa linoleum w kuchni, kładzie tapety, maluje sufity i świetnie się z tym czuje.

Zdjęła słuchawkę z aparatu i wróciła do zrywania linoleum. Udało się jej odsłonić prawie połowę powierzchni. Tak ją to ucieszyło, że postanowiła dokończyć tę jedną robotę i dopiero zając się innymi. Będę miała piękną podłogę w kuchni, pomyślała z satysfakcją.

Usłyszała pukanie do kuchennych drzwi. Obejrzała się, niemal pewna, że to Cliff Delaney wrócił, by ją dręczyć, ale w progu stała szczupła kobieta mniej więcej w jej wieku, o brązowych włosach i jasnych niebieskich oczach. Joyce Morgan Agee. Maggie teraz dopiero mogła dostrzec, jak bardzo Joyce jest podobna do matki.

- Dzień dobry, pani Agee. - Maggie podniosła się i otrzepała dzinsy. - Proszę, niech pani wejdzie. Przepraszam, ale podłoga trochę się lepi. To stary klej spod linoleum.

- Nie chciałabym pani przeszkadzać.

Joyce stała niezdecydowana w progu. Miała na nogach eleganckie pantofelki, a Maggie czuła, jak klej lepi się do podeszew jej starych adidasów.

- Możemy porozmawiać na zewnątrz - zdecydowała szybko i wyszła z kuchni. - Zaczęłam remont.

- Tak. - Jeden z robotników właśnie ustalał coś z kolegą, wtrącając co kilka słów obowiązkowe przekleństwo. Joyce zerknęła w ich kierunku, po czym zwróciła się do Maggie:

- Nie traci pani czasu.

- Nie. - Maggie spojrzała na osypujące się zbocze z tyłu domu. - Nigdy nie należałam do cierpliwych. Bardziej zależy mi na uporządkowaniu otoczenia domu niż na dokończeniu remontu w środku.

- Nie mogła pani wybrać lepszej firmy - powiedziała Joyce, zerkając na ciężarówkę z wielkim napisem „Delaney's” na boku.

- Podobno - przytaknęła Maggie obojętnym tonem.

- Bardzo się cieszę, że robi tu pani tyle dobrego.

- Joyce zaczęła bawić się paskiem przewieszzonej przez ramię torby. - Nie pamiętam prawie tego domu. Byłam jeszcze mała, kiedy się przeprowadziliśmy, ale zawsze mi przykro, jak coś niszczy.

- Uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową. - Nie mogłabym chyba tu mieszkać. Lubię miasteczko, wolę tuż obok mieć sąsiadów. Dzieci mogą bawić się z innymi dziećmi, a Stan musi być cały czas na posterunku.

- Rzeczywiście - przypomniała sobie Maggie - przecież pani mąż jest szeryfem.

- Tak. Morganville to bardzo spokojne miasteczko, nie tak jak Los Angeles, ale Stan i tak ma pełne ręce roboty. - Uśmiechała się, ale Maggie wyczuwała w niej napięcie. - My nie jesteśmy miastowi.

Maggie odwzajemniła uśmiech.

- Ja chyba też nie.

- Nie rozumiem, jak mogła pani rzucić... - Joyce trochę speszyła się własną śmiałością, ale ciągnęła:

- Chciałam powiedzieć, że to musi być ogromna zmiana. Mieszkała pani przecież w Beverly Hills.

- Owszem - przytaknęła Maggie. Czyżby wyczuwała tu jakieś niejasne podteksty? Jak u Louelli?

- Potrzebowałam zmiany.

- Bardzo się cieszę, że zdecydowała się pani na kupno. I to tak szybko. Stan był trochę niezadowolony, że wystawiłam dom na sprzedaż akurat pod jego nieobecność, ale nie mogłam patrzeć, jak podupada. Kto wie, czy gdyby pani się nie pojawiła, nie przekonałby mnie, abym wycofała ofertę.

- Zatem obydwie możemy się cieszyć, że zobaczyłam tablicę w odpowiednim momencie. - Maggie próbowała uporządkować fakty w głowie. Dom należał wyłącznie do Joyce, ani jej mąż, ani matka nie mieli do niego żadnych praw. Wydawało się jej trochę dziwne, że Joyce nie wynajęła go czy nie wystawiła na sprzedaż znacznie wcześniej.

- Przyjechałam tu z powodu mojej matki. Mówiła mi, że była u pani kilka dni temu.

- Tak. To bardzo miła osoba.

- Tak. - Joyce spojrziała na robotników i wzięła głęboki oddech. - Z całą pewnością odwiedzi panią znowu. Chciałam panią prosić o jedno. Jeśli zacznie się naprzykrzać, niech pani mnie zawiadomi, ale jej nic nie mówi.

- Dlaczego miałyby mi się naprzykrzać?

- Matka żyje przeszłością. Nie pogodziła się nigdy ze śmiercią mojego ojca. Potrafi wprawiać ludzi w zakłopotanie.

Rzeczywiście, pomyślała Maggie, krótka wizyta Louelli nie należała do najmilszych. Mimo to pokręciła głową.

- Pani matka będzie zawsze mile widziana w tym domu, pani Agee.

- Dziękuję, ale proszę obiecać, że da mi pani znać, jeśli... poczuje się zmęczona. Ona często tu przyjeżdżała, kiedy dom stał pusty. Nie chcę, żeby panią nachodziła. Ona nie wie, kim pani jest. To znaczy... Joyce przerwała, zakłopotana. - Nie rozumie, że ma pani absorbującą pracę.

Maggie przypomniała sobie nieobecne spojrzenie, smutną twarz i znowu zrobiło się jej żal Louelli.

- Jeśli będzie mi przeszkadzała, dam pani znać. Joyce odetchnęła z widoczną ulgą.

- Będę bardzo wdzięczna, pani Fitzgerald.

- Maggie.

- Tak... - Joyce uśmiechnęła się, tracąc kontenans. - Rozumiem, że ktoś taki jak ty chce mieć spokój w domu.

Maggie zaśmiała się, wspominając poranną serię telefonów z Kalifornii.

- Nie jestem pustelniczką - powiedziała, chociaż nie była wcale pewna, czy te słowa są do końca prawdziwe. - Nie tak łatwo wytrącić mnie z równowagi. Niektórzy ludzie uważają mnie nawet za zupełnie normalną.

- Nie miałam na myśli...

- Wiem, że nie. Odwiedź mnie, kiedy skończę tę podłogę. Wpadnij któregoś dnia na kawę.

- Z przyjemnością. Och, byłabym zapomniała. - Sięgnęła do dużej płóciennej torby, przewieszanej przez ramię, i wyciągnęła brązową kopertę. - Fotografie domu. Mama mówiła, że chciałaś je obejrzeć.

- Tak. - Maggie wzięła kopertę. Nie sądziła, że Louella będzie pamiętała o zdjęciach albo że będzie jej się chciało je wyszukać. - Może natchną mnie jakimś pomysłem.

- Mama powiedziała, że możesz je zatrzymać tak długo, jak zechcesz. - Joyce zawahała się i znowu zaczęła bawić się paskiem torby. - W południe muszę odebrać swojego najmłodszego z przedszkola. Powinnam już jechać. Stan czasami wpada do domu na lunch. Mam sporo roboty w domu. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Maggie wetknęła kopertę pod pachę. - Pozdrów ode mnie mamę.

Już w drzwiach Maggie zauważyła, że Cliff podchodzi do Joyce. Zatrzymała się, zaciekawiona. Pośród hałasu maszyn nie słyszała, o czym mówią, ale widziała, jak ujął obie jej dłonie. Musieli dobrze się znać. Na twarzy Cliffa malowała się łagodność, której wcześniej u niego nie widziała, i zatroskanie. Nachylił się do Joyce, chcąc ją lepiej słyszeć, widać mówiła bardzo cicho, i dotknął jej włosów. Gest brata czy kochanka?

Joyce pokręciła głową i wsiadła do samochodu. Cliff nachylił się jeszcze do okna. Sprzecali się? Było między nimi jakieś napięcie czy tylko to sobie wyobraziła? Maggie nie potrafiła powiedzieć. Zafascynowana obserwowała niemą scenę, rozgrywającą się na podjeździe. Cliff cofnął się i Joyce powoli ruszyła. Zanim Maggie zdążyła wejść do domu, Cliff odwrócił się.

Dzieliło ich kilka metrów, słońce przygrzewało mocno, Maggie miała na sobie bawełnianą bluzę z długim rękawem, a jednak przeszedł ją dreszcz. Jakby wyczuła bijącą od Cliffa wrogość. W każdym razie woląла uznać, że to wrogość, a nie pierwsze oznaki namiętności.

Kusiło ją, żeby podejść do Cliffa i sprawdzić, jak jest naprawdę. Na samą myśl o takiej możliwości serce zabiło jej mocniej. Cliff stał bez ruchu, nie odrywał od niej oczu. Maggie odwróciła się i zdrętwiałymi palcami nacisnęła klamkę.

Dwie godziny później pojawiła się znowu na zewnątrz. Nie należała do osób, które cofają się przed wyzwaniem, unikają kłopotów czy obawiają się emocji. Zrywając linoleum, powtarzała sobie, że Cliff nie może jej peszyć. Ona nie pozwoli, by ją onieśmiał tylko dlatego, że jest przystojny i interesujący.

A także inny niż większość mężczyzn, z którymi do tej pory się stykała. Nie próbował jej oczarować - wręcz przeciwnie, potrafił zachować się odpychająco. Niewiele robił sobie z tego, że jest atrakcyjny, dobrze zbudowany, wyrafinowany.

Ma rzeczowy i bezpośredni sposób bycia, stwierdziła, obchodząc dom i omiatając wzrokiem skarpe od frontu. Wrzośce, łopian i sumak zniknęły, zbocze nawieziono czarną, tłustą ziemią. Zniknęło też krzywe drzewo, nachylające się niebezpiecznie ku domowi, wykarczowane razem z korzeniami. Dwóch robotników wzmacniało kamieniami granicę, gdzie zaczynała się skarpa.

Cliff Delaney narzucił swoim ludziom niezłe tempo. Maggie przeszła sprawdzić, jak wygląda sytuacja od strony bocznej elewacji. Tu najgorsza gęstwina też została usunięta. Potężny brodacznik w roboczym kombinezonie siedział na koparce z taką swobodą, jakby rozpiął się w wygodnym fotelu. Nacisnął dźwignię i żółta szczeka, fachowo zwana naczyniem urabiającym, zsunęła się do jaru i wybierała ziemię i kamienie.

Maggie przysłoniła oczy i przyglądała się pracującej maszynie. Pod jej stopami plątał się szczeniak, powarkujący na wszystko w zasięgu wzroku. Za każdym razem, gdy ramię koparki podnosiło się i szczeka wypluwała kolejną porcję ziemi, szczekał jak oszalały. Maggie pochyliła się ze śmiechem i podrapała go za uchem.

- Nie bądź takim tchórzem. Nie pozwolę, żeby ta maszyna cię zgarnęła.

- Nie podchodziłbym bliżej - odezwał się Cliff za jej plecami.

Odwróciła głowę i zmrużyła oczy od słońca, po czym podniosła się.

- Nie podchodzę - odparła. - Posuwacie się szybko do przodu.

- Trzeba jar szybko obsadzić roślinami. Inaczej w razie deszczu zwały błota spłyną na dół i będziesz miała kłopot.

- Rozumiem. - Znowu przysłonił oczy okularami, więc odwróciła się. Wołała obserwować pracę koparki. - Zatrudniasz sporo ludzi.

Swoim zwyczajem Cliff wetknął kciuki do kieszeni dżinsów.

- Owszem.

Kiedy po raz pierwszy poczuł podniecenie w obecności Maggie, pomyślał, że coś sobie ubrdał, ale teraz nie mógł zaprzeczyć: było, i to wyraźne. Nie chciał tego, a jednak pragnął Maggie. Musiał jej dotknąć, dopiero wtedy będzie znowu mógł myśleć racjonalnie.

Stali bardzo blisko siebie. Maggie czuła powoli narastające napięcie, ogarniające całe ciało. Wiedziała, że można pragnąć kogoś, kogo się nie zna, kogo minęło się właśnie na ulicy. To chemia, mówiła sobie, ale nigdy wcześniej tak nie reagowała. Miała ochotę znaleźć się w jego ramionach, żądać spełnienia i jednocześnie je ofiarować. Oto zapowiedź czegoś ekscytującego, zapowiedź rozkoszy. Odwróciła się, nie wiedząc jeszcze, co powie.

- Nie podoba mi się to.

Cliff nie próbował nawet udawać, że nie rozumie. Żadne z nich nie myślało ani o oczku wodnym, ani o koparce.

- Masz jakiś wybór?

Maggie zachmurzyła się. Tak bardzo była niepewna własnych odczuć. Cliff nie przypominał żadnego z jej wcześniejszych mężczyzn, nie pasował do standardów.

- Przeniosłam się tutaj, bo tu właśnie chcę mieszkać i pracować, a także dlatego, że chcę być sama.

I zrealizuję swój zamiar.

Cliff przyglądał się jej przez chwilę, a potem dał znak operatorowi koparki, żeby zrobił sobie przerwę na lunch.

- Przyjąłem zlecenie, bo zależy mi na tej ziemi. Chcę tu zrobić porządek. I zrealizuję swój zamiar.

Napięcie nie zelżało ani trochę, ale Maggie skinęła głową.

- Zatem rozumiemy się.

Kiedy chciała odejść, Cliff położył jej rękę na ramieniu.

- Myślę, że oboje rozumiemy całkiem sporo. Przez grubą bawełnianą bluzę nie powinna czuć jego dotyku, ale jego palce zdawały wywoływać pulsowanie w całym ciele. Powietrze stało się jakby cięższe, bardziej duszne, głosy robotników dochodziły z bardzo daleka.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Owszem, wiesz.

- Nie znam cię.

Cliff wziął pasmo jej włosów w palce.

- Nie mógłbym powiedzieć tego samego o tobie. Doskonale wiedziała, że chciał jej przyciąć.

- Wierzysz we wszystko, co przeczytasz w tabloidach i kolorowych magazynach? - Odrzuciła głowę, uwalniając włosy z jego palców. - Dziwię się, że taki, zdawałoby się zdolny, odnoszący sukcesy facet może być ignorantem.

Przyjął cios skinieniem głowy.

- Dziwię się, że taka zdolna i odnosząca sukcesy kobieta może być taka niemądra.

- A co to, do diabła, ma znaczyć?

- To niemądre pozwalać prasie, żeby rozpisywała się o twoim prywatnym życiu.

- Na nic nie pozwalam. Do niczego nie zachęcam.

- Ale też nie zabraniasz i nie zniechęcasz - odparował Cliff.

- Zniechęcanie to właśnie zachęta. - Założyła ręce na piersi i spojrzała w stronę jaru. - Po co ja się bronię? Nie masz o niczym pojęcia.

- W kilka tygodni po śmierci męża udzieliłaś dużego wywiadu. - Zaklął w duchu, że pozwolił sobie na tak osobistą i zupełnie nie na miejscu uwagę.

- A wiesz, jak mnie wtedy nękali dziennikarze? - Nie patrzyła na Cliffa. - Co wypisywali? - Zacisnęła palce na ramionach. - Wybrałam jednego, któremu ufałam. Zrobiłam to dla Jerry'ego. To było jedyne, co mogłam mu ofiarować.

Chciał jej trochę dokuczyć, przyciąć, ale nie zamierzał zranić.

- Przepraszam. - Położył jej dłoń na ramieniu, lecz cofnęła się gwałtownie.

- Daj spokój!

Tym razem położył jej obie dłonie na ramionach.

- To było zagranie poniżej pasa. Zapamiętuję takie uderzenia, szczególnie gdy sam je wymierzam.

Odczekała chwilę i odezwała się dopiero wtedy, kiedy była pewna, że zdoła zapanować nad głosem.

- Jestem przyzwyczajona do ciosów. Radzę ci nie wypowiadać się o sprawach, o których nie masz pojęcia i których nie jesteś w stanie zrozumieć.

- Przeprosiłem. - Nie zwolnił uścisku, kiedy próbowała się uwolnić. - Nie bardzo potrafię przyjmować rady.

Stali tak blisko siebie, że prawie dotykali się udami. Gniew mieszał się z pożądaniem.

- Zatem nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Mylisz się. Nie zaczęliśmy nawet mówić o tym, co jest do powiedzenia.

- Pracujesz dla mnie...

- Pracuję dla siebie - sprostował Cliff. Spodobała się jej duma, która zabrzmiała w jego słowach.

- Płacę ci za twoją pracę.

- Płacisz mojej firmie.

- Jedyne, co nas łączy.

- Znowu pomyłka - mruknął i puścił ją. Maggie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale szczeniak znowu się rozszczękał. Ruszyła w stronę wielkiej pryzmy ziemi i kamieni wybranych z jaru przez koparkę.

- Już dobrze, Zbój. - Szło się tak niewygodnie, że zaklęła pod nosem, potknąwszy się o kamień. - Nic tu nie znajdziesz, psie.

Szczeniak kopał jednak zajadle. Zachwycony nową zabawą, poszczekiwał i wtykał nos coraz głębiej w dziurę.

- Przestań! - Nachyliła się, żeby podnieść psa i usiadła na pupie. - Cholera! - Nie podnosząc się, odciągnęła szczeniaka od wykopanej nory. W tej samej chwili z pryzmy zsunęło się kilka kamieni.

- Uważaj! - zawołał Cliff; jeden z kamieni omal nie uderzył jej w gołeń.

- To przez tego głupka! - krzyknęła i szczeniak wyrwał się jej z rąk. - Nie wiem, co go tak fascynuje w tej kupie ziemi i głazów.

- Zabieraj go i wracajcie tutaj, jeśli nie chcesz, żeby was oboje za chwilę przysypało.

- Jasne - mruknęła. - Dzięki za pomoc. Zdegustowana usiłowała się podnieść. Szukając dłonią oparcia, trafiła na okrągły kamień. Wydrążony, pomyślała zdziwiona i zerknęła w dół.

Zaczęła krzyczeć tak przeraźliwie, że szczeniak wziął czym prędzej nogi za pas w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia.

Cliff rzucił się w jej stronę. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to węże. Dobiegł do Maggie i chwycił ją w objęcia. Przestała krzyczeć, ale z trudem chwyciła powietrze.

- Kości - szepnęła, zacisnęła palce na jego koszuli i oparła mu głowę na ramieniu.

Cliff spojrział w dół. W ziemi wydobytej przez koparkę białe pęczki, które z daleka można było wziąć za patyki. Tam, gdzie przed chwilą siedziała Maggie, leżała ludzka czaszka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Już w porządku. - Maggie siedziała przy kuchennym stole i ścisnęła w dłoni szklankę z wodą tak kurczowo, że knykcie jej pobieleły. Kiedy poczuła ból w palcach, rozluźniła je nieco. - Narobiłam takiego wrzasku, że teraz czuję się jak idiotka.

Ciągle była bardzo blada. W rozszerzonych oczach nadal czaiło się przerażenie. Nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Cliff pogłaskał ją po włosach i szybko wetknął dłonie do kieszeni.

- To naturalna reakcja.

- Chyba tak. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się z wysiłkiem. Było jej zimno. Miała nadzieję, że nie zacznie trząść się jak osika w jego obecności. - Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się... coś takiego.

Cliff uniósł brwi.

- Mnie też nie.

- Nie? - zapytała, jakby miała nadzieję, że ludziom przytrafiają się podobne sytuacje. Może wtedy odkrycie byłoby mniej wstrząsające. Wbiła wzrok w podłogę. Szczeniak położył się jej na stopach, popiskując. - Przecież robisz tyle... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa - wykopów.

- Nie znalazła lepszego określenia. - Na tym, między innymi, polega twoja praca.

Domagała się od niego, chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy, prostego wyjaśnienia, ale Cliff nie mógł jej pomóc.

- Dotąd nie trafiałem na ludzkie kości. Patrzyli na siebie w milczeniu, wreszcie Maggie skinęła głową. W swoim niełatwym zawodzie, gdzie panowała ostra konkurencja, nauczyła się jednego: godzić się z faktami, brać rzeczy takimi, jakimi są.

- Zatem żadne z nas nie ma wytłumaczenia. - Westchnęła cicho i była to ostatnia oznaka słabości, na którą sobie pozwoliła. - Trzeba zawiadomić policję.

- Tak myślę.

Im bardziej Maggie starała się nad sobą panować, tym trudniejsze było to dla Cliffa. Budziła w nim czułość, a on chciał zachować dystans. Dłonie w kieszeniach zacisnął w pięści, aby tylko jej nie dotknąć.

- Ty zadzwoń - powiedział stanowczym tonem.

- Pójdę do ludzi i powiem, żeby niczego nie ruszali.

Skinęła w odpowiedzi głową. Podeszedł do drzwi siatkowych i zatrzymał się. Miał ochotę zakląć siarczyście. Kiedy spojrział na Maggie, zobaczyła na jego twarzy to samo zatroskanie, które pojawiło się podczas rozmowy z Joyce.

- Naprawdę dobrze się czujesz?

Pytanie i ton głosu pomogły jej dojść do siebie.

Może dlatego, że wiedziała dobrze, jakim obciążeniem może być czyjaś słabość.

- Tak. Dzięki. - Kiedy zamknął za sobą drzwi, oparła głowę na stole. Na litość boską, w co ona wdepnęła? Nie znajduje się ludzkich szczątków koło domu. C. J. powiedziałby, że to niekulturalne, barbarzyńskie. Maggie stłumiła histeryczny chichot i wyprostowała się. Wzięła się w garść, podeszła do aparatu i połączyła się z operatorem.

- Proszę z policją - powiedziała.

W chwilę później wyszła na zewnątrz. Miała nadzieję, że zgłoszenie znaleziska trochę ją uspokoi; nic takiego nie nastąpiło. Nie podchodziła do przyzmy, ale nie mogła wysiedzieć w kuchni. Przeszła na trawnik od frontu i usiadła na kamieniu. Szczeniak ułożył się obok niej w plamie słońca i usnął.

Była gotowa uwierzyć, że wyimaginowała sobie to, co zobaczyła w zwałach ziemi. Wokół panował taki spokój, że podobny incydent nie mógł się zdarzyć. Wiosenne powietrze, słońce. Posesja była może trochę zaniedbana, ale sielska.

Czy dlatego zdecydowała się tutaj zamieszkać? Aby zapomnieć, że świat jest szalony? Tutaj mogła odizolować się od presji, pod którą żyła od tak dawna. Czy miał być to jej pierwszy prawdziwy dom, czy ucieczka? Jeśli to drugie, to znaczy, że jest słaba i nieuczciwa wobec siebie, a tego nie tolerowała. Trzeba było takiego wstrząsu, aby zadała sobie to pytanie? Poczula, że ktoś przesłonił słońce, podniosła głowę i zobaczyła Cliffa.

Nie przyzna mu się, że zaczęła powątpiewać w oczywistość własnych decyzji. Tylko nie jemu. Będzie twarda.

- Zaraz przyjadą. - Objęła dłońmi kolana i utkwiała spojrzenie w ścianie lasu.

- To dobrze. Oboje zamilkli.

Cliff przykucnął obok niej. Śmieszne, ale sprawiała teraz wrażenie bardziej rozstrojonej, niż kiedy niósł ją do kuchni. Każdy reaguje inaczej, pomyślał. Miał ochotę ją przytulić, objąć mocno, jak uczynił to wcześniej. Maggie działała na niego jak jej muzyka, budziła mocne, zmysłowe odczucia.

Żałował, że przyjął to zamówienie. Kiedy pierwszy raz zobaczył Maggie, powinien odmówić, wsiąść do samochodu i odjechać. Spojrzał w kierunku jaru.

- Rozmawiałś ze Stanem?

- Ze Stanem? - powtórzyła, jakby nie zrozumiała pytania. Cliff był tuż obok niej, na wyciągnięcie ręki, a wydawał się nieskończenie daleki. - A, mówisz o szeryfie. - Chciała, żeby jej dotknął. Na moment położył dłoń na jej dłoni. - Nie. Zadzwońłam do operatora i poprosiłam o połączenie z policją. Rozmawiałam z kimś z posterunku w Hagerstown. - Zamilkła, czekając na uwagę, że zachowała się jak typowa „miastowa”.

- To dobrze. Puściłem ludzi do domu, będzie spokojniej.

Była tak otępiała, że nie zauważyła, iż robotnicy odjechali. Zniknęły ciężarówki, tylko wielka, żółta koparka stała nieruchomo nad jarem. Otrząśnij się, powiedziała sobie i wyprostowała się.

- Słusznie. Dam ci znać, jak policja powie, że można wznowić roboty. - Głos brzmiał rzeczowo, lecz na myśl, że zostanie zupełnie sama z fatalnym znaleziskiem, zrobiło się jej niedobrze.

Cliff odwrócił głowę i zdjął okulary.

- Sądziłem, że zaczekam na przyjazd policji. Ogarnęła ją bezbrzeżna ulga. Musiała odmalować się na twarzy, ale Maggie zapomniała o dumie.

- To głupie, ale...

- Wcale nie głupie, tylko ludzkie. - Cliff uściskał jej dłoń i ten gest pocieszenia wyzwolił cały łańcuch emocji zbyt gwałtownych, by je powstrzymać.

Maggie przemknęło przez głowę, że powinna podnieść się i uciec do domu. Cliff mógłby próbować ją zatrzymać, chociaż niekoniecznie. Nie odpowiedziała sobie na pytanie, co by wolała, i nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła mu w oczy i pozwalała, by żar powoli ogarniał całe ciało. Nic poza tym się nie liczyło. Świat wokół przestał istnieć.

Czuła jego palce na skórze. Była w tym dotyku jakaś ogromna siła. Ani nie płynęła od Cliffa, ani od niej, rodziła się gdzieś na styku. Widziała, jak oczy mu pociemniały. W ciszy wczesnego popołudnia słyszała każdy jego oddech.

Równocześnie nachylili się ku sobie.

Nawet po latach, nawet gdyby była ślepa i głucha, rozpoznałaby Cliffa po kształcie i smaku jego ust. Nie było tu nic z delikatności i niepewności pierwszych pocałunków. Być może dlatego Cliff ją pociągał od momentu, kiedy zobaczyła, jak wysiada z zakurzonego pick - upa. Różnił się od mężczyzn, którzy pojawiali się w jej życiu. Był inny od tego jednego, najbliższego. Wiedziała o tym od początku. I dziękowała za to losowi. Nie chciała żadnych powtórek. Nie chciała niczego, co przypominałoby jej świat, który kiedyś stworzyła z Jerrym i który utraciła. Cliff nie będzie jej rozpieszczał i wielbił. Był wystarczająco silny, by oczekiwać siły w zamian.

Maggie całowała z takim żarem, że zapomniał, jaka jest krucha i drobna. Nie powinno to dziwić go u kogoś, kto komponował przepełnioną emocjami muzykę. Skąd jednak miał wiedzieć, że Maggie obudzi w nim tak silną namiętność? Odniósł wrażenie, że czekał na nią od lat. Zapragnął kochać się z nią, tu, na trawniku, w promieniach popołudniowego słońca. Odsunął się. Zostało mu dość sił, by się powstrzymać.

Maggie przyglądała mu się, chwytając z trudem powietrze. Czy to możliwe, że ten pocałunek podziałał na niego tak samo jak na nią? Czy on też miał zamęt w głowie? Czy czuł to samo pulsujące pożądanie w całym ciele? Z jego twarzy nie była w stanie nic wyczytać. Gdyby zapytała, czy przyznałby, że nigdy w życiu nie doświadczył podobnie intensywnego przyływu namiętności? Spyta go, jak tylko odzyska głos. Raptem wróciła na ziemię, przypomniała sobie, co zaszło wcześniej, i zerwała się na równe nogi.

- Co my, do diabła, robimy?! - Drżącą dłonią odgarnęła włosy z twarzy. - Jak mogliśmy, kiedy kilka metrów stąd leży... to. Cliff ujął ją za ramię.

- Co jedno z drugim ma wspólnego?

- Nie wiem.

Emocje zawsze dominowały w jej życiu. Wiedziała o tym, ale nie próbowała niczego zmieniać. W każdym razie od bardzo wielu lat nie podejmowała takich prób. Pasja, pomieszanie, rozpacz, wszystko to było niemal uchwytne.

- To znalezisko jest straszne, a ja przed chwilą zastanawiałam się, jakby to było kochać się z tobą.

W oczach Cliffa pojawił się błysk i szybko zgasł. W przeciwieństwie do Maggie Cliff dawno temu nauczył się panować nad emocjami.

- Nie owijasz w bawełnę.

- To pochłania zbyt wiele czasu i wymaga wysiłku. - Maggie wreszcie mogła przybrać w miarę swobodny ton. - Nie spodziewałam się takiej... erupcji. Jestem wytrącona z równowagi tym, co się stało, i mam zaburzone reakcje.

- „Zaburzone reakcje”.

Uśmiechnął się na to określenie. Teraz, kiedy trochę się uspokoiła, miał ochotę ją rozdrażnić. Podniósł rękę i przesunął palcem po jej policzku. Ciągle jeszcze biło od niej gorąco.

- Nie powiedziałbym. Robisz wrażenie kogoś, kto świetnie wie, czego chce, i potrafi to wziąć.

Jeśli chciał ją zirytować, to nie mogło mu się lepiej udać.

- Przestań - syknęła i odepchnęła jego dłoń. - Już ci powiedziałam, nie znasz mnie. I bardzo dobrze. Nie chcę, żebyś mnie poznał, coraz bardziej się w tym upewniam. Jesteś bardzo przystojny, Cliff, i bardzo niesympatyczny. Staram się trzymać z daleka od ludzi, których nie lubię.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że z nikim się nie kłócił. Coś się zmieniło.

- W takim małym miasteczku trudno nie natykać się na siebie.

- Postaram się.

- To prawie niemożliwe. Zmrużyła oczy i wykrzywiła usta.

- Kiedy coś postanowię, na ogół udaje mi się dopiąć swego.

- Tak. Tego jestem pewien. - Cliff założył na powrót okulary i uśmiechnął się.

- Starasz się być dowcipny czy czarujący?

- Jestem dowcipny i czarujący. Nigdy nie musiałem się starać.

- Przemyśl to. - Maggie odwróciła głowę, aby ukryć uśmiech. Pech chciał, że akurat w stronę jaru. Przeszedł ją dreszcz. Zakłęła i założyła, swoim zwyczajem, ręce na piersi. - Nie mogę uwierzyć. Stoję tutaj, prowadzę z tobą absurdalną sprzeczkę, a tam... - Nie potrafiła wymówić właściwego słowa. - Świat chyba oszalał.

Nie mógł pozwolić, żeby Maggie znowu wpadła w popłoch, a nawet histerię. Stawała się wtedy jeszcze bardziej niebezpieczna.

- To jakaś bardzo stara historia - powiedział. - Ciebie to nie dotyczy.

- To mój dom, moja ziemia. - Odwróciła się gwałtownie, z błyskiem w oku. - Jak ta sprawa może mnie nie dotyczyć?

- W takim razie przestań trząść się za każdym razem, kiedy sobie przypomnisz, co zobaczyłaś.

- Nie trzęsę się.

Cliff bez słowa oderwał jej dłoń od łokcia; drżała, owszem. Maggie szarpnęła się wściekle.

- Kiedy będę chciała, żebyś mnie dotknął, dam ci znać!

- Już dałaś.

Zanim zdobyła się na celną ripostę, szczeniak zerwał się i zaczął ujadać. W chwilę później usłyszeli zbliżający się samochód.

- Może jednak wyrośnie z niego przyzwoity stróż - stwierdził Cliff. Zbój wykonał kilka szalonych okrążeń i schował się za kamieniem. - Chociaż...

Nachylił się, poklepał szczeniaka po łbie i ruszył w stronę nadjeżdżającego radiowozu. Maggie deptała mu po piętach. To jej dom, ona jest osobą odpowiedzialną, powiedziała sobie. I ona będzie rozmawiała z policją.

Funkcjonariusz wysiadł z samochodu, poprawił czapkę i uśmiechnął się szeroko.

- Cliff A to niespodzianka.

- Cześć, Bob. - Ponieważ panowie nie wymienili uścisków dłoni, Maggie uznała, że muszą znać się dobrze i często widywać. - Moja firma porządkuje posesję i zakłada tu zieleń.

- Dom Morgana. - Policjant rozejrzył się z zainteresowaniem. - Dawno tu nie byłem. Wykopaliście coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

- Na to wygląda.

- Teraz to jest dom Fitzgerald - oznajmiła Maggie sucho.

Policjant zsalutował, chciał wygłosić jakąś uprzejmą uwagę i zrobił wielkie oczy.

- Fitzgerald - powtórzył. - Pani jest może Maggie Fitzgerald?

- Tak, to ja. - Uśmiechnęła się, choć obecność Cliffa sprawiała, że czuła się nieswojo.

- A niech mnie. Wygląda pani zupełnie tak samo jak na zdjęciach w tych wszystkich pismach. Chyba znam na pamięć pani piosenki. I powiada pani, że kupiła dom Morgana - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Tak jest.

Zsunął czapkę z czoła gestem podpatrzonym na westernach.

- Niech no tylko powiem żonie. Na naszym ślubie grali „Forever”. Pamiętasz, Cliff? Był pierwszym drużbą.

Maggie przechyliła głowę i uważnie spojrzała na Delaneya.

- Naprawdę?

- Jeśli już skończyłeś być pod wrażeniem, rzuć okiem na to, co wykopaliśmy w jarze.

Bob uśmiechnął się pocziwie.

- Po to przyjechałem. - Ruszyli we trójkę w stronę hałdy. - Wie pani, czasami trudno odróżnić ludzkie kości od zwierzęcych. Może to szczątki sarny.

Maggie zerknęła na Cliffa. Nadal czuła, jak jej palce trafiają na coś, co w pierwszej chwili wzięła za wydrążony kamień.

- Bardzo bym chciała, żeby tak było. Pies kopał w wybranej z jaru ziemi. - Znowu zaczynała się denerwować, co dało się słyszeć w jej głosie. - Chciałam go odciągnąć i... - Zamilkła i wskazała znalezisko.

Policjant przykucnął i gwizdnął cicho.

- Cholera - mruknął. Odwrócił głowę, ale spojrzał na Cliffa, nie na Maggie. - Nie wygląda to na kości sarny.

- Nie. - Cliff przesunął się tak, by zasłonić Maggie widok. - Co teraz?

Bob podniósł się. Nie uśmiechał się już, za to był wyraźnie podekscytowany.

- Muszę zawiadomić dochodzeniówkę. Chłopcy będą chcieli rzucić na to okiem.

Wrócili na trawnik od frontu. Bob poszedł do radiowozu, żeby połączyć się z posterunkiem. Maggie wołała nie rozmawiać o kościach.

- A więc znacie się? - zagadnęła jak gdyby nigdy nic.

- Chodziliśmy razem do szkoły. - Cliff zapatrzył się na szybującego między drzewami kruka. - Kilka lat temu ożenił się z moją kuzynką.

Maggie pochyliła się, zerwała jakiś kwiatek i zaczęła obrywać płatki.

- Masz dużą rodzinę.

Cliff wzruszył ramionami. Kruk wylądował na gałęzi i znieruchomiał.

- Sporą.

- W tym kilku Morganów.

- Owszem - przytaknął powoli. - Dlaczego?

- Zastanawiałam się, czy nie stąd bierze się twoja niechęć do mnie. Nie podoba ci się, że kupiłam dom Morgana...

Zwykle miał wielki respekt dla szczerości, tymczasem otwartość Maggie go irytowała.

- Nieprawda.

- A jednak nie podoba ci się, że kupiłam ten dom - upierała się Maggie. - Znieubiłeś mnie, zanim jeszcze poznałeś.

To prawda. Po pocałunku znieubił ją jeszcze bardziej.

- Joyce miała prawo sprzedać dom, komu chciała i kiedy chciała.

Maggie pokiwała głową, przyglądając się szczeniakowi, bawiącemu się w nowo nawiezionej ziemi.

- Joyce też jest twoją kuzynką?

- Do czego zmierzasz? Maggie podniosła wzrok.

- Próbuję zrozumieć atmosferę małych miasteczek. W końcu będę tu mieszkać.

- Zatem pierwsza rzecz, której powinnaś się nauczyć, to ta, że nie lubimy pytań.

Ludzie gotowi są wiele opowiedzieć, czasami więcej, niż byś chciała usłyszeć, ale nie wolno ich ciągnąć za język. Maggie zmarszczyła lekko brwi.

- Zapamiętam to sobie. - Całkiem zadowolona, że go zirytowała, skupiła uwagę na policjancie.

- Przyślą ekipę. - Bob spojrział na nią; na Cliffa, potem na pryzmę ziemi nad jarem. - Chłopcy pokręcą się tu trochę, a potem zabiorą, co wykopaliście.

- Co dalej? - chciała wiedzieć Maggie.

- Dobre pytanie. - Bob przestąpił z nogi na nogę. - Nigdy nie miałem do czynienia z takim przypadkiem. Pewnie poślą wasze znalezisko do ekspertyzy medycznej do Baltimore. Dopiero jak dostaniemy wynik, będzie można zacząć dochodzenie.

- Dochodzenie? - Maggie poczuła ucisk w gardle. - Jakie dochodzenie?

- Cóż, skoro ktoś został pochowany w jarze, to znaczy, że...

- ...ktoś go tam pochował - dokończył Cliff z wyraźną kpinią w głosie.

- Wszystkim nam dobrze zrobi kawa - orzekła Maggie i nie czekając na reakcję mężczyzn, skierowała się w stronę domu.

Bob zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

- Nie mogę uwierzyć. - Nie odrywał oczu od Maggie, która właśnie weszła na ganek.

- W to, że widzisz Maggie Fitzgerald, czy w to, że znaleźliśmy kości?

- W jedno i drugie. - Bob wyjął z kieszeni gumę do żucia, rozpakował jeden listek i włożył do ust. - Co taka sława robi na pustkowiu, w środku lasu?

- Może odkryła, że lubi drzewa.

- Ile ma tu ziemi? Dziesięć, dwanaście akrów?

- Dwanaście.

- Wygląda na to, że kupiła więcej, niż chciała. Cholera jasna, Cliff, nie mieliśmy w hrabstwie żadnej większej sprawy od czasu, gdy rąbnięty Mel Stickler podpalił stodołę. A w mieście to...

- A w mieście to dopiero się dzieje, co? Prawdziwy film akcji.

Bob zbyt dobrze znał Cliffa, żeby się obrażać.

- Lubię filmy akcji - stwierdził spokojnie. - A ta miejska dama cudownie pachnie.

- Co u Carol Ann?

Bob uśmiechnął się na wspomnienie żony.

- Wszystko w porządku. Posłuchaj, Cliff, jeśli facet nie ma oczu i nie potrafi docenić piękna, powinien iść do lekarza. Nie powiesz mi, że nie zauważyłeś, jaka to śliczna kobieta.

- Zauważyłem. - Spojrzał na kamień, na którym siedziała, kiedy ją pocałował. Pamiętał ten pocałunek w każdym najdrobniejszym szczególe. - Bardziej mnie interesuje robota, którą mi zleciła.

Bob zaśmiał się.

- Jeśli tak, to bardzo zmieniłeś się od czasów szkoły. Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy twoim starym chevroletem do tych bliźniaczek blondyneczek, co to ich rodzice wynajmowali przez jakiś czas dom Morgana? Na tym zakręcie, o tam, zgubiłeś tłumik.

- Pamiętam.

- Spacer po lesie... - wspominał Bob. - Najładniejsze dziewczyny w całej szkole. Szkoda, że ich ojca tak szybko przenieśli gdzie indziej.

- Kto tu mieszkał potem? - zastanawiał się Cliff. - Takie starsze małżeństwo z Harrisburga, Faradayowie. Długo tu mieszkali. Dopiero kiedy on umarł, ona przeniosła się do dzieci. Kilka miesięcy później Morgan zginął w wypadku. Od tamtego czasu dom stał pusty.

Bob wzruszył ramionami i obaj spojrzeli w stronę jaru.

- Będzie jakieś dziesięć lat.

- Dziesięć lat - powtórzył Cliff. - Kawał czasu. Z oddali doszedł ich odgłos nadjeżdżającego samochodu.

- Ekipa dochodzeniowa. - Bob założył na powrót czapkę. - Teraz to już ich sprawa.

Maggie obserwowała działania policji z ganku. Wyszedszy z założenia, że jeśli będą chcieli z nią rozmawiać, to ją poproszą, piła trzeci kubek mocnej, czarnej kawy. Wyglądało na to, że ludzie z dochodzeniówki znajdują się na swojej robocie. Przeszkadzałyby im tylko.

Przesiali ziemię i starannie zapakowali znalezione kości. Maggie mówiła sobie, że kiedy wywiozą feralne znalezisko, będzie mogła o nim zapomnieć. Oby tak rzeczywiście się stało. To, co trafiło właśnie do plastikowych toreb, było kiedyś żywą istotą ludzką: kobietą albo mężczyzną, kimś, kto myślał, czuł. I kto spoczął w jarze tuż obok jej domu. Nie, o czymś takim nie można zapomnieć.

Musi dowiedzieć się, kim była ta osoba, jak umarła i dlaczego została zakopana na terenie jej posesji. Musi poznać prawdę, jeśli ma mieszkać w tym domu. Kończyła właśnie kawę, gdy jeden z policjantów ruszył w kierunku ganku. Maggie podeszła do schodków.

- Proszę pani. - Policjant uklonił się i błysnął blachą. - Porucznik Reiker.

Porucznik wyglądał bardziej na księgowego niż na policjanta. Ciekawe, czy nosi pistolet pod marynarką? - przemknęło Maggie przez głowę.

- Skończyliśmy. Przepraszamy za kłopot.

- W porządku. - Zaciśnęła obie dłonie na kubku. Najchętniej wróciłaby teraz do domu, do swojej muzyki.

- Mam już raport funkcjonariusza, który przyjechał na wezwanie, ale chciałbym usłyszeć od pani, jak doszło do znalezienia szczątków.

„Szczątki”. Maggie wzdrygnęła się. To słowo brzmiało tak bezosobowo. Po raz drugi opowiedziała o tym, jak szczeniak zaczął rozkopywać ziemię. Mówiła spokojnie, bez drżenia w głosie.

- Niedawno kupiła pani ten dom?

- Tak. Wprowadziłam się kilka tygodni temu.

- I wynajęła pani Delaneya, żeby uporządkował posesję.

- Tak.

Spojrzała na Cliffa, który też rozmawiał z jednym z policjantów.

- Polecił mi go człowiek, który remontuje dom.

- Uhm. - Porucznik słuchał i robił notatki. - Delaney powiedział mi, że chciała pani zrobić oczko wodne w jarze.

Maggie zwilżyła wargi.

- Tak.

- Dobre miejsce na oczko wodne - przyznał takim tonem, jakby prowadzili towarzyską rozmowę. - Na razie proszę nic tam nie robić. Być może będziemy musieli obejrzeć jeszcze dokładnie ten jar.

Maggie zacisnęła mocniej palce na pustym kubku.

- Rozumiem.

- Oгородzimy na razie to miejsce siatką. Przed pani psem i dzikimi zwierzętami. - Porucznik postawił jedną stopę na najniższym stopniu ganku.

I przed ludźmi, dodała Maggie w myślach. Nie trzeba geniusza, żeby czytać między słowami. Zanim dzień się skończy, całe hrabstwo nie będzie mówić o niczym innym. Szybko uczyła się, jak wygląda życie na prowincji.

- Róbcie, co uważacie za stosowne.

- Dziękuję za zrozumienie, panno Fitzgerald. - Obracał długopis w palcach, jakby zastanawiał się nad czymś.

- Coś jeszcze?

- Wiem, że to nieodpowiedni czas. - Porucznik uśmiechnął się, zakłopotany. - Czy mógłbym prosić panią o autograf? Byłem wielkim fanem pani matki i chyba znam większość pani piosenek.

Maggie zaśmiała się. Absurdalny, nedorzeczny dzień. Wzięła podsunięty jej notes i długopis.

- Sam autograf czy mam napisać coś jeszcze?

- Gdyby pani mogła: „Mojemu przyjacielowi Harveyowi”.

Zanim spełniła prośbę, podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Cliffa, na poły szydzące, na poły rozbawione. Złożyła autograf i oddała notes porucznikowi.

- Nie znam się na waszych procedurach, ale byłabym wdzięczna, gdyby informował mnie pan o sprawie.

- Za kilka dni będziemy mieli raport lekarza sądowego. - Porucznik znowu przybrał oficjalny ton. - Wtedy będziemy wiedzieli trochę więcej. Dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi czas. Nie będziemy już pani przeszkadzać.

Maggie czuła na sobie spojrzenie Cliffa, ale już nie popatrzyła w jego stronę. Odwróciła się i weszła do domu. Po chwili przez otwarte okna popłynęła muzyka.

Cliff odpowiedział na wszystkie pytania policjantów i teraz słuchał dźwięków, dochodzących z pokoju muzycznego. Maggie grała coś z klasyki, nie rozpoznawał co, ale szybki, pełen pasji utwór wymagał ogromnej koncentracji. Terapia, pomyślał i podszedł do samochodu. Nie jego sprawa, że Maggie jest wytrącona z równowagi. Oznajmiła mu przecież, że przyjechała tutaj szukać samotności.

Ekipa dochodzeniowa zbierała się do odjazdu. Za chwilę Maggie zostanie sama. W muzyce słycać było napięcie i desperację. Zaklął pod nosem, wcisnął kluczyki na powrót do kieszeni i ruszył w stronę ganku.

Nie zareagowała na jego pukanie. Grała. Niewiele myśląc, pchnął drzwi frontowe. Dom rozbrzmiewał dźwiękami. Cliff stanął w progu pokoju muzycznego. Maggie pochyliła głowę, ale chyba nie widziała klawiszy. Talent? Bez wątpienia. A przy tym napięcie i bezbronność. Połączenie, które sprawiło, że poczuł się nieswojo, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego.

Chciał ją pocieszyć. W tych okolicznościach zachowałby się tak wobec każdego. Nie musiała nic dla niego znaczyć, żeby wyciągnął do niej rękę. Ranne ptaki, zabłąkane zwierzęta, zawsze miał do nich słabość. Głupio myślę, uznał i czekał, aż Maggie skończy.

Drgnęła zaskoczona, kiedy wreszcie podniosła wzrok. Cholera, zakląła w duchu.

- Myślałam, że już pojechałeś.

- Nie. Oni tak.

Odgarnęła wpadające do oczu włosy. Miała nadzieję, że sprawia wrażenie spokojnej.

- Jest coś jeszcze?

- Tak. - Podszedł do fortepianu i przeciągnął palcem po klawiszach, spojrzął na uchyloną pokrywę. Ani śladu kurzu w domu, w którym kurz zalegał wszędzie grubymi warstwami. Znak, jak ważna jest dla niej praca.

Maggie czekała na wyjaśnienie.

- Co takiego?

- Myślałem o steku.

- Że co proszę? Uśmiechnął się. Taką ją wolał.

- Nic nie jadłem.

- Przykro mi. - Maggie wyprostowała się. - Nie dysponuję stekiem.

- Jest niezła restauracja szesnaście kilometrów stąd. - Wziął ją za rękę, żeby wstała z taboretu. - Mam wrażenie, że zrobią stek lepiej niż ty.

Cofnęła rękę i spojrzała na niego uważnie.

- Wybieramy się na kolację?

- Właśnie.

- Dlaczego?

Sam sobie mógł zadać to pytanie.

- Ponieważ jestem głodny.

Ujął ją ponownie za rękę. Nie podniosła się z taboretu, jeszcze się opierała, ale bardzo chciała wyjść z domu, wyrwać się stąd, uciec, na kilka godzin zmienić otoczenie. Wcześniej czy później będzie musiała zostać sama, ale teraz...

Cliff to rozumiał i oferował to, czego właśnie potrzebowała.

Bez słowa wyszli z domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia Maggie zamierzała dokończyć tytułową piosenkę. Zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Nie myśleć o znalezisku, o dochodzeniu, o wynikach ekspertyzy medycznej.

Nie chciała też myśleć o Cliffie, o szalonym pocałunku i bardzo poprawnej wspólnej kolacji. Nie do wiary, że w obu przypadkach chodziło o tego samego człowieka.

Dzisiaj była wyłącznie kompozytorką, twórczynią muzyki. Jeśli przyjmie taką postawę, być może uwierzy, że wszystko, co zdarzyło się wczoraj, było udziałem kogoś innego.

Po posesji kręcili się robotnicy, usuwali resztki chwastów, nawozili ziemię, siali trawę, sadzili rośliny. Ciężarówka przywozła drewno, z którego miała powstać konstrukcja wzmacniająca osypujący się stok za domem.

Nic jej to nie obchodziło. Powinna dokończyć muzykę do filmu i zamierzała to zrobić. Była osobą zdyscyplinowaną i cokolwiek działo się wokół niej, wiedziała, że praca musi być wykonana. Widziała, jak ojciec kręcił filmy, pomimo że sprzęt się psuł, a aktorzy wpadali w histerię. Jak matka dawała koncerty, nie zważając na gorączkę. Życie ją rozpieszczało, to prawda, ale też nauczyło odpowiedzialności.

Dzisiaj najważniejsza jest muzyka do filmu. Skończy tę piosenkę. Może nawet doda na końcu taśmy coś osobistego, specjalnie dla C. J.

Nie wspomni mu oczywiście ani słowem o feralnym znalezisku. Po takiej wiadomości żadne pigułki uspokajające by mu nie pomogły. Biedaczysko, martwił się, że dach zawali się jej na głowę. Gdyby dowiedział się, że policja zbiera koło jej domu czyjeś szczątki do plastikowych worków, wsiadłby w najbliższy samolot i zabrał ją siłą do Los Angeles.

Ciekawe, czy Cliff poprzedniego wieczoru też użyłby siły, gdyby nie zgodziła się jechać z nim na kolację? Najprawdopodobniej. Stać go było na takie zachowanie. Mimo to kolacja upłynęła w bardzo milej atmosferze. Cliff okazał się uważnym, pełnym troski towarzyszem. Nawet serdecznym, czego się nie spodziewała. Pomyśleć, że uważała go za niesympatycznego, odpychającego osobnika.

Nie wracali do sprawy znaleziska, nie próbowali spekulować, co mogło się wydarzyć. Nie rozmawiali też o pracy. Po prostu gawędzili. Nie potrafiłaby teraz powiedzieć o czym, zapamiętała natomiast niewymuszony nastrój.

Zakłęła i skreśliła ostatnich pięć nut, które spisała z taśmy. Pomyliła się. Przynęła sobie, że nie będzie wracała myślami do poprzedniego dnia, a niestety, to właśnie robiła.

Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Powinna teraz przewinąć kasetę i zacząć raz jeszcze, od nowa. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi frontowych. To się nazywa spokojne wiejskie życie! Poszła otworzyć, zastanawiając się po drodze, gdzie po raz pierwszy usłyszała to określenie.

Na progu ujrzała uzbrojonego mężczyznę. Przypięta do koszuli khaki blacha informowała, że ma do czynienia z szeryfem. Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Jasne włosy, opalona twarz, pogodne niebieskie, otoczone zmarszczkami oczy kogoś, kto lubi się śmiać. Przemknęło jej przez myśl, że C.J. przysłał jej aktora prosto z castingu.

- Pani Fitzgerald?

C. J. był zbyt poważny na takie żarty. Poza tym pistolet wyglądał bardzo prawdziwie.

- Tak.

- Jestem szeryf Agee, Stan Agee. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie. - Uśmiechnęła się uprzejmie, choć z niejakim przymusem. Broń, blachy, służbowe samochody. Zbyt wiele policji w tak krótkim czasie.

- Zajmę pani kilka minut. Nie chcę się naprzykrzać.

Miała ochotę powiedzieć, że się naprzykrza, i zamknąć mu drzwi przed nosem. Nie tchórz, upomniała się i cofnęła, robiąc mu przejście.

- Domyślam się, że przyjechał pan w związku z wczorajszym... wydarzeniem. - Maggie pchnęła drzwi ramieniem, żeby je domknąć. - Nie wiem, co mogę panu powiedzieć.

- To musiało być paskudne przeżycie, panno Fitzgerald. Takie, o którym chciałoby się szybko zapomnieć. - W jego głosie dało się słyszeć dobrze wyważoną dozę współczucia połączonego z równie dobrze wyważoną dozą profesjonalizmu. - Jako szeryf i jako sąsiad, czułem się w obowiązku zajrzeć do pani i zaofiarować wszelką pomoc.

Maggie ponownie się uśmiechnęła, tym razem już bez przymusu.

- To bardzo miłe z pana strony. Chętnie poczęstuję pana kawą, jeśli przymknie pan oko na bałagan w kuchni.

Odwzajemnił uśmiech. Miał tak sympatyczną twarz, że Maggie niemal zapomniała o pistolecie.

- Nigdy nie odmawiam kawy.

- Kuchnia jest tam - powiedziała i zaśmiała się. - Po co ja to panu mówię? Zna pan przecież ten dom lepiej ode mnie.

Ruszyli do kuchni.

- Prawdę mówiąc, byłem tutaj zaledwie kilka razy. Morganowie przenieśli się, gdy Joyce była jeszcze dzieckiem.

- Mówiła mi.

- Od dziesięciu lat nikt tu nie mieszkał. Kiedy teść zginął, Louella przestała zajmować się tym domem. - Spojrzał na spękaną farbę na suficie.

- Ustanowiła fundusz powierniczy do czasu, aż Joyce skończy dwadzieścia pięć lat. Pewnie pani wie, że nie namawiałem żony na sprzedaż. Przeciwnie.

- Cóż... - Maggie krzątała się po kuchni, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

- Chyba liczyłem, że zrobimy tu w końcu kiedyś remont i wynajmiemy komuś. - Brzmiało to jak wyznanie człowieka, który wie, czym są marzenia, ale nie ma czasu na ich realizację. - Taki dom wymaga mnóstwa czasu i pieniędzy, żeby przywrócić go do przyzwoitego stanu. Joyce chyba jednak słusznie zrobiła, że go sprzedała.

- Mogę tylko się cieszyć, że podjęła taką decyzję. - Maggie włączyła ekspres i wskazała krzesło.

- Najęła pani Boga do napraw, Delaney do uporządkowania posesji... To najlepszy wybór.

- Stan uśmiechnął się szeroko, widząc pytające spojrzenie Maggie. - W małym miasteczku wieści rozchodzą się błyskawicznie.

- Domyślam się.

- Wracając do tego, co wydarzyło się wczoraj...

- Szeryf odchrząknął. - Wiem, że musiało to być dla pani ciężkie przeżycie. Joyce jest zupełnie wytracona z równowagi. Ktoś inny na pani miejscu spakowałby walizki i wyniósł się precz.

Maggie wyjęła kubki z szafki.

- Nie zamierzam się nigdzie ruszać.

- Cieszę się, że tak pani mówi. - Milczał przez chwilę, przyglądając się, jak nalewa kawę. Na szczęście ręce jej nie drżały. - Rozumiem, że Cliff był tutaj wczoraj.

- Tak. Przyjechał sprawdzić, jak posuwają się prace.

- I pani pies wykopał...

- Tak. - Maggie postawiła kubki na stole i usiadła. - To jeszcze szczeniak. Śpi teraz na górze. Miał zbyt wiele wrażeń.

Szeryf podziękował gestem za śmietankę.

- Nie przyjechałem wypytywać o szczegóły. To sprawa policji. Chciałem tylko zadeklarować: może pani do mnie dzwonić w każdej chwili, jeśli tylko uzna, że jestem potrzebny.

- Bardzo dziękuję. Nie znam się na procedurach, ale powinnam była chyba zatelefonować do pana już wczoraj.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje na moim terenie, ale w tym przypadku... - Wzdrygnął się. - I tak musiałbym natychmiast przekazać sprawę tym ze stanowej. - Na jego palcu błysnęła obrączka, taka sama jak Joyce: prosta, solidna, ze złota. - Widzę, że zabrała się pani za podłogę.

Maggie ocknęła się z zamyślenia.

- A... tak. Zerwałam stare linoleum. Trzeba będzie scyklinować deski.

- Niech pani zadzwoni do George'a Coopera - poradził szeryf. - Znajdzie go pani w książce telefonicznej. Ma elektryczną cykliniarkę, zrobi to pani raz - dwa. Proszę powołać się na mnie.

- Dobrze. Dziękuję. - Rozmowa powinna ją odprężyć: nic z tego, ciągle była zdenerwowana.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić. Joyce chce zaprosić panią na kolację. Robi najlepszą szynkę w całym hrabstwie.

- Będzie mi bardzo miło.

- Nie może się nadziwić, że ktoś taki jak pani zdecydował się zamieszkać w Morganville. - Szeryf popijał kawę, tymczasem kawa Maggie zdążyła wystygnąć. On był rozluźniony, ona spięta. - Ja specjalnie nie słucham muzyki, ale Joyce zna wszystkie pani piosenki. Czyta też te kolorowe pisma i raptem osoba, o której tyle piszą, kupuje od niej dom. - Spojrzał na drzwi kuchenne. - Powinna pani poprosić Boga, żeby założył blokady.

Maggie poszła za jego wzrokiem, myśląc, że trzeba naoliwić zawiasy.

- Blokady?

Stan zaśmiał się i dopił kawę.

- Zboczenie zawodowe. Człowiek zaczyna myśleć wyłącznie o bezpieczeństwie. To miłe, spokojne miasteczko, panno Fitzgerald. Nie chcę, żeby nabrała pani fałszywych wyobrażeń, ale będę czuł się lepiej, wiedząc, że ma pani porządne drzwi. W końcu mieszka tu pani sama. - Wstał i poprawił odruchowo kaburę. - Dziękuję za kawę. Proszę dzwonić, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

- Zapamiętam.

- Wyjdę tędy, a pani niech wraca do pracy. I proszę zatelefonować do George'a Coopera.

- Dobrze. - Maggie podeszła z nim do drzwi. - Dziękuję, szeryfie.

Przez chwilę stała nieruchomo, z głową opartą o framugę. Była zła, że tak łatwo ulega nastrojom. Szeryf przyjechał w najlepszej wierze, chciał powiadomić, że jest do jej dyspozycji. Tymczasem ją ta rozmowa zupełnie wytrąciła z równowagi. Za dużo tych stróżów prawa. Jak wtedy, kiedy zginął Jerry. Niekończące się pytania. Myślała, że ma to już za sobą, tymczasem sytuacja się powtarzała.

„Samochód pani męża wypadł z szosy. Nie znaleźliśmy jeszcze ciała, ale robimy, co w naszej mocy. Proszę przyjąć wyrazy współczucia”.

Tak, początkowo wszyscy okazywali współczucie: policja, jej przyjaciele, przyjaciele Jerry'ego. A potem pojawiły się pytania. „Czy mąż pił coś przed wyjściem z domu? Czy był zły, zdenerwowany? Pokłócili się państwo?”

Boże, czy nie dość, że zginął? Dlaczego doszukiwali się dziesiątek ukrytych przyczyn? Ile przyczyn może stać za śmiercią dwudziestoosmioletniego mężczyzny, który kieruje samochód w przepaść?

Owszem, wypił przed wyjściem z domu. Pił dużo, od momentu kiedy jego kariera zaczęła kuleć, a jej rozkwitać. Tak, kłócili się, bo żadne z nich nie mogło zrozumieć, co stało się z ich wspólnymi marzeniami. Odpowiadała na wszystkie pytania, musiała znosić wścibstwo prasy; myślała, że oszaleje.

Zacisnęła powieki. Tamto ma już za sobą. Zamknięty rozdział. Nie wskrzesi Jerry'ego i nie rozwiąże jego problemów. Znalazł własne rozwiązanie. Oderwała się od drzwi i przeszła do pokoju muzycznego.

W pracy znajdowała spokój i dyscyplinę, których tak bardzo potrzebowała. Zawsze tak było. Muzyka stanowiła ujście dla emocji. Uczyla się budować kompozycję, nadawać jej strukturę, zamykać w odpowiednim czasie, to była konieczność. Przede wszystkim jednak chodziło o emocje: jej i słuchaczy. Nic innego nie miało znaczenia.

Sam talent to za mało, wiedziała o tym. Jerry'emu nie wystarczył. Talentowi musi towarzyszyć dyscyplina i kreatywność. Maggie była utalentowana, zdyscyplinowana i kreatywna - miała wszystko.

Praca pochłonęła ją bez reszty. Tytułowa piosenka musiała być namiętna, pełna pasji, erotyzmu. Maggie chciała, żeby melodia poruszała zmysły, ożywiała pragnienia, budziła tęsknoty.

Nie zdecydowano jeszcze, kto zaśpiewa, miała więc pełną swobodę, mogła wybrać dowolny styl. Myślała o czymś bluesowym, w tle słyszała dźwięki saksofonu. Tak, to musi być zmysłowa piosenka. Ostatniej nocy, kiedy nie mogła zasnąć, zaczęła pisać słowa. Teraz usiłowała spleść je z muzyką.

Znalazła klucz: namiętność, nad którą nie sposób zapanować. Coś, czego sama doświadczyła poprzedniego dnia, na skarpie przed domem, w pełnym słońcu, z Cliffem.

Pożądaniu towarzyszy szaleństwo. Zamknęła oczy, wsłuchując się w muzykę i składając słowa. Czy sama nie zbliżyła się do szaleństwa, nie przekonała się o jego bolesnej słodczy? Czy nie pragnęła Cliffa? Kojarzył się jej z bezksiężycową, parną nocą, kiedy powietrze jest tak gęste, że czujesz je na skórze.

Słowa wypływały z jej własnych pragnień, wtapiały się w muzykę. Słowa kochanków, pełne desperacji, wypowiedane niskim, zdławionym głosem. Nikt, kto je usłyszy, nie pozostanie obojętny.

Kiedy skończyła, nie mogła złapać tchu. Była podniecona i szczęśliwa. Miała właśnie przewinąć kasetę, kiedy zobaczyła Cliffa w drzwiach.

Zamarła z uniesioną ręką. Przywołałam go tą piosenką, pomyślała. Czy to magia? Wyłączyła magnetofon i odezwała się najspokojniejszym głosem, na jaki było ją stać.

- Na wsi panuje taki zwyczaj, że wchodzi się do cudzych domów nieproszonym?

- Nie słyszysz pukania, kiedy pracujesz. Maggie przechyliła głowę.

- Co mogłoby oznaczać, że nie chcę, by mnie niepokojono.

- Mogłoby. - „Niepokojono”. Omal nie parsknął śmiechem na to określenie. Czym jest niepokojenie wobec emocji, które wywołała w nim piosenka Maggie? Musiał użyć całej swojej siły woli, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie pociągnąć za sobą na zakurzoną podłogę. Podszedł bliżej; wyczuwał teraz wyraźnie zapach perfum, których używała.

- Wczoraj straciłam sporo czasu. - Uniesienie towarzyszące pracy opadło i teraz Maggie czuła się osłabiona, bezbronna. - W Los Angeles czekają na tę muzykę. Muszę zdążyć na czas.

Cliff powtarzał sobie, że powinien trzymać się z daleka, a coraz bardziej uzależniał się od Maggie. Wiedział, że wbrew sobie gotów jest zrobić krok, po którym odwrót będzie niemożliwy. To nie była kobieta dla niego, ale połączyło ich coś, czego musieli razem doświadczyć.

- Wygląda na to, że skończyłaś - zauważył.

- O tym ja decyduję.

- Zagraj jeszcze raz. - Prośba zabrzmiała jak wyzwanie i Maggie tak ją odebrała.

Widział to w jej oczach. - Chcę usłyszeć jeszcze raz tę piosenkę.

Doskonale zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zaczęła przewijać kasetę. Ta piosenka to fantazja, mówiła sobie, tak jak cały film. Napisała ją z myślą o bohaterach, słowa, muzyka nie miały absolutnie nic wspólnego z nią samą i z Cliffem.

Wysłucha piosenki spokojnie, jak profesjonalistka, zwracając uwagę na detale techniczne. Na tym przecież polega jej praca. Okazało się, że nie jest to takie proste. Wstała i podeszła do okna. Kiedy pożądanie staje się zbyt silne, lepiej zachować dystans.

Nadchodzi noc, noc gorąca

Noc szaleństwa

Noc bez końca

Żarem krew rozpala

Porywa cię, unosi

Spełnia wszystkie pragnienia...

Cliff wsłuchiwał się w piosenkę. I tak jak obiecywał głos, czekał, by spełniły się jego pragnienia. Zanim zdążył podejść do Maggie, odwróciła się do niego. Słońce padające przez okno opromieniło jej głowę złotą aureolą.

Bez słowa położył jej dłoń na karku. Ona też się nie odezwała, ale czuł jej opór, nagłą sztywność ciała. Zrobiła krok do tyłu. Potrzebowała spokoju, stabilizacji. Cliff nie mógł jej tego dać.

Zacisnął mocniej palce, kiedy się cofnęła, co dla obojga było zaskoczeniem. Zapomniał o kulturalnym zachowaniu, tak jak zapomniał, że przyjechał tutaj tylko po to, by sprawdzić, jak Maggie się czuje. Pod wrażeniem piosenki, słów i muzyki, zaciskał teraz palce na jej karku. Maggie była wściekła, obrzuciła go groźnym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: Tylko się waż. Takiej reakcji właśnie oczekiwał.

Przysunął się jeszcze bliżej. Kiedy uniosła dłoń w proteście, chwycił ją za nadgarstek. Czuł pod palcami szybki, nierówny puls. Mierzyli się przez moment wzrokiem, a potem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Przed oczami Maggie rozbłysła feeria świetlistych barw. Dotąd mogła coś takiego tylko sobie wyobrażać. Objęła Cliffa i przygarnęła do siebie. Cały świat skurczył się do tej jednej, jedynej chwili, która zdawała się trwać w nieskończoność.

Czy na to właśnie czekała? Na rozkosz, która sprawia, że człowiek przestaje myśleć? Czy to były doznania, odczucia, które od tak dawna rozbrzmiewały w jej muzyce? Nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Pozostały tylko pragnienia.

Cliff też nie był w stanie myśleć. Maggie tak właśnie na niego działała. Wsunął dłonie pod jej bluzę i pieścił gładką skórę; wiedział, że taka będzie w dotyku. Maggie przywarła do niego, wyszeptała jego imię i w tej chwili coś w nim eksplodowało, coś nieokiełzanego i niekontrolowanego.

Stał się gwałtowny, porywczy, chociaż zawsze był delikatnym kochankiem. Nie myślał o tym, że może zadać ból. Wiedział, że nigdy nie nasyci się Maggie, nigdy nie będzie miał jej dość. Chciał więcej i więcej.

Doprowadzał ją do oblędu. Nikt nigdy nie pokazał jej, że może istnieć tak potężne pożądanie, które jest w stanie wypalić ją jak ogień, w jednej sekundzie ogarniający wszystko, by po chwili pozostawić zgłiszczoną. Jęknęła cicho. Pragnęła więcej i bała się, że gdy oprzytomnieje, zostanie z niczym.

- Nie - powiedziała z trudem. - Nie - powtórzyła. - To jakiś oblęd.

Cliff uniósł głowę. Oczy miał niemal czarne, oddychał nierówno. Maggie po raz pierwszy ogarnął lęk. Co ona wie o tym człowieku?

- Mówisz w swojej piosence o szaleństwie - powiedział. - Masz rację.

Tak, miała rację. Myślała o Cliffie, kiedy układała słowa. I powtarzała sobie, że potrzebny jej spokój i zdrowy rozsądek.

- Żadne z nas nie chce zwariować.

- Nie. - Cliff czuł, że jeszcze moment, a zupełnie straci kontrolę nad sobą. Pogładził Maggie po włosach. - Już nie możemy się zatrzymać. Pragnę cię, nawet jeśli nie powinienem.

Gdyby nie wypowiedział jej imienia... Nie zdawała sobie sprawy, że tak ją to może rozbroić. Oparła głowę na jego piersi. W Cliffie ten prosty, niezaplanowany gest obudził zupełnie nowe odczucia.

Ta kobieta potrafiła zajść głęboko za skórę. Jeśli na to pozwoli, nigdy się od niej nie uwolni. Chciał ją znowu objąć i walczył z sobą. Pragnął jej i zamierzał ją mieć. Co nie oznaczało, że się zaangażuje. Oboje wiedzieli, że to, co zaiskrzyło między nimi, wypali się prędzej czy później. Proste. Potem rozejdą się każde w swoją stronę.

Był podniecony, ale tym się nie przejmował. Martwiła go czułość, którą wzbudziła w nim Maggie. Powinni wrócić na bezpieczną ścieżkę. Położył jej dłonie na ramionach.

- Pragniemy się. - Brzmiało to tak prosto, że Cliff gotów był uwierzyć we własne słowa.

- Tak. - Maggie skinęła głową. Robiła teraz wrażenie spokojnej. - Wiesz chyba, że nie można mieć wszystkiego, czego się pożąda.

- To prawda, ale tym razem nie ma powodu odmawiać sobie spełnienia pragnień.

- Jest przynajmniej kilka. Prawie cię nie znam. Cliff się zachmurzył.

- Ma to dla ciebie jakieś znaczenie? Maggie cofnęła się gwałtownie.

- Wierzysz we wszystko, co przeczytasz. - Głos brzmiał ostro, w oczach pojawił się chłód. - Los Angeles, miasto grzeszników. Muszę cię rozczarować, ale nie miewam

przygodnych kochanków. Moje życie to jest to. - Uderzyła dłonią w fortepian, zrzucając partyturę. - Skoro wszystko o mnie wiesz, powinieneś wiedzieć także i to, że jeszcze dwa lata temu miałam męża. Choć to pewnie rozśmieszy cię do łez, byłam mu wierna przez sześć lat.

- Moje pytanie dotyczyło czegoś zupełnie innego. Mnie i ciebie. Wyłącznie. - W przeciwieństwie do Maggie Cliff mówił spokojnie.

- W takim razie oznajmiam ci, że nie zwykłam iść do łóżka z facetami, których nie znam.

- Jak dobrze musisz mnie poznać?

- Lepiej niż kiedykolwiek zdołam. Mam jeszcze jedną zasadę: trzymać się z dala od ludzi, którzy nie akceptują tego, kim jestem i jaka jestem.

- Być może nie wiem, kim jesteś i jaka jesteś.

Może chcę się tego dowiedzieć. - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Bez mojej dobrej woli raczej ci się to nie uda, nie sądzisz?

Unióśł brwi, jakby rozbawiło go to pytanie.

- Przekonamy się.

- A teraz zostaw mnie z łaski swojej samą. Mam mnóstwo pracy - zażądała stanowczo.

- Powiedz mi, o czym myślałaś, pisząc tę piosenkę.

- Prosiłam, żebyś zostawił mnie samą.

- Wyjdę. Odpowiedz tylko na moje pytanie.

- O tobie.

Uśmiechnął się, a potem unióśł jej dłoń do ust i ucałował.

- To dobrze. Myśl o mnie. Wróć tu.

Nie miała wyboru. Była skazana na rozmyślanie o nim.

Obudziła się w środku nocy, na wpół przytomna. Nie chciała śnić o Cliffie. I na pewno nie chciała budzić się w nocy z głową nabitą myślami o nim.

Patrząc w sufit, wsłuchiwała się w ciszę. W takich chwilach uświadamiała sobie, jak bardzo jest sama. Do tej pory w domu zawsze ktoś był oprócz niej, choćby ktoś ze służby. Tu od najbliższego domu w linii prostej dzieliło ją przynajmniej osiem kilometrów. Nie było klubów nocnych i całodobowych sklepów. Dotąd nie założyła nawet anteny telewizyjnej. Chciała być sama i była.

Dlaczego w takim razie łóżko wydaje się puste, a noc dłuży się w nieskończoność? Obróciła się na bok, usiłując otrząsnąć się z minorowego nastroju i przestać rozmyślać o Cliffie.

Zatrzeszczała jakaś deska na piętrze, ale Maggie nie zwracała uwagi na dziwne odgłosy. Stare domy wydają różne dźwięki w nocy, zdążyła się już do tego przyzwyczać. Znowu się przekręciła.

Nie chciała, żeby Cliff był z nią tutaj. Sama myśl o tym oznaczała wkroczenie na niebezpieczny grunt. Zaczęła układać w głowie listę zadań do wykonania na następny dzień.

Kiedy ponownie coś usłyszała, odruchowo spojrzała na sufit. Trzeszczenia i skrzypienia nie przeszkadzały jej. Spała w nowym domu spokojnie dopóty, dopóki nie poznała Cliffa Delaney'a. Rozległo się ciche zamykanie drzwi. Serce podeszło jej do gardła. Ktoś był w domu. Zacisnęła palce na kołdrze i nasłuchiwała.

Czy ktoś schodził z piętra, czy to wyobraźnia płata jej figle? Przerazona pomyślała o znalezisku w jarze. Odwróciła powoli głowę, szukając wzrokiem szczeniaka. Spał w nogach łóżka. Zamknęła oczy, próbując oddychać głęboko.

Jeśli pies nic nie usłyszał, to znaczy, że nic się nie dzieje. To tylko stare deski. Znowu jakieś odgłosy, tym razem na dole: ciche skrzypnięcie, jedno, drugie. Drzwi kuchenne? Ostrożnie sięgnęła po stojący przy łóżku telefon. Przykładając słuchawkę do ucha, przypomniała sobie, że wyłączyła aparat na dole, nie chcąc, by ktokolwiek jej przeszkadzał. Była bliska hysterii.

Myśl, nakazała sobie. Zachowaj spokój i pomyśl. Była sama, bez możliwości wezwania pomocy, zdana wyłącznie na siebie. Ile razy w ciągu minionych tygodni to sobie powtarzała?

Zasłoniła usta dłonią, żeby stłumić oddech, i nasłuchiwała. Cisza. Żadnych skrzypnięć, odgłosu kroków. Ostrożnie podniosła się z łóżka, wzięła do ręki stojący przy kominku pogrzebacz i usiadła w fotelu. Ściskając mocno w dłoni swoją broń, modliła się o nadejście poranka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minęło kilka dni i Maggie całkiem zapomniała o nocnych odgłosach. Rano po tamtej nocy miała poczucie, że zachowała się jak kompletna idiotka. Obudził ją szczeniak; zasnęła w fotelu, z pogrzebaczem na kolanach, jakby to był miecz. Było pogodnie, za oknem śpiewały ptaki, świat odzyskał realny wymiar i Maggie uznała nocne przeżycia za wytwór chorej imaginacji. Być może nie była wcale przygotowana do mieszkania samej. Dobrze, że wyłączyła telefon. W przeciwnym razie całe miasteczko dowiedziałoby się, że jest histeryczką.

Skądinąd miała prawo być wytrącona z równowagi. Robotnicy wykopują ludzkie szczątki koło jej domu, szeryf radzi, żeby założyła porządne zamki... Jediną pociechą było to, że skończyła muzykę do filmu. C.J. powinien być zadowolony. Może przestanie ją zamęczać, żeby wróciła do Los Angeles, i przynajmniej chwilowo da jej spokój.

Pozostawało tylko jechać na pocztę i wysłać partyturę oraz kasetę. Później uczi ukończenie pierwszej pracy w nowym domu.

Jechała wąską, wysadzaną drzewami drogą, nie spiesząc się zbytnio, podziwiając widoki, zgadując, co wyrosnie na polach, na których pracowali farmerzy, i jak będą wyglądały pobocza szosy, kiedy pąki rozwiną się w liście.

Na łące pasły się krowy, którym towarzyszyło kilka cielaków. Jakiś pies rozszczękał się na widok jej samochodu. Panika, w którą wpadła tamtej nocy, wydawała się jej teraz czymś żenującym i absurdalnym.

Mijała skromne wiejskie domki i okazałe, nowoczesne rezydencje otoczone idealnie przystrzyżonymi trawnikami. Na te ostatnie patrzyła z niechęcią. Dlaczego ludzie w tak głupi sposób niszczą otoczenie? Zaśmiała się głośno. Zaczyna myśleć jak Cliff Delaney. Każdy ma w końcu prawo mieszkać tak, jak chce. Wolała jednak stare domy otoczone drzewami.

Wjechała do Morganville. Zadbane ogródki, trochę samochodów na ulicach, chodniki. Poczta mieściła się w niewielkim ceglany budynku tuż obok banku. Koło skrzynki pocztowej stało dwóch mężczyzn. Przerwali rozmowę i przyglądali się, jak Maggie wjeżdża na parking i wysiada z samochodu. Przechodząc obok nich, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dzień dobry.
- Dzień dobry - odpowiedzieli równocześnie. Jeden z nich uchylił czapki.
- Ładny samochód.
- Dziękuję.

Weszła do niewielkiego budynku poczty bardzo zadowolona, że nawiązała, krótką wprawdzie, ale zawsze rozmowę.

Urzędniczka siedząca za ladą, jedyna zresztą, plotkowała z jakąś młodą kobietą z dzieckiem na ręku i liczyła znaczki.

- ...ale nie powiem ci, jak długo. - kończyła zdanie. - Nikt tam nie mieszkał od czasów Faradayów. Dziesięć lat minęło w zeszłym miesiącu. Stara pani Faraday raz w tygodniu zachodziła do mnie, żeby kupić znaczki za dolara. Jak w zegarku. Listy wtedy były tańsze. Masz tu znaczki za piątkę, Amy.

- Upiorna historia. - Młoda mama schowała znaczki do torby i poprawiła sobie malucha, który usiłował coś powiedzieć Maggie w swoim języku. - Gdybym ja znalazła kości koło domu, następnego dnia wystawiłabym tablicę „Na sprzedaż”. Billy mówi, że pewnie jakiś włóczęga wpadł do jaru, a nikt nawet nie zauważył, bo dom stał pusty.

- Bardzo możliwe. Policja dojdzie co i jak. Urzędniczka zwróciła się do Maggie:

- Mogę czymś służyć?

- Tak. - Młoda mama przyjrzała się Maggie z zaciekawieniem i wyszła. - Chciałam nadać polecony.

- Zobaczmy, ile waży. - Urzędniczka położyła kopertę na wadze. - Chce pani z potwierdzeniem odbioru?

- Proszę.

- Dobrze. Zapłaci pani trochę więcej, ale będzie pewność, że doszedł do rąk adresata. To jest strefa...

- Przerwała na widok adresu zwrotnego w lewym górnym rogu. Podniosła wzrok, spojrzała bystro na Maggie i zajęła się wypełnianiem potwierdzenia.

- Pani jest ta kompozytorka z Kalifornii, co to kupiła dom Morganów.

- Zgadza się. - Maggie nie bardzo wiedziała, co więcej może powiedzieć po zasłyszanej przypadkiem rozmowie.

- Całkiem ładna muzyka. - Kobieta stawiała starannie okrągłe literki. - Tego, co teraz grają, to ja nie rozumiem. Mam kilka płyt pani mamusi. Nikt się z nią nie może równać.

Maggie zrobiło się ciepło na sercu jak zawsze, kiedy ktoś mówił o jej matce.

- Też tak uważam.

- Pani podpisze tutaj. - Maggie pochyliła się, czując na sobie spojrzenie urzędniczki. Uświadomiła sobie, że przez ręce tej kobiety przechodzi cała jej korespondencja. - Morganówka to wielki, stary dom. Przyzwyczyła się pani?

- Powoli się zadomawiam. Jest tam mnóstwo do zrobienia.

- Tak to jest, jak człowiek przenosi się na nowe. Dla pani to musi być wielka odmiana. Maggie podniosła głowę.

- To prawda.

Może dlatego, że Maggie patrzyła jej w oczy i że odpowiedziała tak prosto, urzędniczka kiwnęła nieznacznie głową, jakby w pełni akceptowała decyzję sławy z Kalifornii.

- Bog zna się na swojej robocie. Młody Delaney także. Będzie pani zadowolona.

Maggie uśmiechając się, sięgnęła po portfel. Małe miasteczko. Żadnych sekretów.

- Przeżyła pani szok.

Spodziewała się tego rodzaju uwagi, przyjęła ją więc w sposób naturalny.

- Nikomu nie życzę podobnych doświadczeń.

- Wiadoma rzecz. Lepiej o wszystkim zapomnieć. I niech się pani dobrze mieszka w Morganówce. To piękny dom, tylko wymaga dobrej ręki. Louella bardzo o niego dbała za dawnych czasów. A kłopoty niech pani zostawi policji.

- Tak właśnie staram się myśleć. - Maggie schowała resztę do kieszeni. - Dziękuję.

- Miłego dnia.

Maggie wyszła z poczty w dobrym nastroju, zadowolona z siebie. Odetchnęła, wciągając głęboko w płuca wiosenne powietrze, uśmiechnęła się do dwóch mężczyzn, którzy ciągle konferowali koło skrzynki, i ruszyła do samochodu. Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy zobaczyła opartego o maskę Cliffa.

- Wczesnie zaczynasz dzień.

Uprowadził, że w tak małym miasteczku trudno się nie spotkać. Zezłościło ją, że ten facet zawsze musi mieć rację.

- Nie powinieneś teraz pracować?

Podał jej butelkę mineralnej, którą trzymał w dłoni.

- Właśnie wracam z jednego placu robót i jadę na następny. - Nie przyjęła butelki, więc podniósł ją do ust i upił łyk. - Nie widuje się takich wozów w Morganville. - Puknął w maskę Astona Martina.

Maggie okrążyła go i podeszła do drzwiczek od strony kierowcy.

- Wybacz. Nie mam czasu - powiedziała chłodno. Położył dłoń na jej ramieniu. Nic sobie nie robił ani z gniewnego spojrzenia, ani z zainteresowania stojących koło skrzynki mężczyzn. Przyjrzał się jej uważnie.

- Masz podkrążone oczy. Dobrze spałaś?

- Spałam bardzo dobrze.

- Nieprawda. - Cliff dotknął jej policzka. Za każdym razem, gdy widział, jaka jest krucha, tracił grunt pod nogami - Nie posądzałem cię o stosowanie uników.

- Naprawdę się spieszę.

- Za bardzo przejmujesz się tym znaleziskiem.

- Nawet jeśli, to co z tego? Jestem tylko człowiekiem. To normalna reakcja.

- Nerwowa się zrobiłaś. Chodzi o te kości czy o coś jeszcze?

Maggie znieruchomiła. Cliff być może nie spostrzegł zaciekawionych spojrzeń obu mężczyzn i urzędniczki w oknie budynku pocztowego, ale ona zauważyła.

- Nie twoja sprawa. A teraz skończ już tę scenę. Muszę wracać do domu i zabrać się do pracy.

- Nie lubisz scen? - Wyraźnie rozbawiony przyciągnął ją do siebie. - Nie przypuszczałbym, sądząc po tym, jak często się irytujesz.

- Przestań, Cliff. - Położyła mu dłonie na piersi. - Na litość boską, stoimy na głównej ulicy.

- Tak. I zaraz staniemy się najważniejszą wiadomością dnia.

Parsknęła głośnym śmiechem, zanim zdążyła się pohamować.

- A tobie bardzo się to podoba?

- Cóż... - Skorzystał z tego, że trochę się odprężyła, i objął ją. - Może. Chciałem z tobą porozmawiać.

Jakaś kobieta podeszła do skrzynki z listem w ręku i nie spieszyła się z jego wrzuceniem.

- Nie wiem, czy jest to najodpowiedniejsze miejsce na rozmowy. Puścisz mnie, z łaski swojej?

- Jeszcze moment. Pamiętasz naszą kolację kilka dni temu?

- Pamiętam. Cliff... - Dwaj mężczyźni ciągle stali obok skrzynki i obserwowali ich z zainteresowaniem. Teraz przyłączyła się do nich kobieta. - To naprawdę nie jest śmieszne.

- Mamy tu taki zwyczaj - ciągnął, jak gdyby nigdy nic - że jak ktoś zaprasza cię na kolację, powinnaś się zrewanżować.

Zniecierpliwiona do ostatnich granic, próbowała uwolnić się z jego objęć.

- Nie mam teraz czasu na rewanże. Może za kilka tygodni.

- Zjem, co podasz.

- Wpraszasz się na kolację do mnie?

- A to zły pomysł?

- Chwileczkę. Nie powiedziałam, że...

- Chyba że nie umiesz gotować.

W Maggie odezwała się ambicja gospodyni.

- Umiem gotować.

- Świetnie. Siódma?

Posłała mu swoje najbardziej wyniosłe spojrzenie.

- Dzisiaj wieczorem zamierzam kłaść tapety.

- Czasami musisz też jeść. - Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją szybko. - Do zobaczenia o siódmej - dodał i odszedł w kierunku swojego pick - upa. - Zadowolę się czymkolwiek. Nie jestem wybredny - rzucił jeszcze przez okno.

- Ty... - zaczęła, ale dalsze słowa zagłuszył warkot silnika.

Stała jeszcze przez chwilę na parkingu, kipiąc ze złości. Czując na sobie przynajmniej sześć par ciekawskich oczu, wsiadła do samochodu.

Przez całą drogę do domu klęła Clifffa, na czym świat stoi.

Po powrocie spodziewała się zastać na terenie posesji robotników Delaneya. Widok eleganckiego czarnego samochodu, parkującego na podjeździe trochę ją zdziwił. Nie miała ochoty z nikim się widzieć, przyjmować sąsiadów czy wielbicieli. Chciała zostać sama z cykliniarką, którą pożyczyła od George'a Coopera.

Kiedy wysiadła z astona, zobaczyła szczupłego pana o szpakowatych włosach; szedł w jej stronę skarpą przed domem, od strony jaru. Rozpoznała go.

- Dzień dobry, pani Fitzgerald.

- Dzień dobry. Porucznik Reiker, prawda?

- We własnej osobie.

Czy tak musi być? Człowiek wraca do domu i stwierdza, że po jego terenie kręci się policja. Mimo to postanowiła potraktować natręta życzliwie.

- Mogę w czymś panu pomóc?

- W rzeczy samej, pani Fitzgerald. - Porucznik przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, jakby miał problemy z biodrem. - Zapewne chciałaby pani kontynuować roboty, ale jesteśmy zmuszeni prosić, by wstrzymała się pani z oczkiem wodnym.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Otrzymaliśmy wstępny raport lekarza sądowego. Będziemy prowadzić dochodzenie.

Lepiej było nie pytać, nie wiedzieć, ale Maggie nie należała do ludzi, którzy chowają głowę w piasek. Czułaby niesmak do samej siebie, gdyby stchórzyła.

- Zapewne niewiele może mi pan powiedzieć, poruczniku, ale mam chyba prawo coś wiedzieć. To w końcu mój dom.

- Ta sprawa nie dotyczy pani w najmniejszym stopniu. To stara historia.

- Zdarzyła się na moim terenie, więc jednak mnie dotyczy. - Maggie miała w dłoni pasek od torby, zupełnie jak Joyce w czasie swojej wizyty. Zorientowała się, co robi, i szybko opuściła rękę. - Będzie mi łatwiej, poruczniku, jeśli mi pan powie.

Reiker przesunął dłonią po twarzy. Dochodzenie ledwie się zaczęło, a on miał już serdecznie dość tej sprawy. Może do dawnych zdarzeń nie należy wracać. Tak, z całą pewnością.

- Według raportu są to szczątki białego mężczyzny. W chwili śmierci miał pięćdziesiąt kilka lat.

Maggie poczuła ucisk w gardle.

- Jak długo... - zaczęła i musiała przerwać. - Jak długo tam leżał?

- Jakies dziesięć lat.

- Tyle, ile dom stał pusty - szepnęła. Pozbieraj się, nakazała sobie. To ciebie nie dotyczy. Racjonalnie rzecz biorąc, tak właśnie było. - Udało się ustalić przyczynę śmierci?

- Został zastrzelony - stwierdził porucznik krótko - z bliskiej odległości.

- Dobry Boże. - Morderstwo. Przecież podejrzewała to od pierwszej chwili. Spojrzała w stronę lasu i zobaczyła dwie wiewiórki, wspinające się po pniu drzewa. Jak to możliwe? - Po tylu latach... Trudno będzie ustalić tożsamość tego człowieka.

- Został zidentyfikowany dzisiaj rano. Zwróciła ku niemu pobladłą twarz i spojrzała na niego niewidzącymi oczami. Poczuli się paskudnie.

Jak prawie każdy facet w Stanach, przed dwudziestu laty podkochał się w jej matce. Był znacznie starszy od Maggie; mogłaby być jego córką. W takich chwilach jak ta klął w duchu, że wybrał zawód policjanta.

- Znaleźliśmy obrączkę. Bardzo ozdobną, grawerowaną, z trzema maleńkimi brylancikami. Godzinę temu Joyce Agee powiedziała nam, że to obrączka jej ojca. William Morgan został zamordowany i zakopany w jarze.

Niemożliwe. Maggie przeczesła włosy palcami, usiłując zebrać myśli. Reiker musi się mylić.

- Przecież William Morgan zginął w wypadku samochodowym...

- Dziesięć lat temu jego samochód spadł z mostu do Potomacu. Wóz wydobyto, ale ciała nigdy nie znaleziono. Dopiero teraz...

Spadł do wody, myślała Maggie w odrętwieniu. Jak Jeny. Jego ciało znaleziono po tygodniu. Przez ten tydzień przeszła piekło. Stała nieruchomo, patrzyła przed siebie i miała wrażenie, że jest dwoma różnymi osobami, żyjącymi w różnym czasie.

- Co teraz?

- Rozpoczęliśmy oficjalne dochodzenie. Nie dotyczy to pani. Jedyne, o co prosimy, to wstrzymanie robót w tej części posesji. Dzisiaj po południu ekipa jeszcze raz przeszuka to miejsce, by się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy.

- Dobrze. Jeśli to już wszystko...

- Wszystko.

- Gdyby mnie pan jeszcze potrzebował, będę w domu.

Idąc przez trawnik, powtarzała sobie, że sprawa sprzed dziesięciu lat rzeczywiście jej nie dotyczy. Dziesięć lat temu przeżywała własną tragedię, wtedy zginęli rodzice. Wchodząc na ganek, spojrzała w stronę jaru.

Ojciec Joyce Agee, pomyślała i przeszedł ją dreszcz. Sprzedała dom, nie wiedząc, co kryje się na terenie posesji. Dziękowała, że okazała zwykłą uprzejmość jej matce. Maggie wzięła do ręki leżącą koło telefonu karteczkę z kilkoma numerami telefonów i wystukała numer Joyce. Usłyszała w słuchawce cichy głos, niemal szept i ogarnęło ją współczucie.

- Dzień dobry, pani Agee... Joyce. Mówi Maggie Fitzgerald.

- Och... Dzień dobry.

- Nie chciałabym przeszkadzać. - Co ma powiedzieć? Nie odgrywa żadnej roli w tym dramacie. Przypadkiem nabyła od lat zapomniany kawałek ziemi, to wszystko. - Dzwonię, żeby powiedzieć, jak mi przykro. Jeśli tylko w czymś mogę ci pomóc... jestem do twojej dyspozycji.

- Dziękuję. - Ton głosu zmienił się. - To był szok. Zawsze myśleliśmy, że...

- Wiem. Nie musisz ze mną rozmawiać ani silić się na uprzejmość. Zadzwoiłam, bo pomyślałam, że... - Maggie przerwała, przesunęła dłonią po włosach. - Mam poczucie, że to wszystko przeze mnie.

- Lepiej znać prawdę. - Głos Joyce brzmiał teraz zupełnie spokojnie. - Martwię się o mamę.

- Jak ona się czuje?

- Nie potrafię powiedzieć. Chyba nie najlepiej. Jest teraz u nas. Badają lekarz.

Joyce musiała być bardzo zmęczona. Maggie знаła ten rodzaj cierpienia.

- Nie zatrzymuję cię w takim razie. Prawie się nie znamy, ale chciałabym pomóc. Dzwon, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała.

- Oczywiście. Dziękuję za telefon.

Maggie odłożyła słuchawkę. Bezcelowa rozmowa. Pusty gest. Nie знаła przecież Joyce Agee. Kiedy człowiek cierpi, potrzebuje wsparcia bliskich. Tak jak ona potrzebowała

Jerry'ego, gdy zginęli rodzice. Przypomniała sobie scenę sprzed kilku dni: Cliff ujmuje dłonie Joyce, patrzy z troską w jej twarz, coś do niej mówi. Kim byli dla siebie? Co ich łączyło?

Otrząsnęła się z zamyślenia i włączyła cykliniarkę.

Słońce już zachodziło, barwiąc niebo purpurą, kiedy Cliff dojeżdżał do Morganówki. W głowie kłębiły mu się nieskładne myśli. William Morgan zamordowany. Ktoś go zastrzelił i zakopał na terenie należącej do niego posesji, a potem usiłował zatrzeć ślady, spychając samochód do rzeki.

Cliff był na tyle blisko z Morganami i na tyle dobrze znał mieszkańców Morganville, by wiedzieć, że niejednen mógł życzyć Williamowi śmierci. Był twardym, zimnym człowiekiem, z niezwykłym talentem do robienia pieniędzy i przysparzania sobie wrogów. Ale czy ktoś, kogo Cliff dobrze znał, spotykał na ulicy, z kim rozmawiał na co dzień, mógł rzeczywiście zamordować Morgana?

Prawdę mówiąc, los starego niewiele go obchodził, martwił się o Louellę i Joyce. Szczególnie o Joyce. Nie chciał jej widzieć taką spiętą jak tamtego popołudnia. Znaczyła dla niego więcej niż jakakolwiek inna kobieta, a on nie potrafił jej pomóc. Stan musi to zrobić, pomyślał, biorąc zakręt.

Diabli wiedzą, czy policja natrafi na jakiś trop. Nie bardzo w to wierzył, w końcu minęło dziesięć lat. A to oznaczało, że Joyce będzie musiała żyć ze świadomością, iż ojciec został zamordowany, a morderca uszedł kary. Czy będzie przyglądała się sąsiadom i zastanawiała: może to on?

Cliff zaklął i skręcił na drogę dojazdową, prowadzącą do Morganówki. Martwił się jeszcze o kogoś, ale tym razem nie mógł usprawiedliwić swojej troski długoletnią, serdeczną przyjaźnią.

Jeszcze tego trzeba, żeby zamartwiał się o Maggie Fitzgerald! To kobieta z innego świata, bywalczyni eleganckich przyjęć i uroczystych premier. On lubił samotność, ona światowe życie. Ona wołała szampana, on dobrze schłodzone piwo. Ona podróżowała po Europie, jemu wystarczała wyprawa w dół rzeki. Była ostatnią osobą, o którą powinien się martwić.

Wyszła za muzyka, którego talent rozbłysnął jak kometa i wypalił się równie szybko. Otaczała się znanymi postaciami ze świata mediów i filmu. Smokingi, jedwabne muszki, brylantowe spinki do mankietów, wyliczał w myślach zgryźliwie. Jakim cudem wdepnęła w tę ponurą historię? I w jego życie?

Zatrzymał pick - upa obok jej samochodu i przez chwilę patrzył na dom. Być może zdecyduje się jednak wrócić na Zachodnie Wybrzeże. Wolałby, żeby zniknęła. Przestałby o

niej myśleć. I ta jej muzyka. Tu puścił wiązaną przekleństw. Muzyka nocy. Pragnął Maggie Fitzgerald, jak nie pragnął dotąd żadnej kobiety. Nie potrafił tego przezwyciężyć. Nie był w stanie nad tym zapanować.

Po co przyjechał? Dlaczego nalegał na spotkanie, na które ona nie miała najmniejszej ochoty? Ponieważ nie chciał nic przezwyciężyć. Nie chciał panować nad emocjami.

Idąc do drzwi frontowych, powtarzał sobie, że ma do czynienia z kobietą inną niż wszystkie, z jakimi dotąd się stykał. Bądź ostrożny, napomniął się i dopiero zapukał.

Maggie chwyciła za klamkę oburącz i pociągnęła z całych sił. Musiała szarpnąć dwa razy, zanim drzwi ustąpiły przy wtórze opętańczego ujadania Zbója.

- Poproś Boga, żeby coś z tym zrobił - poradził Cliff i nachylił się, aby potarmosić szczeniaka. Ten natychmiast przewrócił się na grzbiet, wystawiając brzuszek do drapania.

- Aha. - Cieszyła się, że przyjechał. Czekala na Cliffa całe popołudnie. - Zamierzam.

Sposób, w jaki Maggie stała, jak zaciskała dłoń na klamce, wskazywał, że jest spięta. Cliff to zauważył, ale nie dał po sobie poznać. Przechylił lekko głowę i zapytał zaczepnie:

- Co na kolację? Rozbawił ją; parsknęła śmiechem.

- Hamburgery.

- Hamburgery?

- Sam się wprosiłeś - przypomniała mu. - Twierdziłeś, że możesz zjeść cokolwiek.

- Rzeczywiście. - Po raz ostatni podrapał psa za uchem i podniósł się.

- To pierwsza kolacja, jaką wydaję w tym domu, więc postanowiłam zaserwować moją specjalność. Mam dwie: hamburgery albo zupa z puszki i sandwicze.

- Jeśli tak się odżywasz, to nic dziwnego, że jesteś taka szczupła.

Maggie spojrzała po sobie, jakby chciała sprawdzić zasadność słów Cliffa.

- Zdajesz sobie sprawę, że krytykowanie mnie weszło ci w nawyk?

- Nie powiedziałem, że nie lubię szczupłych kobiet.

- Nie w tym rzecz. Chodź do kuchni. Będę smażyć hamburgery, a ty możesz dalej się wyzłośliwiać.

Maggie zdążyła zdrzeć część starych tapet w holu. Rzeczywiście całkiem poważnie zabierała się za odnawianie. Zastanawiał się dlaczego. Stać ją było na wynajęcie najlepszych ekip remontowych, najdroższych dekoratorów wnętrz. Wszystko trwałoby kilka tygodni, zamiast ciągnąć się miesiącami, jeśli nie latami. Od razu zauważył świeżo scyklinowaną podłogę w kuchni.

- Dobra robota. - Nachylił się machinalnie i przesunął palcami po deskach. Szczeniak potraktował to jako zaproszenie i polizał go po twarzy.

Maggie uniosła brwi.

- Dziękuję - powiedziała z przekąsem.

Cliff nie mógł zaprzeczyć, że od samego początku nie szczędził jej zgryźliwości. Miał swoje powody. Pierwszym i najważniejszym był efekt, jaki na nim wywierała.

- Pozostaje tylko pytanie, dlaczego to robisz.

- Po prostu było trzeba. - Maggie zaczęła przygotowywać hamburgery.

- Pytam, dlaczego robisz to sama.

- To mój dom.

Podszedł do blatu i stanął obok niej. Po chwili złapał się na tym, że znowu patrzy na jej dłonie.

- W Kalifornii też cyklinowałaś podłogi w swoim domu?

- Nie - odparła i zaczęła układać hamburgery na gazowym grillu nad kuchenką. - Ile zjesz?

- Jeden wystarczy. Dlaczego cyklinujesz podłogi i kładziesz tapety?

- Bo to mój dom - powtórzyła, po czym wyjęła sałatę z lodówki i zaczęła rwać liście do miski.

- W Kalifornii to też był twój dom.

- Nie tak jak ten. To coś innego. - Odłożyła sałatę i odwróciła się do Cliffa. Zniecierpliwienie, irytacja, wszystko to mógł wyczytać bez trudu z jej twarzy. - I tak nie zrozumiesz. Nie musisz. Ten dom jest wyjątkowy. Nawet po tym, co się wydarzyło, nadal jest taki.

Rzeczywiście nie rozumiał, ale bardzo chciał.

- Policja się z tobą kontaktowała.

- Tak. - Wróciła do rwania sałaty. - Porucznik Reiker odwiedził mnie dzisiaj rano. Cholera, Cliff, czuję się paskudnie. Zadzwoiłam do Joyce i zrobiłam z siebie idiotkę. Nie powinnam się wtrącać.

- Dzwoniłaś do niej? - Dziwne, że Joyce nie wspomniała mu o tym ani słowem. Ale, z drugiej strony, Joyce zawsze niewiele mówiła. Położył Maggie dłonie na ramionach. - To sprawa Joyce, Louelli i policji, nie twoja.

- Też sobie to powtarzam. Racjonalnie rzecz biorąc, owszem, ale... - Odwróciła się do niego. Potrzebowała go teraz. - To wydarzyło się tutaj. Jestem zamieszana w tę historię, chcę tego czy nie. Kilka kroków od mojego domu został zamordowany człowiek. Zabito go w miejscu, gdzie chciałam założyć oczko wodne. Teraz...

- Teraz dzieli cię od tamtych wydarzeń dziesięć lat - przerwał jej Cliff.

- Jakie to ma znaczenie? - zachnęła się. - Moi rodzice zginęli dziesięć lat temu. Czas nie gra tu żadnej roli.

- Śmierć rodziców to coś zupełnie innego. Maggie westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu.

- Wiem, jak Joyce się czuje. Nie potrafię zapomnieć o tej historii.

Im więcej mówiła o Joyce, tym mniej Cliff myślał o małomówniej przyjaciółce, zaabsorbowany coraz bardziej Maggie. Zanurzył palce w jej włosach. Nie czuł teraz pożądania, odezwał się w nim instynkt opiekuńczy. Może jednak będzie w stanie coś dla niej zrobić, pomyślał, odciągając ją od kuchennego blatu.

- Nie znałaś Williama Morgana.

- Nie, ale...

- Ja znałem. To był zimny, bezwzględny człowiek. Nie wiedział, co to współczucie, wielkoduszność. - Spojrzał na grill, sprawdzając, czy hamburgery już gotowe. - Pół miasteczka świętowało jego śmierć, ale przez wzgląd na Louellę ludzie nie okazywali, co naprawdę myślą. Ona go kochała. Joyce też, chociaż obydwie się go bały. Policji nie będzie łatwo dojść, kto go zabił. Nikomu nie zależy na znalezieniu sprawcy. Ja sam serdecznie go nie lubiłem, zresztą z różnych powodów.

Nie podobało się jej, że Cliff mówi o śmierci Morgana tak spokojnie, z takim chłodem. Chyba rzeczywiście nie rozumieli się nawzajem. Maggie wróciła do przygotowywania sałaty.

- Joyce? - rzuciła niby od niechcenia.

- Owszem. Morgan uważał, że dzieci należy wychowywać w dyscyplinie. Joyce była dla mnie jak siostra. Kiedy zobaczyłem, jak Morgan chce ją zlać pasem, a miała wtedy szesnaście lat, zagroziłem, że go zabiję, jeśli uderzy.

Powiedział to tak zwyczajnie, że Maggie na moment zamarła. Spojrzała na Cliffa pytająco.

- Połowa miasteczka miała swoje powody, żeby życzyć mu rychłej śmierci. Nikt go nie oplakiwał, kiedy wydobyto samochód z rzeki.

- Nikt nie ma prawa odbierać życia - powiedziała Maggie drżącym głosem. - Ani sobie, ani drugiemu człowiekowi.

Przypomniał sobie, że samochód jej męża też został wydobyty z wody i że policja ostatecznie stwierdziła samobójstwo.

- Nie porównuj.

- Porównania same się narzucają.

- Jerry Browning zmarnował swoje życie i talent. To była jego tragedia. Zamierzasz się o to obwiniać?

- Nie obwiniałam się i nie obwiniam - odparła Maggie zmęczonym głosem.

- Kochałaś go?

- Nie dość mocno.

- Wystarczająco, żeby pozostać mu wierną przez sześć lat - stwierdził Cliff rzeczowo.

Uśmiechnęła się, słysząc, jak powtarza jej własne słowa.

- Tak, ale to bardziej kwestia lojalności niż wierności, nie sądzisz?

Cliff dotknął delikatnie jej policzka.

- Mówisz, że się nie obwiniasz.

- Branie na siebie winy a poczucie odpowiedzialności to dwie różne rzeczy.

- Nie. - Pokręcił głową. - Tym razem nie wchodzi w grę ani wina, ani odpowiedzialność. To szczyt egotyzmu, branie odpowiedzialności za czyjeś czyny.

Chciała odparować, ale ostatecznie przyznała mu rację.

- Być może. - Uśmiechnęła się, chociaż nie przyszło jej to łatwo. - Hamburgery już chyba gotowe. Siadajmy do jedzenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W kuchni zrobiło się przytulnie: pachniało jedzeniem, o szyby uderzyły pierwsze krople deszczu. Miło jest siedzieć w ciepłym pomieszczeniu, pod lampą, kiedy za oknami pada. Rodzice Maggie żyli wystawnie: przestronne, eleganckie wnętrza, wytworne przyjęcia, ekscentryczni znajomi. We własnym domu w Beverly Hills Maggie odtworzyła ten model. Być może na tym etapie życia potrzebowała ekstrawagancji albo po prostu do niej przywykła. W pewnym momencie zaczęło ją to jednak męczyć. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zrelaksowana jak teraz. Siedząc przy kolacji we własnej, przytulnej kuchni z człowiekiem, którego prawie nie знаła.

Cliff był silny, a ona uważała, że nie potrzebuje silnego mężczyzny. Jej ojciec zawsze osiągał to, co sobie zaplanował. Miał wyrazistą osobowość, był zdyscyplinowany. Matka dorównywała mu niezwykłą witalnością oraz determinacją w dążeniu do celu. Maggie nie spotkała lepiej dobranej pary niż oni.

Bardzo się kochali. Nigdy ze sobą nie konkurowali, nie zazdrościli sobie nawzajem sukcesów. Wspierali się. Być może w tym tkwiła tajemnica trwałości ich związku: bezwarunkowe wzajemne wsparcie. Z Jerryem nie udało się stworzyć podobnej relacji. Uważała małżeństwo rodziców za wyjątkowe.

W jej własnym zabrakło równowagi. Jerry stawał się coraz słabszy, ona mocno stanęła na nogach. W końcu doszli do punktu, w którym to ona cały czas musiała wspierać męża. Nie odeszła od niego, bo byli przyjaciółmi. Przyjaciele pomagają sobie w biedzie.

Ciekawe, jakim przyjacielem byłby Cliff, zadała sobie w duchu pytanie, obserwując go dyskretnie. A jakim kochankiem?

- O czym myślisz?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że Maggie omal nie przewróciła kieliszka. Nie mogła mu przecież szczerze powiedzieć, nad czym się zastanawiała.

- O tym - zaczęła powoli, upijając łyk wina - jak przytulnie jest tak siedzieć i jeść w kuchni. Remont jadalni zostawię chyba na sam koniec.

- Rzeczywiście o tym właśnie myślałaś? - W głosie Cliffa zabrzmiało niedowierzanie.

- Mniej więcej. - Całe życie udzielała wywiadów i wiedziała, jak robić uniki. Sięgnęła po butelkę i napełniła kieliszek Cliffa. - To bordeaux to jeszcze jeden prezent od mojego agenta. Albo kolejna próba przekupstwa - dodała.

- Przekupstwa?

- Chce, żebym oprzytomniała, zostawiła to pustkowie i wróciła do cywilizacji.

- Uważa, że przekona cię, przysyłając szczeniaki i francuskie wina?

Maggie zaśmiała się i upiła łyk.

- Gdybym nie była tak przywiązana do tego miejsca, może by mu się udało.

- Tak właśnie to odczuwasz? Jako przywiązanie? Maggie spoważniała w jednej chwili.

- Ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że są rośliny, które szybko zapuszczają korzenie.

- Istotnie - przytaknął. - Są też takie, które nigdy nie przyjmą się na nowym gruncie.

Zaczęła stukać paznokciem w kieliszek. Dlaczego tak bardzo przeszkadzała jej nieufność Cliffa?

- Nie wierzysz w moje intencje, prawda?

- Być może. - Wzruszył ramionami, jakby chciał zbagatelizować sprawę. Sam już nie był pewien, co właściwie sądzić o Maggie. - W każdym razie to interesujące obserwować, jak próbujesz się tu zadomowić.

- Jak mi idzie? - zapytała tym samym lekkim tonem.

- Lepiej niż przypuszczałem. - Uniósł kieliszek niby w toaście. - Za wcześnie jeszcze osądzać.

ZAŚMIAŁA SIĘ: kolejna sprzeczka byłaby stratą czasu.

- Urodziłeś się taki cyniczny czy pobierałeś lekcje?

- A ty urodziłaś się optymistką?

- *Touche* - skapitulowała. Zapomniała o jedzeniu i obserwowała Cliffa. Lubiała jego twarz; oczy pozostawały nieprzeniknione, nic z nich nie potrafiła wyczytać. Bez jego wyraźnego przyzwolenia nikt nie miał do niego dostępu. - Wiesz... - zaczęła z namysłem - jak już przeszła mi złość, że się wprosiłeś, byłam zadowolona, że przyjedziesz na kolację. - Uśmiechnęła się szeroko. - Gdyby nie twoja dzisiejsza wizyta, nie wiem, kiedy otworzyłabym wino.

Teraz Cliff się uśmiechnął.

- Irytuję cię?

- Chyba masz tego świadomość - odparła cierpko. - W dodatku z jakichś powodów sprawia ci to wyraźną satysfakcję.

Cliff upił łyk wina. Było odpowiednio ciepłe, miało bogaty bukiet.

- Rzeczywiście - przytaknął z taką swobodą, że Maggie znowu się roześmiała.

- Uwziąłeś się akurat na mnie czy po prostu lubisz drażnić ludzi?

- Uwziąłem się na ciebie.

Maggie miała włosy upięte do góry, podkreślone kredką oczy, usta nietknięte szminką. Oto kobieta, która wie, jak subtelnie wyeksponować urodę, pomyślał Cliff.

- Lubię z tobą przebywać - podjął po chwili. - Nawet lubię patrzeć, jak się złościś.

- I prowokujesz mnie tak długo, aż wpadam w irytację.

- Tak jest.

- Dlaczego?

- Nie jesteś mi obojętna - powiedział Cliff cicho. - Chciałbym myśleć, że też nie jestem ci obojętny.

Siedziała przez moment nieruchomo, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, a potem wstała i zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

- Nie jesteś. Napijesz się jeszcze wina czy wolisz kawę?

Położył dłonie na jej dłoniach i podniósł się powoli.

- Chcę się z tobą kochać.

Nie jest przecież dzieckiem, powiedziała sobie. Nie raz, nie dwa rozmaici mężczyźni składali jej podobne propozycje. Nie korzystała z nich. Ale też żaden z tych mężczyzn nie pociągał jej tak jak Cliff.

- Już to przerabialiśmy.

Kiedy próbowała się odwrócić, ścisnął mocniej jej palce.

- I nie doszliśmy do żadnego wniosku.

Nie będzie się wykręcać. Nie ucieknie. Musi stawić mu czoło.

- Napijmy się kawy. Ty musisz wracać do domu, na mnie czeka praca.

Cliff odebrał jej wreszcie talerze i odstawił na stół. Nie wiedząc, co zrobić z pustymi rękami, założyła je swoim zwyczajem na piersi. Zawsze to robiła, kiedy była zdenerwowana.

- Nie doszliśmy do żadnego wniosku - powtórzył i wyjął spinkę z jej włosów. - Nawet nie próbowaliśmy.

Cofnęła się o krok.

- Chyba jasno wyraziłam swoje stanowisko - oznajmiła stanowczym, taką miała nadzieję, tonem. Oparła się o blat. Cliff wyciągnął kolejną spinkę. Zakręciło się jej w głowie, serce zabiło szybciej. Pożądanie to wielka pokusa. - Nie powiedziałam, że cię nie pragnę...

- Nie, nie powiedziałaś - przerwał jej Cliff. Wyjął jeszcze jedną spinkę i włosy opadły jej na ramiona. - Nie potrafisz kłamać.

Jeszcze kilka minut temu czuła się taka zrelaksowana, a teraz była sztywna, jakby każdy mięsień opierał się temu, co nieuniknione.

- Nie potrafię. Nie znam cię i ty mnie nie rozumiesz.

- Nie obchodzi mnie, że się nie znamy i nie rozumiemy. Wiem, że cię pragnę. - Zebrał jej włosy w dłoń. - Ty też mnie pragniesz. Wystarczy mi cię dotknąć, by to poczuć.

- Naprawdę uważasz, że to takie proste?

Jeśli chciał wyjść z tego cało, relacje z Maggie powinny pozostać czysto fizyczne. Będą kochali się przez całą noc, do całkowitego wyczerpania. Rano po pożądaniu nie zostanie śladu, uwolnią się od niego. Chciał w to wierzyć. W przeciwnym razie...

- A dlaczego miałyby być skomplikowane?

- Właśnie. Dlaczego?

Kuchnia straciła przytulność. Maggie odniosła wrażenie, że udusi się, jeśli stąd zaraz nie ucieknie. W jej oczach pojawił się gniewny błysk, Cliff natomiast zdawał się zupełnie spokojny. Usiłowała pozbierać myśli. Skąd u niej te romantyczne rojenia? Nie była przecież nastolatką, która marzy o wielkiej miłości, tylko wdową, samodzielną kobietą, umiejącą poruszać się w realnym świecie. A w takim świecie ludzie zaspokajają swoje pragnienia, a potem radzą sobie z konsekwencjami.

- Sypialnia jest na górze - rzuciła i wyszła z kuchni.

Cliff stał przez chwilę z ponurą miną. Tego przecież chciał: żadnych komplikacji. A jednak zgoda Maggie była zbyt zaskakująca. Nie, jednak nie tego oczekiwał, pomyślał, ruszając ku schodom.

Dogonił ją na pierwszym stopniu. Ujął za rękę i poczuł, że Maggie jest spięta. Tak, chciał właśnie czegoś takiego, a nie zimnej, wypranej z emocji zgody. Chciał, żeby napięcie narastało, przemieniło się w namiętność. Zanim noc się skończy, oboje uwolnią się od pożądania, oczyszczą.

W milczeniu weszli na piętro.

Rozpadało się na dobre i odgłosy deszczu nasunęły Maggie myśl o rytmicznym, perkusyjnym tle do piosenki, którą właśnie skomponowała. Noc była bezksiężycowa, nie zapalili światła i Maggie poruszała się po omacku, na pamięć.

Co teraz? - zadała sobie pytanie, kiedy znaleźli się w sypialni. Ogarnęła ją panika. Dlaczego przyprowadziła go tutaj, gdzie nikt nie powinien mieć wstępu? Pragnęli się nawzajem. Rzecz niewytłumaczalna i nie do zanegowania.

Całe szczęście, że nie zapaliła światła, i Cliff nie mógł widzieć, jak nurtujące ją wątpliwości odbijają się na twarzy. Ciemności dawały ochronę, poczucie anonimowości. Kiedy jej dotknął, zeszywniała targana sprzecznymi odczuciami.

Przesunął dłońmi po jej plecach. Wcale nie chciał, żeby już się odprężyła. Jeszcze nie. Chciał czuć, że Maggie zмага się ze sobą i swoimi emocjami, zahamowaniami, narastającym pożądaniem.

- Nie zamierzasz poddać się temu, co przed nami, prawda?

- Nie - odparła, a jednak poczuła dreszcz rozkoszy, gdy wsunął dłonie pod jej sweter.

- A masz wybór?

- Niech cię diabli! Nie mam żadnego. Przesunął teraz dłonie w górę pod swetrem aż dotknął jej włosów.

- Oboje nic nie poradzimy na to, że się pragniemy. Musi stać się to, co nieuniknione.

- Kochaj się ze mną - zażądała nagle. Szybka, dobrowolna decyzja... Takich decyzji nie można potem żałować. - Weź mnie teraz.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Oboje porwał potężny wir, nad którym stracili kontrolę. Poddali się przemożnej namiętności.

Miłość? Pytanie pojawiło się nieoczekiwanie, kiedy Maggie zaczęła wracać do rzeczywistości.

Jeśli tak miało wyglądać kochanie się, to znaczy, że dotąd była niewinną dziewczyną. Czowała się tak, jakby biegiem zdobyła szczyt górski, a potem runęła z niego w przepaść. Pisała piosenki o namiętności, a tak naprawdę, jak się okazało, do tej pory nic o niej nie wiedziała.

Aż pojawił się ktoś, kto sprawił, że fantazje stały się realne. Za jego sprawą pojęła wreszcie, o co tak naprawdę chodziło w jej muzyce. Jednak to zrozumienie rodziło dziesiątki nowych pytań.

Czuła w sobie niezwykłą siłę połączoną z zadziwieniem. Jak długo czekała na tę noc? Być może namiętność skrywa się gdzieś głęboko, nierozpoznana, aż w pewnym momencie pojawi się ktoś, kto ją wyzwoli.

Tak było z bohaterką filmu, do którego właśnie skomponowała muzykę. W jej życiu zjawia się nieoczekiwanie mężczyzna, z którym niewiele ją łączy, a jednak to spotkanie zmienia wszystko. Dziewczyna zdaje się być niezależna, samodzielna, odnosi sukcesy, jest przekonana, że niczego więcej nie pragnie. Nagle jej skala wartości ulega całkowitemu przeobrażeniu.

Jeśli Maggie ma przytrafić się to samo, jest jeszcze czas, by się wycofać, zanim pożądanie wypali ją od środka i nic nie będzie już takie jak dawniej. Nie potrafili się hamować, panować nad emocjami. Odkrywali stany ekstremalne, niebezpieczne, wyniszczające człowieka.

Przeznaczenie rzuciło ją na odludzie i zetknęło z tym małomównym człowiekiem. Czego naprawdę szukała: spokoju czy burzy? Czy starczy jej sił, by sprostać własnym decyzjom, ponosić ich konsekwencje?

Co dalej? - zadała sobie w duchu pytanie, wpatrując się w mrok.

Cliff milczał. Chciał pasji, ale nie spodziewał się, że pasja potrafi być tak potężna. Pragnął tego, o czym opowiadała piosenka Maggie, tymczasem rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania; żadne słowa, żadna melodia nie były w stanie tego oddać. Był pewien, że kiedy przyjdzie zaspokojenie, zniknie napięcie i pożądanie.

Owszem, przyszło fizyczne spełnienie, jakiego do tej pory nie zaznał, ale zdawał sobie sprawę, że wystarczy jeden gest, jedna pieszczota, a wszystko zacznie się od nowa. Czuł, że może uzależnić się od Maggie, i ta świadomość nie dawała mu spokoju. Po co to wszystko? Nie mieli sobie przecież nic do ofiarowania poza wzajemną żądzą.

„Noc szaleństwa” - słowa z jej piosenki.

Nie powinien jej dotykać. Gdyby tylko potrafił się powstrzymać... Wyciągnął rękę.

- Zmarzłaś - szepnął i przygarnął Maggie do siebie.

- Trochę - mruknęła nieswoim głosem. Nie potrafiła wyjaśnić tego, co się z nią działo.

Cliff okrył ją kołdrą i przytulił jeszcze mocniej.

- Teraz lepiej?

- Tak. - Podobnie jak Cliff, czuła się fizycznie nasycona, odprężona, ale w głowie miała mętlik.

Zamilkli. Oboje nie bardzo wiedzieli, jak poradzić sobie z tym, co wybuchło między nimi z tak niespodziewaną siłą. Cliff słuchał, jak krople deszczu uderzają w szybę, zwiększając jeszcze poczucie izolacji. Nawet w czystym powietrzu nie dało się dojrzeć z Morganówki światła najbliższego położonego domu.

- Nie przeszkadza ci to, że mieszkasz na odludziu?

Maggie zjeżyła się. Było jej dobrze, czuła się bezpiecznie, wtulona w Cliffa, nie chciała teraz myśleć o samotnych nocach w wielkim domu.

- Żaden dom w okolicy nie jest tak bardzo odseparowany od innych jak ten. - Czuł jej miękkie włosy na ramieniu i sprawiało mu to przyjemność. - Większość ludzi, nawet tych, którzy mieszkają w Morganville od urodzenia, czułaby się nieswojo w Morganówce, a szczególnie po tym, co się wydarzyło.

Nie chciała o tym ani myśleć, ani rozmawiać. Zamknęła oczy. Zdecydowała się tu zamieszkać pewna, że da sobie radę, gotowa pokonać wszelkie przeszkody.

- Jednak czujesz się nieswojo.

- Nie. - W tej chwili jej największym problemem było to, że nadal pragnie Cliffa. A wydawało się jej, że jest nasycona. Otworzyła na powrót oczy i spojrzała na zapłakane szyby.

- To prawda, że źle spałam przez kilka nocy, od kiedy... Od kiedy zaczęli przygotowywać

miejsce pod oczko wodne. Niezbyt przyjemnie jest wiedzieć, co wydarzyło się tu dziesięć lat temu, a ja mam bujną wyobraźnię.

- Pomaga ci komponować.

- Chyba tak. Pewnej nocy wydawało mi się, że ktoś chodzi po domu.

Cliff przestał gładzić jej włosy. Uniósł się lekko, usiłując dojrzeć oczy Maggie.

- Ktoś był w środku?

- Coś sobie ubrdałam. - Zbyła pytanie wzruszeniem ramion. - Słyszałam trzeszczące deski na strychu, czyjeś kroki, zamykanie i otwieranie drzwi. Omal nie wpadłam w histerię.

Nie podobało mu się to, co usłyszał.

- Nie masz telefonu w sypialni?

- Mam, ale...

Maggie żałowała teraz, że w ogóle wspomniała o tamtej nocy. Cliff zareagował jak przeczulony starszy brat, który wziął sobie za punkt honoru opiekować się postrzeloną siostrzyczką.

- Wyłączyłam telefon w kuchni, odłączając automatycznie aparat na górze. Pracowałam całe popołudnie i nie chciałam... - Postrzelona siostrzyczka, pomyślała znowu i zamilkła na moment. - Bardzo dobrze, że nie mogłam zadzwonić. Rano czułam się jak idiotka.

Ubrdała sobie czy nie, mieszkała tu sama, o czym wiedział każdy w promieniu szesnastu kilometrów.

- Zamykasz drzwi na noc?

- Cliff...

Obrócił się, trzymając Maggie w ramionach, tak że leżała teraz na plecach, i spojrzał jej w oczy.

- Zamykasz drzwi?

- Nie zamykałam, ale szeryf przyjechał i powiedział...

- Stan był u ciebie? Maggie syknęła przez zęby.

- Musisz mi ciągle przerywać?

- Tak. Kiedy Stan cię odwiedził?

- Dzień po tym, jak pojawili się ci ze stanowej. Chciał mi powiedzieć, że zawsze jest gotów służyć pomocą. Sympatyczny. Robi wrażenie faceta, który zna swoje obowiązki.

- Jest dobrym szeryfem.

- Ale? - Maggie wyczuła w głosie Cliffa niewypowiedziane zastrzeżenia.

- Osobiste sprawy - mruknął Cliff i odsunął się. Maggie zrobiło się zimno.

- Joyce - stwierdziła sucho i chciała się podnieść, ale Cliff chwycił ją za rękę.
- Masz zwyczaj niewiele mówić i mnóstwo sobie dopowiadać. Niezwykły talent.
- Bo też niewiele chyba mamy sobie do powiedzenia.
- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Maggie leżała sztywna, ani drgnęła.
- Nie proszę cię o to.
- Akurat.

Cliff rozeźlony usiadł w pościeli, zmuszając Maggie, żeby zrobiła to samo.

- Joyce jest dla mnie jak siostra. Kiedy wychodziła za Stana, ja ją prowadziłem do ołtarza. Jestem ojcem chrzestnym jej najstarszej córki. Przyjaźnimy się od lat, co może trudno ci będzie zrozumieć.

Z Jerrym łączyła ją przyjaźń, która po ślubie zaczęła się kruszyć. Bo też ich małżeństwo było błędem.

- Przeciwnie, rozumiem - powiedziała cicho Maggie. - Nie wiem, dlaczego się o/nia martwisz.

- To moja sprawa.

- Zapewne.

Cliff zaklął pod nosem.

- Joyce przeżywa trudny okres. Nigdy nie chciała zostać w Morganville. Jako młoda dziewczyna, marzyła, że wyjedzie stąd, skończy studia aktorskie.

- Chciała być aktorką?

- Może to były tylko mrzonki. - Cliff wzruszył ramionami. - A może nie. Porzuciła je, kiedy wyszła za Stana, ale nigdy nie czuła się szczęśliwa w Morganville. Między innymi dlatego sprzedała dom, żeby mieć pieniądze na przeprowadzkę. Jednak Stan za nic stąd się nie ruszy.

- Powinni znaleźć kompromisowe rozwiązanie.

- On nie zdaje sobie sprawy, jakie to dla niej ważne, by się stąd wynieść. Miała osiemnaście lat, gdy wyszła za męża. W ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa urodziła troje dzieci. Najpierw musiała ulegać woli ojca, potem zajmować się dziećmi i matką. Ktoś taki jak ty tego nie zrozumie.

- Niedobrze mi się robi! - Maggie wyrwała się z objęć Cliffa. - Mam dość słuchania, jak przyporządkowujesz mnie stereotypowi rozpieszczanej przez życie sławy, która nie ma pojęcia o tym, jak wygląda prawdziwe życie i co mogą czuć tak zwani zwyczajni ludzie. - Nie starała się powściągnąć wściekłości. - Co z ciebie za facet, że idziesz do łóżka z kobietą, dla której nie masz za grosz szacunku?!

Oślupiały po tym gwałtownym wybuchu, Cliff patrzył, jak Maggie zrywa się z łóżka.

- Zaczekaj.

- Nie! Popełniłam dość błędów jak na jeden wieczór. - Zaczęła szukać swojego ubrania. - Dostałeś kolację, przespałeś się ze mną, a teraz się wynoś.

Cliff był nie mniej wściekły od Maggie. Miała rację. Przyjechał tutaj, żeby pójść z nią do łóżka. Zbliżenie nie musi oznaczać bliskości. Nie zamierzał się angażować. Nie interesowało go nic poza jej ciałem. Ledwie to pomyślał, ogarnęło go uczucie dojmującej pustki. Ulotniło się poczucie spełnienia i zadowolenia, które czuł jeszcze przed chwilą. Słyszał przyspieszony oddech Maggie. Sięgnął po swoje ubranie.

- To jeszcze nie koniec - mruknął.

- Nie? - Maggie odwróciła się gwałtownie. Czują łzy napływające do oczu, ale w mroku Cliff nie mógł ich zobaczyć. Wiedziała, co o niej myśli, i postanowiła dowieść mu, że się nie pomylił. - Poszliśmy do łóżka, było miło - rzuciła lekko. - Taki jednorazowy seks nie zawsze się udaje. Jesteś świetnym kochankiem, przyznaję, jeśli to ma podbudować twoje ego.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Niech cię cholera weźmie, Maggie!

- Dlaczego? Bo powiedziałam to pierwsza? - odparowała. - Jedź do domu i prześpij się ze swoimi podwójnymi standardami, Cliff. Mnie one nie są potrzebne.

Cliff opuścił ręce, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Zamknij drzwi na klucz! - zawołał i klnąc, zbiegł ze schodów.

Maggie objęła się ramionami, łzy popłynęły jej po policzkach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez następnych kilka dni Maggie ciężko pracowała. Wywoskowała podłogę w kuchni, położyła trzy kolejne pasy tapety w sypialni, kupiła dywan do pokoju muzycznego i oczyściła ze starej farby framugi w holu.

Wieczorami komponowała, przerywała dopiero wtedy, gdy przestawała widzieć klawisze i nie słyszała już własnej muzyki. Telefon był niemal cały czas wyłączony. W sumie samotnicze życie miało dobre strony. Wykorzystywała czas bardzo produktywnie, nikt jej nie przeszkadzał. Niemal uwierzyła, że nie pragnie niczego więcej.

Za nic nie przyznałaby się, że narzuciła sobie taki morderczy rytm pracy, żeby nie myśleć o nocy z Cliffem. To był błąd, a błędów lepiej nie rozpamiętywać.

Nikogo przez te dni nie widywała, z nikim nie rozmawiała i mówiła sobie, że ten stan może trwać w nieskończoność.

Jednak nawet najbardziej doskonała samotność kiedyś zaczyna uwierać. Właśnie malowała framugę okienną w pokoju muzycznym, kiedy słyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Zastanawiała się, czy nie zignorować niechcianego gościa. Jako początkująca pustelniczka miała do tego pełne prawo. Na widok starego lincolna odstawiła jednak puszkę z farbą i wyszła na spotkanie Louelli Morgan.

Jeśli ostatnim razem Louella przypominała zjawę, to teraz wyglądała jak pozbawiona wieku istota z zaświatów. Zanim weszła na ganek, zerknęła w stronę jaru. Stała przez chwilę bez ruchu, wstrzymując oddech, po czym ruszyła w stronę odgradzającej feralne miejsce siatki. Widząc to, Maggie szybko podeszła.

- Dzień dobry, pani Morgan.

Louella spojrzała na nią i odruchowo poprawiła nienagannie uczesane włosy.

- Musiałam przyjechać.

- Oczywiście. - Maggie się uśmiechnęła, nie do końca pewna, czy to stosowne w tych okolicznościach. - Proszę wejść. Właśnie miałam zrobić kawę.

Louella weszła na ganek, pokonując schodki, którymi pan Bog powinien koniecznie się zająć.

- Sporo się tu zmieniło - zauważyła.

Nie wiedząc, jak się zachować, Maggie uznała, że najlepsza będzie beztroska paplanina.

- Tak, na zewnątrz i w środku. Ci od zieleni pracują znacznie szybciej niż ja. - Maggie musiała uspokoić psa, który pojawił się w drzwiach i zaczął warczeć.

- Te tapety tu były, kiedy się wprowadzaliśmy.
- Louella omiotła spojrzeniem hol. - Zawsze chciałam je zmienić.
- Tak? - Maggie poprowadziła gościa do salonu.
- Może mi pani coś podpowie? Nie podjęłam jeszcze decyzji.
- Jakiś ciepły i delikatny kolor, który sprawi, że ludzie od wejścia będą czuli się tu dobrze.

- Tak. To jest to. - Maggie chciała objąć starszą panią i powiedzieć, że rozumie, ale pomyślała, iż lepiej nie narzucać się z serdecznością.

- Ten dom powinien pachnieć olejkiem cytrynowym i kwiatami.

- Będzie tak pachniał. - Na razie w powietrzu czuło się zapach farby i kurzu.

- Wydawało mi się, że jest stworzony dla dzieci.

- Wodziła wokół niewidzącym wzrokiem, jakby oglądała wnętrze salonu sprzed dwudziestu laty. - Dzieci nadają domom osobowość, odciskają na nich swój ślad.

- Pani ma wnuki, prawda? - Maggie podprowadziła Louellę do kanapy.

- Tak, dzieci Joyce. Najmłodsze poszło już do przedszkola. Czas tak szybko płynie. Obejrzała pani zdjęcia? - zapytała nieoczekiwanie.

- Zdjęcia? - Maggie zmarszczyła brwi. - A tak, zdjęcia. Zerknęłam tylko na nie. Byłam cały czas bardzo zajęta. - Podeszła do kominka i zdjęła z gzymsu kopertę. - Hodowała pani piękne róże. Nie wiem, czy mam równie dobrą rękę do kwiatów.

- Róże wymagają miłości i dyscypliny. Zupełnie jak dzieci.

Maggie uznała, że nie będzie po raz drugi proponować kawy, i usiadła obok Louelli.

- Może razem obejrzymy te zdjęcia. Będę mogła wysłuchać pani uwag.

- Stare fotografie. - Louella wzięła kopertę od Maggie. - Tyle na nich można zobaczyć, jeśli umie się patrzeć. To było robione wczesną wiosną - wyjaśniła, nachylając głowę nad pierwszą odbitką. - Kwitną hiacynty i żonkile.

Maggie bardziej zainteresowali widoczny na zdjęciu mężczyzna i mała dziewczynka niż wiosenne kwiaty. On był wysoki, z szeroką klatką piersiową, o wyrazistej twarzy, ubrany w dodający mu powagi garnitur. Córka miała na sobie sukienkę z falbanami, przepasaną wstążką zawiązaną na wielką kokardę, i lakierki na nogach, do tego kapelusik przybrany kwiatami.

Zdjęcie musiało być robione w czasie Wielkanocy, pomyślała Maggie. Mała uśmiechała się posłusznie do obiektywu. Musiała mieć wtedy jakieś cztery lata i zapewne czuła się nieswojo w eleganckim stroju. William Morgan nie sprawiał wrażenia człowieka

okrutnego, jakim przedstawił go Cliff, ale też z jego twarzy niewiele dało się wyczytać. W każdym razie wydawał się niedostępny, o ile Maggie mogła cokolwiek wyrokować.

- Chciałabym posadzić jakieś cebulki - powiedziała lekkim tonem.

Louella bez słowa podała jej następne zdjęcie, tym razem swoje, z młodości. Uczesanie i suknia wskazywały, że musiało być robione co najmniej przed dwudziestu laty, a sądząc po nieporadnym sposobie kadrowania, jego autorką mogła być Joyce.

- Tu widać róże. - Louella wskazała palcem rozkrzewione kwiaty. - Zmarnowały się. Nie miał kto o nie dbać.

- Ma pani teraz ogród?

- Joyce ma. - Louella odłożyła zdjęcie i sięgnęła po następne. - Czasami coś tam zrobię, ale to nie własny.

- Z całą pewnością, ale Joyce musi być miło, że jej pani pomaga.

- Nigdy tu nie czuła się dobrze - powiedziała Louella bardziej do siebie niż do Maggie.

- Szkoda, że bardziej wrodziła się we mnie niż w swojego ojca.

- To bardzo miła osoba. Mam nadzieję, że będziemy utrzymywały kontakt. Jej mąż wspominał coś o wspólnej kolacji.

- Stan to dobry człowiek. Solidny. Bardzo ją kocha. - Na twarzy Louelli pojawił się blady uśmiech. - I do mnie serdecznie się odnosi.

Odwróciła następne zdjęcie i zeszytniała, uśmiech zamarł, zamieniając się w grymas. Maggie zobaczyła Williama Morgana i młodego Stana; mógł mieć wtedy szesnaście, siedemnaście lat.

Zdjęcie było kolorowe, w tle widoczne drzewa w bogatej jesiennej szacie. Panowie mieli na sobie flanelowe koszule, brunatne kamizelki myśliwskie z maleńkimi kieszonkami na naboje i czapki na głowach. Obaj dzierżyli strzelby.

Szli na polowanie albo z niego wracali. Stali, co zauważyła po chwili, nad jarem koło domu.

- Joyce robiła to zdjęcie - powiedziała Louella. - Chodziła z ojcem na polowania. Nauczył ją trzymać strzelbę, zanim skończyła dwanaście lat. Nienawidziła tego, ale słuchała ojca. Robiła wszystko, żeby go zadowolić. William wygląda na usatysfakcjonowanego - ciągnęła Louella, choć Maggie nie mogła doszukać się tego uczucia na twarzy Morgana. - Lubił polować tutaj w okolicy. A teraz wiemy, że tu zginął. Tutaj. - Położyła dłoń na zdjęciu. - Nie w rzece. Został na swojej ziemi. Chyba zawsze o tym wiedziałam.

Maggie odłożyła zdjęcia i dotknęła lekko ramienia Louelli.

- Pani Morgan, wiem, że to musi być dla pani trudne. Wszystko wróciło. Gdybym mogła jakoś pomóc...

Louella odwróciła głowę i przez długą chwilę wpatrywała się w Maggie.

- Proszę założyć oczko wodne - powiedziała sucho i podniosła się. - Zasadzić kwiaty. Tak powinno być. Reszta to przeszłość.

Maggie wolałaby łyżę niż tę wypraną z emocji odpowiedź.

- Pani zdjęcia... - bąknęła nieporadnie.

- Proszę je zatrzymać. - Louella podeszła do drzwi. - Mnie one po nic.

Maggie stała na ganku i patrzyła za odjeżdżającym samochodem. Czy czuła zwykle, ludzkie współczucie wobec kogoś dotkniętego tragedią, czy też znowu angażowała się w tę ponurą historię? A już niemal udało się jej przekonać samą siebie, że nie ma ze sprawą Morgana nic wspólnego. Po wizycie Louelli nie była tego taka pewna.

To więcej niż zaangażowanie, powiedziała sobie, rozcierając ramiona. Było coś niesamowitego w sposobie, w jaki Louella oglądała zdjęcia. Jakby patrzyła na zmarłych, choć tylko jedna osoba nie żyła.

Znowu ta wyobraźnia. A jednak czy nie było nic dziwnego we wzroku Louelli, kiedy wzięła do ręki ostatnie zdjęcie? Jakby czegoś szukała. Maggie wróciła do salonu i odnalazła kolorowe zdjęcie.

Oto William Morgan. Włosy trochę bardziej przerzedzone, spojrzenie surowsze niż na zdjęciu wielkanocnym. Obok niego Agee, szczupły, przystojny chłopak z potarganymi włosami i beztróskim uśmiechem. Trzyma strzelbę tak, jakby był dobrze obeznany z bronią. Patrząc na niego, Maggie mogła zrozumieć, dlaczego Joyce zakochała się w nim i zrezygnowała z marzeń o sławie i fortunie.

Potrafiła też pojąć, dlaczego Joyce bała się ojca i starała spełniać wszystkie jego życzenia. William Morgan patrzył prosto w obiektyw. Stał w rozkroku, strzelbę trzymał w obu dłoniach. Cliff opisał go jako zimnego człowieka. Chyba rzeczywiście taki właśnie był, ale to nie tłumaczyło, dlaczego akurat to zdjęcie tak poruszyło Louellę. Ani dlaczego ona sama, patrząc na nie, odczuwa niepokój.

Wpatrywała się w fotografię, szukając odpowiedzi na pytania, kiedy usłyszała kolejny nadjeżdżający samochód.

Rzuciła zdjęcie na kanapę i podeszła do okna. Na podjeździe pojawił się pick - up Cliffa. O, nie, tylko nie on.

- Gdy popełnisz błąd, masz to, na co zasłużyłaś - powiedziała do siebie, po czym sięgnęła po pędzel i zaczęła malować framugę. Niech Cliff puka i stuka. Ona jest zajęta.

Ale on nie podszedł do drzwi. Maggie dalej malowała. Nie jej sprawa, co on robi. Chciała się wychylić, dotknęła biodrem parapetu i wysmarowała dzinsy. Klnąc, usiłowała zetrzeć farbę i tylko ją rozmazała.

Nic jej nie obchodzi Cliff Delaney. Jednak kręci się po jej posesji. Powinna wyjść, zapytać, czego on tu szuka, i kazać mu się wynosić. To jej prawo. Odłożyła pędzel. Jeśli przyjechał posłuchać, jak trawa rośnie, mógłby przynajmniej powiedzieć „jestem” - zżymała się, idąc ku drzwiom. A że się nie zaanonsował, nie dał jej satysfakcji, jaką by odczuła, ignorując go.

Otworzyła z impetem drzwi, ale nie zobaczyła Cliffa na trawniku przed domem, jak się spodziewała. Nie było go też przy fuksjach ani przy jałowcu. Być może poszedł na tyły domu, by zobaczyć, jak postępują prace przy umacnianiu zbocza.

Już miała cofnąć się do środka, gdy kątem oka dojrzała jakiś ruch w pobliżu jaru i w pierwszej chwili zdjął ją drzemiący gdzieś głęboko, teraz obudzony strach. Pomyślała o duchach, które nie mogą zaznać spokoju, i skłęła się w myślach za głupotę. Przecież to Cliff. Wściekła i zażenowana własną reakcją, ruszyła w jego stronę.

Podchodząc bliżej, zobaczyła, że sadi maleńką wierzbę. Wykopał dołek jakiś metr od jaru i plantował w nim drzewko. Zdjął koszulę, rzucił na ziemię i Maggie mogła podziwiać grę mięśni na plecach i ramionach, kiedy się pochylał. Wywierał na niej wcale nie mniejsze wrażenie niż przed ich wspólną nocą. Nic się nie zmieniło.

- Co ty robisz?

Musiał wiedzieć, że Maggie się zbliża, bo nie okazał zaskoczenia.

- Sadzę drzewko - odrzekł spokojnie.

- Widzę. Nie przypominam sobie, żebym zamawiała u ciebie wierzbę.

- Nie zamawiałaś. - Przyklepał i wyrównał starannie ziemię wokół sadzonki. - Na koszt firmy.

Zniecierpliwiona, założyła ręce na piersi.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego sadzisz coś, czego nie kupiłam?

Cliff, zadowolony ze swojej pracy, podniósł się. Oparty niedbale o stylisko łopaty, przyglądał się Maggie. Nie, nie uwolnił się od niej. Ciągle czuł to samo napięcie, z którym żył od wielu dni. Spodziewał się, że tak będzie, ale łudził się...

- Możesz to potraktować jako znak pokoju - odparł.

Maggie na te słowa otworzyła usta, po czym zamknęła je na powrót.

Spojrzała na drzewko: było takie młodziutkie, delikatne. Pewnego dnia zobaczy je silne, mocno wrosnięte w ziemię; gałęzie będą się nachylać nad wodą... Hm. Po raz pierwszy

od fatalnego odkrycia pomyślała o oczku. Musiał zdawać sobie z tego sprawę, tak samo jak wiedział, że wierzba pozwoli jej na powrót dostrzec piękno Morganówki. W jednej chwili odeszła ją cała złość na Cliffa.

- Znak pokoju, powiadasz? - powtórzyła, dotykając listka.

Głos brzmiał chłodno, ale w oczach pojawił się ciepły blask. Ciekawe, ilu silnych mężczyzn wykończyła tym ciepłym spojrzeniem - zadał sobie w duchu pytanie Cliff.

- Może. - Wbił łopatę w ziemię. - Masz coś zimnego do picia?

Tak, to były przeprosiny. Jedyne chyba, na które mógł zdobyć się ktoś taki jak Cliff. Przyjęła je bez zastanowienia.

- Może - odrzekła tym samym tonem, po czym odwróciła się i ruszyła do domu. Cliff w jednej chwili dołączył do niej. - Twoi ludzie zrobili świetną robotę - ciągnęła, idąc ku kuchennym drzwiom.

- Mam na myśli zabezpieczenie osypującego się zbocza.

Cliff zignorował jej pochwały.

- Byłaś zajęta?

- Raczej tak. Dom wymaga mnóstwa pracy.

- Widziałaś gazetę?

- Nie. Dlaczego?

Cliff wzruszył ramionami i otworzył siatkowe drzwi.

- Jest wielki artykuł o tym, że znaleziono szczątki Williama Morgana zakopane tuż obok jego domu, który ostatnio kupiła znana kompozytorka.

Maggie wyminęła Cliffa, weszła do kuchni i przy ostatnich słowach odwróciła się gwałtownie.

- Wymieniają moje nazwisko?

- Owszem, kilkakrotnie.

- Cholera! - Zapomniawszy, że Cliff prosił o coś zimnego do picia, opadła na krzesło.

- Chciałam tego uniknąć. - Spojrzała z nadzieją. - To lokalna gazeta?

Cliff podszedł do lodówki i wyjął butelkę mineralnej.

- Morganville nie ma swojej gazety. Artykuły pojawiły się w „Frederick Post” i „Herald Mail”. - Otworzył butelkę i wskazał na zdjętą z widełek słuchawkę. - Gdybyś tego nie zrobiła, dziennikarze nie daliby ci, spokoju.

W ciągu ostatniej doby usiłował się z nią połączyć chyba z tuzin razy i dostawał szału, słysząc za każdym razem zajęty sygnał. Kto zdejmuje słuchawkę z widełek na tak długi czas?

Ktoś, kto jest niezależny od świata zewnętrznego, albo ktoś, kto się przed tym światem ukrywa. Upił łyk wody.

Maggie wstała i położyła z trzaskiem słuchawkę na widełkach.

- Sam powiedziałeś, że ta sprawa mnie nie dotyczy.

- Owszem, tak mówiłem. - Przyjrzał się z zainteresowaniem butelce. - Może uciekasz przed czymś innym? - Podniósł wzrok. - Chowasz się przede mną, Maggie?

- Z pewnością nie. - Podeszła do zlewu i zaczęła zdrapywać farbę z dłoni. - Byłam zajęta.

- Tak zajęta, że nie mogłaś odbierać telefonów?

- Telefony mnie rozpraszaają. Jeśli chcesz znowu się kłócić, zabieraj swój znak pokoju i...

Rozdzwonił się telefon i Maggie zakłęła, zamiast dokończyć zdanie. Zanim zdążyła podejść do aparatu, Cliff już podniósł słuchawkę.

- Tak? - Widział wściekłość w oczach Maggie. Tęsknił za tym w ostatnich dniach, tak jak tęsknił za jej subtelnym zapachem. - Nie, przykro mi, pani Fitzgerald jest zajęta i nie udziela komentarzy. - Odłożył słuchawkę, a Maggie wytarła dłonie o dzinsy.

- Dziękuję uprzejmie, ale potrafię sama splawić dziennikarzy. Kiedy będzie mi potrzebna pomoc, dam ci znać.

Cliff upił kolejny łyk wody.

- Chciałem ci oszczędzić kłopotów.

- Zbędna fatyga. To moje kłopoty i mogę z nimi robić, co mi się podoba.

Cliff uśmiechnął się i w tej samej chwili telefon odezwał się znowu.

- Ani się waż odbierać! - ostrzegła i podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Cholera, Maggie, odłożyłaś słuchawkę. Westchnęła ciężko. Przeprowadzenie z najbardziej upartym dziennikarzem byłoby pewnie łatwiejsza.

- Cześć, C. J. Co słychać?

- Zaraz ci powiem, co słychać! Maggie odsunęła słuchawkę.

- Może wyjdiesz?

Cliff upił kolejny łyk i oparł się wygodnie o blat kuchenny.

- Nie przeszkadzaj sobie - mruknął.

- Maggie! - wrzasnął C. J. - Z kim ty, do cholery, rozmawiasz?

- Z nikim - mruknęła, odwracając się plecami do Delaney. - Miałeś mi powiedzieć, co u ciebie słychać.

- Od dwudziestu czterech godzin usiłuję się do ciebie dodzwonić! To nieodpowiedzialne odkładać słuchawkę. Nie można z tobą się skontaktować.

Na blacie stał talerz z ciastkami, Maggie sięgnęła po jedno i wbiła w nie zęby ze złością.

- Po to właśnie odłożyłam słuchawkę, żeby nie można było ze mną się skontaktować.

- Gdybym tym razem się nie dodzwonił, wysłałbym telegram, chociaż nie jestem pewien, czy doszedłby na to twoje odludzie. Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Pracuję - wycedziła Maggie. - Nie mogę się skupić, telefon bez przerwy dzwoni, ciągle ktoś tu przychodzi. Przeprowadzka była po to, żeby odizolować się od ludzi. Nadal czekam, kiedy to się uda.

- Sympatyczna postawa. - C. J. zaczął szukać na biurku fiołki z środkami uspokajającymi. - Wszyscy się o ciebie martwią. Cały kraj.

- Do cholery, kraj nie musi się o mnie martwić! Świetnie się czuję.

- Słysząc, jak świetnie się czujesz.

Maggie z niejakim wysiłkiem powściągnęła złość. Nie może przegrać z C. J.

- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, C.J., ale nie mogę już słuchać, jak mnie wszyscy krytykują, że robię to, na co mam ochotę.

- Ja cię nie krytykuję. Na litość boską, kto by się nie zmartwił po przeczytaniu takiej historii w gazecie?!

Maggie zeszywniała i spojrzała na Cliffa. Przyglądał się jej uważnie, trzymając nadal butelkę w dłoni.

- Jakiej historii?

- O tym człowieku... Właściwie o tym, co z niego zostało, a co wykopali na twojej posesji. Omal nie dostałem zawału serca, jak to zobaczyłem. A potem nie mogłem się do ciebie dodzwonić...

- Przepraszam. - Przesunęła dłonią po włosach. - Bardzo przepraszam, C. J. Nie przypuszczałam, że sprawa trafi do gazet, w każdym razie nie do kalifornijskich.

- Czego nie wiem, to nie zaboli, tak? Uśmiechnęła się, słysząc urażony ton głosu.

- Mniej więcej. Zadzwoiłabym do ciebie i sama o wszystkim opowiedziała, gdybym przypuszczała, że wiadomość się rozniesie.

- Maggie, wszystko, co w jakiś sposób łączy się z tobą, trafia natychmiast do gazet po obu stronach Atlantyku.

- Właśnie dlatego chciałam zniknąć.

- Przeprowadzka nie zmniejszy zainteresowania mediów twoją osobą.

Maggie westchnęła.

- Najwyraźniej.

- Poza tym to nie ma nic wspólnego z obecnymi wydarzeniami. - C. J. położył rękę na żołądku, zastanawiając się, czy napić się wody, czy whisky.

- Nie widziałam jeszcze gazet, ale jestem pewna, że sprawa została wyolbrzymiona - powiedziała Maggie możliwie spokojnym głosem.

- Wyolbrzymiona? - Znowu odsunęła słuchawkę od ucha. Cliff słyszał teraz wyraźnie głos C. J. - Wykopali koło twojego domu te... kości czy nie?

Skrzywiła się na wspomnienie fatalnego znaleziska.

- Mówiąc dokładnie, pies je wykopał. Natychmiast przyjechała policja, zajęli się sprawą. Mnie ta historia nie dotyczy w najmniejszym stopniu.

Cliff uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

- Maggie, ten człowiek został zamordowany i pochowany na twojej posesji.

- Dziesięć lat temu.

- Wracaj do domu.

Zamknęła oczy, bo w głosie C. J. zabrzmiało błaganie, które trudno było zignorować.

- Jestem w domu, C. J.

- Nie mogę spokojnie spać, wiedząc, że mieszkasz sama na tym cholernym odludziu. Na litość boską, jesteś jedną z najbogatszych, najpopularniejszych kobiet na świecie, zrobiłaś wielką karierę, a zaszyłaś się w jakiejś dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Skoro jestem taka bogata i zrobiłam taką wielką karierę, to mogę mieszkać, gdzie chcę. - Znowu musiała powściągnąć narastającą złość. - Cokolwiek C. J. mówił, jego zatroskanie było prawdziwe.

- Mam bardzo ostrego psa, którego sam mi przysłałeś. - Spojrzała na Zbója śpiącego spokojnie u stóp Cliffa, podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Jestem bezpieczna.

- Gdybyś wynajęła ochroniarza... Parsknęła śmiechem na tę propozycję.

- Znowu marudzisz. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to ochrona. Naprawdę nic mi nie grozi. Mówiła szybko, nie dając C. J. dojść do głosu. - Skończyłam muzykę do filmu, mam mnóstwo pomysłów na nowe piosenki, nawet zastanawiam się na musicalu. Dlaczego nie powiesz mi, że muzyka do filmu jest genialna?

- Wiesz, że jest - wymamrotał C. J. - To prawdopodobnie najlepsza twoja robota.

- Mów jeszcze, moje ego dopomina się pochwał. C. J. westchnął. Skapitulował.

- Kiedy producenci ją usłyszeli, oszaleli z zachwytu. Padła propozycja, żebyś tu przyjechała i wzięła udział w nagraniach.

- Mowy nie ma. - Maggie zaczęła chodzić w tę i z powrotem, na tyle, na ile pozwalała długość kabla.

- Cholera, przyjechalibyśmy, ale w tym twoim Hicksville nie ma przecież studia.

- Morganville - skorygowała łagodnie. - Nie muszę być obecna przy nagraniach.

- Producenci chcą, żebyś to ty nagrała tytułową piosenkę.

- Co?!

- A teraz posłuchaj, zanim odmówisz. - C. J. wyprostował się w fotelu i przybrał ton wytrawnego negocjatora. - Wiem, że nie wykonujesz swoich utworów i nigdy do tego cię nie namawiałem, ale tym razem powinnaś się zastanowić. Ta piosenka to dynamit, Maggie, absolutny dynamit. Nikt nie zaśpiewa jej tak jak ty. Kiedy puściłem kasetę po raz pierwszy, wszyscy byli porażeni.

Zaśmiała się, ale perspektywa była kusząca.

- Znam przynajmniej pięć piosenek, które zrobią to znacznie lepiej. Nie jestem ci do niczego potrzebna.

- Ja znam przynajmniej dziesięć - odparował C.J. - Tyle że żadna nie zaśpiewa tak jak ty. To jest od początku do końca twoja piosenka. Przemysł to jeszcze.

Pomyślała, że jak na jeden dzień C.J. usłyszał od niej zbyt wiele odmownych odpowiedzi.

- Dobrze.

- I daj mi odpowiedź za tydzień.

- C.J....

- Dobrze, za dwa tygodnie.

- Przepraszam jeszcze raz, że nie mogłeś się do mnie dodzwonić.

- Mogłabyś przynajmniej podłączyć automatyczną sekretarkę, chociaż nienawidzę tych maszyn.

- Zobaczę. Trzymaj się, C.J.

- Ty też się trzymaj.

- Jasne. Pa. - Odłożyła słuchawkę i westchnęła ciężko. - Czuję się jak po wizycie na dywaniku u dyrektorki szkoły.

Zmięła ścierkę, po czym starannie ją rozłożyła.

- Potrafisz sobie z nim radzić.

- Lata praktyki.

- Co to za inicjały, C.J.?

- Ciągłe Jęki - mruknęła i pokręciła głową.

- Mówiąc prawdę, nie wiem.

- Zawsze jest taki trudny?

- Zawsze. - Ponownie wzięła ścierkę do ręki.

- Wiadomość o Morganie dotarła już na Zachodnie Wybrzeże. C.J. nie mógł się do mnie dodzwonić i...

- Nie kończąc, spojrzała w okno.

- Znowu jesteś spięta.

Położyła ścierkę na brzegu zlewu.

- Nie.

- Owszem, jesteś. Widzę przecież. - Przesunął dłonią po jej karku i ramieniu. - Czuję.

Maggie powoli odwróciła głowę.

- Nie chcę, żebyś to robił.

Uniósł drugą rękę i zaczął masować jej ramiona. Chciał jej przynieść ulgę czy sam próbował się uspokoić?

- Nie chcesz, żebym cię dotykał? Trudno się powstrzymać.

Czując, że jej opór słabnie, Maggie chwyciła Cliffa za nadgarstki i zaczęła odpychać jego dłonie.

- Spróbuj.

- Próbuję od kilku dni. - Nie przestawał rytmicznie ugniatać twardych mięśni. - Wolałbym z tobą się kochać, niż marnować energię na powstrzymywanie się.

- Nie mamy sobie nic do dania.

Zbliżył usta do jej skroni tak, że czuła na skórze gorący oddech. Westchnęła. Nie chciała tego, a jednocześnie niczego innego nie pragnęła.

- Seks jest...

- Konieczną i bardzo miłą częścią życia - dokończył Cliff i pocałował Maggie.

A więc tak wygląda uwodzenie, pomyślała. Nie próbowała się opierać; poddawała się, miękła. Wiedziała, że kiedy ulegnie całkowicie, do końca, spali za sobą wszystkie mosty.

- Łączy nas wyłącznie łóżko, nic poza tym.

Cliff bardzo chciał wierzyć, że tak jest w istocie. W przeciwnym wypadku byłby do końca życia uwikłany w związek z kobietą, której prawie nie rozumiał. Jeśli miało to być tylko pożądanie, pocieszał się, w końcu potrafi nad nim zapanować. Weźmie, czego pragnie,

bez ponoszenia konsekwencji. Co go obchodzi konsekwencje, kiedy widzi i czuje, jak Maggie reaguje na jego bliskość.

- Chcę cię poczuć - szepnął. - Chcę pieścić twoją skórę, słyszeć bicie twojego serca.

Była gotowa dać mu wszystko, dopóki będzie blisko, póki nie przestanie jej całować, drażnić zmysłów. Zdjął z niej podkoszulek i przesuwał dłońmi po gładkiej skórze.

Maggie przywarła do Cliffa. Miała wrażenie, że zna już na pamięć jego ciało. Pachniał wiatrem, słońcem, ziemią.

- Teraz - powiedziała zdławionym głosem. - Chcę cię teraz.

Zapominając, gdzie są, osunęli się na podłogę. Gdy ponownie odezwał się telefon, żadne z nich nie słyszało uporczywego dźwięku dzwonka. Czy to świadomy wybór, czy zrzączenie losu? To nie było ważne. Nic nie istniało i nie liczyło się poza nimi dwojgiem: kobietą i mężczyzną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cliff nie wiedział, czy minął kwadrans, czy kilka godzin. Próbował określić czas według słońca, ale niczego nie był pewien. Czuł się więcej niż odprężony; zupełnie jakby dostał potężny zastrzyk sił witalnych. Spojrzał na śpiącą obok niego Maggie. Jak przez mgłę pamiętał, że wniósł ją na górę, gdzie oboje padli na łóżko i prawie natychmiast usnęli, wyczerpani i spleceni ze sobą. Tak, to ledwie pamiętał, ale całą resztę...

Na podłodze w kuchni. Przesunął dłonią po twarzy, nie bardzo wiedząc, czy jest bardziej zaskoczony, czy uszczęśliwiony. Chyba jedno i drugie.

Kochał się z nią na podłodze jak napalony nastolatek, który pierwszy raz dotyka kobiety. Kiedy był z Maggie, zapominał, że jest dojrzałym mężczyzną. Wiedział, że nic się nie zmieni, nawet gdyby poszli razem do łóżka sto razy. Miała nad nim niezwykłą władzę, która wyzwalala gorączkę i wykluczała „zachowanie stylu”, cokolwiek pod tym określeniem rozumieć. Korzystając z tego, że Maggie śpi, odgarnął włosy z jej twarzy. Lubił się jej przyglądać, weszło mu to w nałóg. Patrzył na nią z czułością, chciał otoczyć opieką, chronić. Żadna kobieta dotąd nie budziła w nim podobnych uczuć. Niezbyt wygodna była to świadomość.

We śnie Maggie wydawała się taka krucha, bezbronna, delikatna. Nie potrafił się temu oprzeć. W jego ramionach szalała z namiętności, emanowała z niej wtedy niemal niezniszczalna moc. Temu również nie mógł nie ulec.

Kim jest Maggie Fitzgerald? Cliff przesunął palcem po jej wargach. Nie powiedziałby, że jest piękna, ale jej twarz przykuwała uwagę, zapadała w pamięć, fascynowała. Nie spodziewał się po niej ciepła, a jednak potrafiła być serdeczna dla ludzi. Nie przypuszczał, że potrafi być twarda, a jednak tego dowiodła.

Przygarnął ją do siebie, Maggie coś mruknęła i spała dalej. Przekonywał ją, że nie ma nic wspólnego ze sprawą Morgana, ale nie podobało mu się, że mieszka sama w wielkim, stojącym na uboczu domu. Nie pocieszała go świadomość, że Morganville to ciche, senne miasteczko. Nawet najspokojniejsze miasteczka mają swoje tajemnice, jak się właśnie okazało.

Ktokolwiek zabił Williama Morgana, przez dziesięć lat pozostał anonimowy, unikając kary. Chodził najprawdopodobniej ulicami Morganville, dzielił się z sąsiadami codziennymi plotkami, bywał na szkolnych meczach baseballa. Nie było to miłe. Natomiast znacznie groźniejsze, że ten ktoś prawdopodobnie odważy się na wszystko, by zagwarantować sobie

dalsze normalne życie w miasteczku. Być może powiedzenie, że morderca wraca na miejsce zbrodni, jest wyświechtanym banałem, niemniej...

Obudziła się sama w łóżku, lekko zdezorientowana. Czy to już rano? Uniosła dłonie, żeby odgarnąć włosy z twarzy i poczuła słodkie zmęczenie w całym ciele. Całkiem już rozbudzona, przekręciła się na bok: pusto.

Może śniła, że się kochali. Dotknęła pogniecionej pościeli; była jeszcze ciepła, a poduszka pachniała Cliffem.

Tak, kochali się na podłodze w kuchni. Dobrze to pamiętała. Zapamiętała również, jak niósł ją na górę, ostrożnie, niby najcenniejszy skarb. Scena tak odmienna od bezpośrednio ją poprzedzającej... Wspomnienie, które chciała zachować i do którego będzie mogła wracać w czasie długich, bezsennych, samotnych nocy.

Cliff wyszedł bez słowa, bez pożegnania?

Dorośnij wreszcie, Maggie, zbesztala się. Bądź rozsądna. Od początku przecież wiedziałaś, że to nie miłość, tylko pożądanie. Nie ma sensu myśleć o rzeczach niemożliwych, to rodzi jedynie ból. Sentymenty dobre są dla naiwnych marzycielek, a ona wiele wysiłku włożyła w to, żeby nie być naiwną marzycielką.

Nie kocha Cliffa i Cliff jej nie kocha. Nie, nie kocha go, powtórzyła z uporem. Nie może pozwolić sobie na miłość.

Dostrzegała w Cliffie pozytywne cechy, lecz przecież jest nietolerancyjny, niecierpliwy, niemiły. Nie mogłaby zakochać się w kimś takim. Jasno powiedział, że chodzi mu o sprawy czysto fizyczne. Wiedziała od początku, na czym stoi, nie powinna mieć teraz pretensji, że wyszedł bez słowa.

Maggie zasłoniła oczy ramieniem. Bała się, że wykroczyła poza „sprawy czysto fizyczne”. Usłyszała ciche skrzypnięcie nad głową. Powoli opuściła rękę i znieruchomiła. Kiedy odgłos się powtórzył, ogarnęło ją przerażenie. Nie spała i nie śniła, było późne popołudnie, odgłosy dochodziły ze strychu, słuch jej nie mylił.

Wstała i zaczęła się ubierać. Ktoś był w domu i tym razem nie zamierzała chować się w sypialni. Zobacz, kto to i czego szuka. Wzięła stojący obok kominka pogrzebacz i wyszła na korytarz.

Schody na strych znajdowały się po prawej stronie. Maggie zobaczyła, że drzwi są otwarte, mocniej zacisnęła palce na pogrzebaczku i pokonując strach, ruszyła na górę.

W progu zatrzymała się na moment, potem zrobiła ostrożnie krok...

- Maggie, do diabła, mogłabyś zabić kogoś tym pogrzebaczem!

Odkoczyła do tyłu, uderzając plecami o klamkę.

- Co tu robisz?! - napadła na Cliffa.
- Sprawdzam. Kiedy byłeś tu po raz ostatni?
- Jeszcze ani razu tu nie zajrzałam. Cliff pokiwał głową.
- Ktoś jednak był.

Maggie poszła za spojrzeniem Cliffa. Tak jak przypuszczała, na strychu nie było niczego ciekawego poza kurzem i pajęczynami. Stary fotel na biegunach, który zapewne dałoby się odnowić, nadająca się do wyrzucenia kanapa, dwie lampy stojące bez abażurów i duży kufer podróżny.

- Dziwne. Wygląda na to, że nikt nie zaglądał tu od lat.
 - Raczej od tygodnia - poprawił ją Cliff. - Spójrz na to.
- Podszedł do kufra, Maggie za nim.

- Joyce wspominała, że zostało tu trochę bezużytecznych gratów. Przepraszała. Powiedziałam jej, aby się nie przejmowała i że sama je usunę.

- Wygląda na to, że ktoś już cię częściowo wyręczył. - Cliff przykucnął przy starym kufrze, wskazał, o czym mówi.

Maggie nachyliła się, powstrzymując kichnięcie, i zobaczyła odcisk dłoni; ślad, który ktoś zostawił w warstwie kurzu.

- Ale...

Cliff chwycił ją za nadgarstek, kiedy odruchowo wyciągnęła rękę.

- Lepiej nie dotykaj.

- Jednak ktoś tu był. Nie przesłyszałam się. - Spojrzała na Cliffa. - Czego mógł szukać w starym kufrze?

- Dobre pytanie. - Cliff wyprostował się, ale nadal nie puszczał jej ręki.

- Znajdzie się dobra odpowiedź? - próbowała zażartować.

- Trzeba zawiadomić szeryfa. Niech się wypowie.

- Myślisz, że ma to jakiś związek z... tamtą sprawą?

Mówiła spokojnym głosem, ale Cliff czuł jej przyspieszony puls.

- Dość dziwne, że wszystko zbiega się w czasie. Koincydencje to bardzo interesujące zjawisko. Nie lekceważyłbym tej wizyty na strychu.

Tym razem chodziło nie o zbrodnię sprzed dziesięciu lat, lecz o incydent sprzed kilku dni.

- Zadzwoń do szeryfa.
- Ja to zrobię. Maggie zjeżyła się.
- To mój dom.

- Oczywiście - zgodził się Cliff i przesunął dłońmi po jej nagich udach. - Mnie nie przeszkadza, że jesteś półnaga, ale Stana może to trochę dekoncentrować.

- Bardzo śmieszne.

- Nie, bardzo piękne. - Cliff pochylił się i pocałował Maggie; po raz pierwszy delikatnie, niemal czule. Nie poruszyła się i nie odezwała. Patrzyła na Cliffa szeroko otwartymi oczami. - Zadzwoń do niego - powtórzył - a ty się ubierz.

Nie czekając na odpowiedź, zszedł na dół. Maggie, lekko oszołomiona, dotknęła warg palcami. Była to najdziwniejsza rzecz, jakiej mogła się spodziewać po Cliffie. Niewytłumaczalna.

Nie wiedząc, co myśleć, oparła pogrzbacz o drzwi i poszła do sypialni. Nie oczekiwała od aroganckiego Delaney'a czułości. Rozbroił ją całkowicie.

Na agresywną namiętność odpowiadała z pasją. Tu byli sobie równi, obydwoje tracili kontrolę nad emocjami, ale czułość... Co się stanie, jeśli Cliff znowu pocałuje ją w ten sposób? Nietrudno zakochać się w mężczyźnie, który tak całuje.

Ona się nie zakocha, powiedziała sobie, wciągając dzinsy. Wykluczone. Nie zakocha się w Cliffie Delaney'u. On nie jest dla niej. Pragnął wyłącznie...

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie odjechał bez pożegnania. W ogóle nie ruszył się z jej domu.

- Maggie!

- Tak! - odkrzyknęła, patrząc na swoją zaskoczoną twarz w lustrze.

- Stan już jedzie.

- Dobrze. Zaraz zejść. - Za chwilę, dodała w myślach. Usiadła ciężko na łóżku jak ktoś, kto nie ma siły zrobić jednego kroku.

Jeśli się zakochała, lepiej, żeby uświadomiła to sobie już teraz. Jeszcze mogła się wycofać. Czy aby na pewno? Chyba właściwy czas dawno minął. Być może już w momencie, kiedy zobaczyła Cliffa wysiadającego z samochodu przed jej domem.

Co teraz? Zakochała się w człowieku, którego prawie nie zna, nie rozumie i chyba niespecjalnie lubi. On nie czyni najmniejszych starań, żeby ją zrozumieć. A jednak zasadził wierzbę. Co nie znaczy, że między nimi może coś być. Różnili się niemal we wszystkim. W tej chwili nie miała wyboru, mogła tylko słuchać serca i liczyć, że zachowa odrobinę rozsądku. Problem w tym, że nigdy nie potrafiła kierować się rozsądkiem.

Na dole panowała cisza, ale kiedy zeszła do holu, poczuła zapach świeżo parzonej kawy. Zatrzymała się na moment, nie bardzo wiedząc, czy powinna się zirytować, czy raczej

ucieszyć, że Cliff czuje się u niej jak u siebie w domu. Nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie, weszła do kuchni.

- Napijesz się? - zagadnął na jej widok. Stał oparty o blat kuchenny, w swojej ulubionej pozie i popijał kawę.

- Chętnie. Znalazłeś bez kłopotu wszystko, czego szukałeś?

Cliff udał, że nie słyszy sarkazmu w jej głosie, i wyjął z szafki drugi kubek.

- Nie. Nie jadłaś lunchu.

- Z zasady nie jadam lunchów. - Podeszła do Cliffa, wyjęła mu kubek z ręki i sama nalała sobie kawę.

- Ja jadam - stwierdził krótko, po czym otworzył lodówkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

- Obsłuż się - mruknęła i upiła łyk gorącej, parzącej w język kawy.

- Naucz się robić zapasy - pouczył ją Cliff, nie znalazłszy w lodówce nic godnego uwagi. - Zimą, jak przyjdą śniegi, może cię odciąć od świata nawet na tydzień.

- Zapamiętam to sobie.

- Jadasz to? - zapytał, odsuwając pojemniki z jogurtem.

- Wyobraź sobie, że lubię jogurt. - Podeszła, gotowa zamknąć lodówkę, nawet jeśli miałyby mu przytrzasnąć rękę, ale Cliff był szybszy; zdążył wyciągnąć samotne udko kurczaka i cofnął się. - Chciałam zauważyć, że to moja kolacja.

- Chcesz ugryźć? - Podsunął jej skwapliwie kurzą nogę pod nos i Maggie sporo wysiłku kosztowało powściągnięcie uśmiechu.

- Nie.

- Dziwne, ale jak tylko wchodzę do kuchni, od razu robię się głodny. - Cliff odgryzł spory kęs i przeżuwał w zamyśleniu.

Maggie stała w miejscu, gdzie jeszcze niedawno kochali się jak para szaleńców. Jeśli Cliff chciał ją podniecić, to mu się udało. Jeśli próbował odwrócić jej uwagę od tego, co zobaczyli na strychu, też mu się powiodło. Tak czy inaczej nie potrafiła mu się oprzeć.

Podeszła do niego i położyła mu dłonie na piersi. Zapłaci mu teraz pięknym za nadobne.

- Chyba jednak też jestem głodna - powiedziała i dotknęła ustami lekko jego warg.

Cliff nie spodziewał się takiego gestu z jej strony; w pierwszej chwili nie zareagował. Od samego początku to on ją prowokował i uwodził. Ona była damą, zmysłową księżniczką, o jakich mężczyźni śnią w długie noce. Kiedy patrzył teraz w jej ciemne oczy, wydawała mu się bardziej czarownicą. I kto tu w końcu prowokuje i uwodzi?

Sam jej zapach zapierał mu dech w piersiach. Umysł mu się mącił, kiedy jej dotykał. To jedyna kobieta, której pragnie. Jest jak ogień, który nigdy nie zgaśnie.

- Maggie...

Uniósł rękę, żeby ją powstrzymać albo przygarnąć do siebie. Nigdy nie miał się dowiedzieć, bo w tej samej chwili szczeniak zaczął ujadać i usłyszeli odgłos nadjeżdżającego samochodu. Cliff opuścił dłoń.

- To na pewno Stan.

- Tak. - Maggie przyglądała mu się z zainteresowaniem.

- Wpuść go.

- Dobrze. - Jeszcze przez chwilę nie spuszczała wzroku z Cliffa, wyraźnie usatysfakcjonowana widokiem niepewności, malującej się na jego twarzy. - Idziesz ze mną?

- Za moment.

Kiedy wyszła, odetchnął głośno. Zaczynało robić się niebezpiecznie. Nie potrafił powiedzieć dokładnie dlaczego, ale nie czuł się dobrze. Głód go odszedł, odłożył kurczaka, sięgnął po kawę i wypił to, co zostało w kubku, jednym haustem.

Nie mogąc narzekać na nudę, pomyślała Maggie, idąc do drzwi. Szeryf na progu domu, Cliff w kuchni, oszołomiony, jakby dostał w głowę tępym narzędziem. Ona sama w dziwnym uniesieniu - czyżby to było poczucie własnej mocy? Nie wiedziała, co może jeszcze się wydarzyć, ale nic raczej nie zapowiadało spokoju, którego szukała, przenosząc się na wieś. Nigdy w życiu nie czuła takiego przyływu energii jak tutaj.

- Dzień dobry, pani Fitzgerald.

- Witam, szeryfie. - Maggie wzięła psa na rękę, chcąc go uspokoić.

- Ma pani bojowego szczeniaka. - Stan wyciągnął rękę, pozwalając psują obwąchać. - Cliff zadzwonił do mnie. Podobno ktoś włamał się do domu.

- Wszystko na to wskazuje. - Maggie próbowała jednocześnie zamknąć odporne drzwi i spacyfikować szczekającego Zbója. - Ktoś musiał być na strychu w zeszłym tygodniu.

- W zeszłym tygodniu? - Stan zamknął drzwi, po czym położył machinalnie dłoń na kolbie pistoletu. - Dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie wcześniej?

Maggie zrobiło się głupio. Postawiła psa na podłodze, dała mu klapsa w pupę i szczeniak pobiegł do pokoju muzycznego.

- Obudziłam się w środku nocy i usłyszałam jakieś odgłosy. Przeraziłam się, ale rano...

- Urwała i wzruszyła ramionami. - Rano pomyślałam, że się przesłyszałam, i nie wracałam więcej do tej historii.

Stan kiwnął głową, zachęcając Maggie, by mówiła dalej.

- A teraz?

- Wspomniałam Cliffowi, że coś słyszałam, a on poszedł na strych.

- Rozumiem.

- Cześć, Stan. - W holu pojawił się Cliff, spokojny, rozluźniony. - Dzięki, że przyjechałeś.

Ja to powinnam była powiedzieć, pomyślała Maggie, ale zanim zdążyła otworzyć usta, panowie już wdali się w rozmowę.

- Na tym polega moja praca - stwierdził Stan. - Ty sam odwaliłeś tutaj kawał dobrej roboty. Trudno poznać otoczenie domu. Zawsze lubiłeś wyzwania.

Znali się na tyle dobrze, że Cliff w lot pojął, że w słowach Stana kryje się aluzja do Maggie.

- Życie bez wyzwań byłoby nudne.

- Podobno znalazłeś coś na strychu.

- Znalazłem dość, by sądzić, że ktoś tu czegoś szukał.

- Spojrzę.

- Proszę za mną. - Maggie posłała Cliffowi znaczące spojrzenie i pierwsza zaczęła wchodzić po schodach.

Kiedy stanęli przed drzwiami prowadzącymi na strych, Stan spojrzał na pogrzebacz.

- Ktoś może się o niego potknąć - zauważył, chociaż pomyślał zapewne coś innego.

- Zapomniałam zupełnie, że go tu postawiłam.

- Udając, że nie widzi szerokiego uśmiechu Cliffa, Maggie schowała pogrzebacz za plecy.

- Wygląda na to, że dawno nikt tu nie zaglądał.

- Stan zdjął pajęczynę z twarzy.

- Ja byłam dzisiaj pierwszy raz. - Maggie wzdrygnęła się na widok wielkiego pająka spacerującego spokojnie po ścianie. Przed wizytą na strychu powstrzymywała ją przede wszystkim perspektywa spotkania z insektami i myszami. - W domu jest tyle do zrobienia... - Na wszelki wypadek odsunęła się na bezpieczną odległość od pająka.

- Niewiele tego zostało. - Stan potarł brodę. - Kiedy Joyce odziedziczyła dom, zabraliśmy wszystko, co mogło się przydać. - Rozejrzył się. - Skąd może pani wiedzieć, czy czegoś brakuje?

- Nie wiem, ale proszę spojrzeć. - Maggie podeszła do kufra, przykucnęła i wskazała odcisk pozostawiony na zakurzonej desce.

Kiedy Stan nachylił się nad skrzynią, poczuła tanią wodę po goleniu z supermarketu. Rozpoznała ją; takiej samej używał szofer jej matki.

- Ciekawe - mruknął. - Nie otwierała pani tego kufra? - upewnił się na wszelki wypadek, choć było to zbędne.

- Żadne z nas go nie dotykało - odezwał się Cliff.

Stan kiwnął głową, zwolnił mechanizm blokujący zatrzask i uważając na odcisk dłoni, spróbował unieść wieko. Ani drgnęło.

- Zamknięty na zamek. - Tu się zasępił. - Nie pamiętam, co się w nim znajdowało. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy gdzieś jest klucz do tego cholerstwa. Może Joyce będzie wiedziała. A jeszcze prędzej Louella. Chociaż... - Wyprostował się. - Po co jakaś osoba miałaby zakradać się tu i wyjmować coś ze starego kufra, w dodatku teraz, gdy akurat ktoś się wprowadził. Dom tyle lat stał pusty... - Spojrzał na Maggie. - A z dołu nic nie zginęło? Jest pani pewna?

- Nie. W każdym razie nie zauważyłam. Większość moich rzeczy ciągle jeszcze pozostaje nierozpakowana, w skrzyniach i w kartonach.

- Nie zaszkodziłoby sprawdzić.

- Jasne.

Ruszyła ku drzwiom. Wolałaby wiedzieć, gdyby coś zginęło. Ledwie widoczny odcisk dłoni na kufrze przyprowadził ją o dreszcze. Włamanie dla zysku byłoby czymś zwykłym, normalnym, zrozumiałym.

Weszła do sypialni, Stan i Cliff za nią. Zajrzała do kasetki z biżuterią. Niczego nie brakowało. W sąsiednim pokoju stały skrzynie; na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że nikt ich nie ruszał.

- Na piętrze to już wszystko. Jest jeszcze kilka rzeczy na dole i parę obrazów, które dopiero muszę oprawić.

- Spójrzmy.

Cała trójka zeszła na parter.

- Nie podoba mi się to - mruknął Cliff do Stana. - Nie spodziewasz się chyba, że ktoś okradł Maggie?

- Włamanie dla kradzieży to jedyne sensowne wytłumaczenie, Cliff.

- A potrafisz sensownie wytłumaczyć morderstwo Morgana?

Stan spojrzał na schodzącą przodem Maggie.

- Nie zawsze da się znaleźć odpowiedź.

- Powiesz Joyce?

- Pewnie tak. - Stan zatrzymał się u podnóża schodów i pomasaował kark, jakby chciał uwolnić się od napięcia, a może zmęczenia. - To silna kobieta. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo silna. Jak się pobieraliśmy, ludzie gadali, że żenię się z nią dla spadku.

- Nikt, kto cię zna, nie posądziłby cię o to. Stan wzruszył ramionami.

- Plotki ucichły, jak zostałem szeryfem. Ciekawe, czy Joyce kiedyś tak pomyślała.

- Powiedziałyby mi - odparł Cliff, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

Stan zaśmiał się.

- Prawda, powiedziałyby ci. Maggie wyszła z pokoju muzycznego.

- Tutaj też niczego nie brakuje. Mogę jeszcze sprawdzić w salonie, ale...

- Proszę to zrobić - poprosił Stan i stanął w progu pustego niemal pokoju. - Maluje pani? - zapytał, widząc puszkę z farbą i pędzel koło okna.

- Zamierzałam pomalować dzisiaj wszystkie framugi - wyjaśniła, przesuwając wzrokiem po pudłach - ale przyjechała pani Morgan i...

- Louella - wtrącił Stan i zmarszczył czoło.

- Tak. Nie zabawiła zbyt długo - usprawiedliwiła starszą panią Maggie. - Oglądałyśmy zdjęcia, które mi pożyczyła. - Wzięła do ręki plik fotografii. - Miałam ci je pokazać, Cliff. Musisz mi doradzić, jak zaplanować i pielęgnować pnące róże, jak te tutaj.

Maggie zaczęła przerzucać zdjęcia.

- Louella musiała mieć rękę do kwiatów. Jakby rosły same z siebie - dodała. - Nie wiem, czy potrafię jej dorównać.

- Ona kochała ten dom. Ona... - Stan urwał nagle, widząc kolorową fotografię, na którym był on z Morganem. - Zupełnie o niej zapomniałem - rzekł po chwili i dodał: - Joyce ją zrobiła. W dniu rozpoczęcia sezonu na jelenie.

- Louella wspominała, że ojciec uczył Joyce polować.

- Tak, chodziła na polowania - wtrącił Cliff. - Taki kaprys Morgana. On... kochał broń palną.

I od niej zginął, dodała Maggie w myślach i wzdrygnęła się. Odłożyła zdjęcia.

- Nie sądzę, żeby coś zginęło, szeryfie.

- Obejrzę jeszcze drzwi i okna, sprawdzę, czy nie ma śladów włamania.

- Proszę bardzo - zgodziła się Maggie z westchnieniem. - Nie wiem, czy zamknęłam drzwi na noc, a kilka okien na pewno zostawiłam otwartych.

Stan spojrział na nią tak, jak rodzice patrzą na swoje dzieci, kiedy chcą je skarcić za popełnienie niewybaczalnej, acz przewidywalnej głupoty.

- Pomimo wszystko rozejrzę się.

Kiedy wyszedł, Maggie usiadła na kanapie i pogrążyła się w ponurym milczeniu. Straciła nadzieję, że sprawa nocnej wizyty znajdzie wyjaśnienie. Cliff, nie mając nic lepszego do roboty, podszedł do stojącego na kominku zegara i zaczął go nakręcać. Zbój wyczołgał się spod kanapy gotów do zabawy. Kto zakradł się do domu i czego mógł szukać w starym, nieotwieranym od lat kufrze? Dlaczego akurat Cliff znalazł odcisk dłoni? Co sprawiło, że się w nim zakochała? Czy pożądanie wypali się kiedyś? Gdyby potrafiła odpowiedzieć sobie na te pytania, życie wróciłoby do równowagi.

- Nie znalazłem żadnych śladów włamania - oznajmił Stan, wchodząc do salonu. - Po powrocie do biura spiszę raport. Zajmę się tą sprawą, ale...

- Pokręcił głową. - Nic nie mogę obiecać. Radzę, żeby zamykała pani drzwi na noc i założyła zamki z blokadami.

- Zostanę tutaj przez kilka dni - oznajmił Cliff, wprawiając Maggie i Stana w zdumienie. - Maggie nie powinna być teraz sama, chociaż możemy się domyślić, że to, co miało zostać zabrane z domu, już zabrano - dodał, jakby nie zauważył, jaką reakcję wywołała jego wcześniejsza deklaracja.

- Tak. - Stan podrapał się po nosie, ale nie udało mu się ukryć uśmiechu. - Pojadę już. Nie odprowadzajcie mnie.

Maggie nie podniosła się z kanapy, nie powiedziała Stanowi ani „dziękuję”, ani „do widzenia”. Wpatrywała się zdumiona w Cliffa, a kiedy trzasnęły drzwi frontowe, zapytała:

- Co to znaczy, że zostaniesz tu przez kilka dni?

- Musimy kupić koniecznie coś do jedzenia. Nie przeżyję na tym, co masz w lodówce.

- Nie musisz - sarknęła Maggie, zrywając się z kanapy. - Nikt cię nie prosił, żebyś tu zamieszkał. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego musisz mi przypominać, czyj to dom.

- Ja też nie rozumiem, dlaczego musisz mi przypominać.

- Równie dobrze mogłeś wywiesić ogłoszenie na głównej ulicy, że ja i ty...

- Jesteśmy, kim jesteśmy - dokończył Cliff beztrąsko. - Załóż buty, jeśli mamy jechać po zakupy.

- Nie jadę po żadne zakupy, a ty nie zostajesz tutaj!

Cliff podszedł do niej i chwycił za ramiona.

- Owszem, zostaję. Do czasu aż sprawa się wyjaśni, nie możesz być sama.

- Nie potrzebuję opieki. Potrafię zadbać o siebie.

- Zapewne, ale pozwolisz, że teraz nie będziemy tego sprawdzać.

Posłała mu wymowne spojrzenie. Prawdę mówiąc, nie uśmiechała się jej perspektywa samotnej nocy. Pragnęła Cliffa aż za bardzo. Chciał zostać, nalegał, a skoro tak, być może zależało mu na niej trochę, choć za nic by się do tego nie przyznał.

- Pozwolę ci... - zaczęła.

- I tak bym to zrobił.

- Pozwolę ci zostać - powtórzyła lodowatym tonem - ale ty dzisiaj przygotujesz kolację.

Cliff uniósł brwi.

- Nie będę się z tobą kłócił. Coś mi się wydaje, że gotuję lepiej od ciebie.

Maggie przyjęła ocenę z niewzruszonym spokojem, nie zamierzała się obrazić.

- Świetnie. Założę buty.

- Później. - Cliff przewrócił ją na kanapę. - Mamy przed sobą cały dzień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czy to nie śmieszne? Właśnie zaczynała przyzwyczajać się do mieszkania samej i już nie mieszkała sama. Cliff wprowadził się niemal niepostrzeżenie. Był dobrze zorganizowany, a ona zawsze podziwiała takich ludzi, choć z daleka.

Wychodził o świcie, na długo przed tym, zanim była gotowa podnieść się z łóżka i zacząć dzień. Ulatniał się po cichu, nie budząc jej. Czasami, kiedy zeszła wreszcie do kuchni, znajdowała karteczkę. „Znowu odłożyłaś słuchawkę” albo „Mleko się kończy. Kupię kilka kartonów, wracając do domu”.

Trudno powiedzieć, żeby to były listy miłosne. Ludzie pokroju Cliffa nie zwykli przelewać uczuć na papier, jak ona to czyniła. Był to powód ich ustawicznych sporów.

Maggie podejrzewała, że jedyne uczucia, jakie w nim budzi, to zniecierpliwienie i, od czasu do czasu, napady nietolerancji. W każdym razie nie zachowywał się jak zakochany mężczyzna. Nie kupował jej kwiatów, chociaż pamiętała, że zasadził wierzbę. Nie mówił czułych słów, ale czasami w jego oczach pojawiała się coś na kształt czułości. Nie był romantykiem i poetą, ale jedno jego spojrzenie potrafiło powiedzieć więcej niż setki słów.

Zaczynała go, o dziwo, rozumieć, a im lepiej jej to szło, tym trudniej było zapanować nad miłością. On był człowiekiem, którego uczuć nie dało się skanalizować, ona z kolei pozwalała, by uczucia kierowały jej krokami.

Chociaż mieszkała tu dopiero od kilku tygodni, orientowała się już w regułach rządzących życiem Morganville. Cokolwiek zrobiła, docierało natychmiast do powszechnej wiadomości, było dyskutowane i analizowane dopóty, dopóki nie ustalono wspólnego punktu widzenia. Tylko kilka osób mogło podważyć zbiorową opinię. Jedną z nich był Cliff, o ile chciało mu się zabierać głos. Poza nim Stan Agee i kierowniczka poczty. A także, jak szybko odkryła, Bog.

Skala była nieporównywalna, ale zasada ucierania się konsensu w Morganville niewiele różniła się od mechanizmów obowiązujących w kalifornijskim przemyśle muzycznym. Z tą różnicą, że w Los Angeles Maggie była znaną postacią, córką sławnych rodziców, tutaj natomiast obcą, którą miasteczko mogło albo zaakceptować, albo odrzucić. Miała szczęście, bo ci, którzy liczyli się w Morganville, na razie ją akceptowali. Teraz, gdy zamieszkał u niej Cliff, wszystko mogło się zmienić.

U niej. To ogromna różnica. Cliff mieszkał u niej. Nie przeprowadził się. Nie zwiózł do Morganówki swoich rzeczy. Nie rozmawiali o tym, jak długo zamierza zostać. Był niczym nienarzucający się gość, którym nie trzeba specjalnie się zajmować.

Maggie ułożyła kolejny kwadrat i odsunęła się, by ocenić efekt. Kupiła rustykalne kafle o fakturze kamienia, w różnych odcieniach, i teraz zestawiała je swobodnie. Jej dom miał tchnąć swobodą. Chciała zrobić w nim jak najwięcej sama. Spojrzała jeszcze raz na sześć płytek, które udało się jej dotąd ułożyć, i kiwnęła głową z aprobatą; stawiała się fachowcem. Co prawda, bratki zwiędły, ale jak dotąd było to jedyne niepowodzenie Maggie w roli gospodyni, specjalistki od remontów i ogrodniczki.

Zadowolona z siebie, rozważała, czy kłaść kafelki, czy zająć się raczej tapetą w sypialni. Został jej niewielki kawałek ściany. Kiedy skończy, pomyśli, jakie zasłony kupić. Dotąd pozostawiała tego rodzaju decyzje dekoratorowi. Teraz będzie mogła winić wyłącznie siebie za dokonanie niewłaściwego wyboru.

Zaśmiała się, sięgnęła po kolejną płytkę i zaklęła, czując, jak ostry kant kaleczy palec. Oto cena bycia fachowcem, pomyślała, podchodząc do zlewu, żeby zmyć krew. Może powinna zostawić kafelki i zająć się tapetowaniem?

Szczeniak rozszczękał się, co oznaczało, że robota, wszystko jedno, na którą się zdecyduje, będzie musiała poczekać. Zrezygnowana, zakręciła kran, wyjrzała przez okno i zobaczyła zbliżający się samochód porucznika Reikera.

A ten czego znowu ode mnie chce? Powiedziała mu już wszystko. Stała przy oknie i czekała, bo porucznik najwyraźniej się nie spieszył. Szedł powoli ścieżką, którą pracownicy Cliffa ułożyli kilka dni wcześniej, ale zamiast wejść na ganek, zatrzymał się, spojrzał w stronę jaru, wyjął papierosa i zapalił. Stał tak dłuższą chwilę i wpatrywał się w hałdę ziemi, jakby spodziewał się wyczytać z niej odpowiedź na dręczące go pytania, po czym odwrócił się raptownie i spojrzał w okno, w którym stała Maggie. Czując się jak idiotka, poszła przywitać się z gościem.

- Dzień dobry, poruczniku. - Zeszła z ganku i stanęła na ścieżce obok Reikera.

- Witam, pani Fitzgerald. - Porucznik zgasił papierosa i rzucił na pryzmę ziemi przy jarze. - Coraz ładniej. Wierzyć się nie chce, że jeszcze kilka tygodni temu rosły tu chaszczce.

- Dziękuję.

- Widzę, że posadziła pani wierzbę nad jarem. - Reiker nie patrzył w tamtą stronę, tylko na Maggie. - Niedługo będzie pani mogła mieć oczko wodne.

- Czy to znaczy, że zamykacie dochodzenie?

- Tego nie mogę powiedzieć. Pracujemy nad tą sprawą.

Maggie powściągnęła westchnienie.

- Będziecie jeszcze raz przeszukiwać jar?

- Nie sędzę, żeby to było konieczne. Sprawdziliśmy go już dwa razy. Wystarczy.
Rzecz w tym...

- Przerwał i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Nie lubię niedokończonej roboty. Im dłużej zajmujemy się tą sprawą, tym więcej znajdujemy. Po dziesięciu latach trudno wszystko ułożyć w sensowną, spójną całość.

Przyjechał służbowo czy towarzysko? Maggie starała się nie okazywać rozdrażnienia wizytą. Pamiętała, jaki był zakłopotany, kiedy poprosił ją o autograf.

- Mogę w czymś pomóc, poruczniku?

- Ktoś panią odwiedzał ostatnio? Ktoś, kogo pani zna, a może obcy?

- Odwiedzał?

- Morderstwa dokonano tutaj, panno Fitzgerald. Okazuje się, że całkiem sporo osób miało powody życzyć Morganowi śmierci. Wielu z tych ludzi nadal mieszka w miasteczku.

Maggie założyła ręce na piersi.

- Jeśli chce mnie pan przestraszyć, poruczniku, to jest pan na dobrej drodze.

- Nie zamierzam pani straszyć, chcę tylko, żeby zdawała pani sobie sprawę z powagi sytuacji. - Zawahał się i zdecydował zawierzyć własnej intuicji.

- Morgan w dzień upozorowanego wypadku podjął z banku dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Znalaziono samochód, teraz przez przypadek natrafiliśmy na szczątki, ale pieniądze zniknęły bez śladu.

- Dwadzieścia pięć tysięcy. - Duża suma, pomyślała Maggie, dziesięć lat wstecz jeszcze pokazniejsza. - Chce pan powiedzieć, że to był motyw morderstwa?

- Pieniądze zawsze są dobrym motywem. To jeden z niedokończonych wątków. Przesłuchujemy mnóstwo osób, ale to trwa. Tutaj mało kto widział w życiu taką sumę. - Wyjął paczkę papierosów, po czym rozmyślił się i schował ją na powrót do kieszeni. - Mam kilka hipotez...

- I chce pan nimi ze mną się podzielić?

- Morderca był sprytny. Starannie zatarł ślady. Wiedział, że w Morganville nie może afiszować się z takimi pieniędzmi. A może przeraził się i pozbył ich? Mógł też schować je w bezpiecznym miejscu i czekać cierpliwie, aż wszyscy zapomną o sprawie.

- Dziesięć lat to bardzo długo, poruczniku.

- Ludzie potrafią być cierpliwi. To tylko hipotezy.

Maggie zaczęła kojarzyć: strych, kufer, odcisk dłoni.

- Którejś nocy... - zaczęła i zamilkła.

- Coś się wydarzyło?

Naszły ją głupie obiekcje. Powinna mu powiedzieć, ale z drugiej strony czuła, że mówiąc, wplątuje się jeszcze bardziej w sprawę Morgana. Jednak Reiker prowadził dochodzenie.

- Wszystko wskazuje na to, że ktoś zakradł się do domu i wyjął coś ze starego kufra na strychu. Obudziłam się w nocy. Słyszałam kroki, skrzypienie desek, ale rano pomyślałam, że coś sobie ubrdałam. Kilka dni później okazało się, że nie. Zawiadomiłam szeryfa Agee.

- Bardzo słusznie - powiedział porucznik. - I co na to szeryf? Znalazł coś?

- Nie. To znaczy znalazł klucz, a właściwie jego żona znalazła. Wrócił tu następnego dnia, otworzyliśmy kufer. Okazał się pusty.

- Pozwoli pani, że go obejrzę?

Chciała, aby to wreszcie się skończyło, tymczasem brnęła w sprawę Morgana coraz głębiej.

Zrezygowana, Maggie wprowadziła porucznika do domu.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że ktoś trzymałby pieniądze przez dziesięć lat na strychu i zdecydował się zabrać je akurat wtedy, gdy w domu pojawia się nowa właścicielka?

- Kupiła pani dom niemal natychmiast po wystawieniu go na sprzedaż.

- Minął prawie miesiąc, zanim się wprowadziłam.

- Mówią, że pani Agee nie opowiadała nikomu o transakcji. Jej mąż był przeciwny sprzedaży domu.

- Dużo pan wie, poruczniku.

Uśmiechnął się, trochę zakłopotany jak wtedy, kiedy prosił ją o autograf.

- Taki zawód.

Maggie w milczeniu poprowadziła go na piętro.

- Tam są schody na strych. Jeśli to coś wnosi do sprawy, to chcę powiedzieć, że z moich rzeczy nic nie zginęło.

- Jak ten ktoś wszedł do domu? - zapytał porucznik, wspinając się po wąskich, stromych schodach.

- Nie wiem. Nie zamykałam drzwi na noc.

- Ale teraz już pani zamyka?

- Tak.

- Bardzo słusznie. - Reiker podszedł do kufra, przykucnął i zaczął oglądać zamek. Odcisk ręki zdążyła pokryć cienka warstwa kurzu. - Pani Agee znalazła klucz, tak?

- Tak. Ten kufer należał do ostatnich lokatorów domu. Starsze małżeństwo. Kiedy on zmarł, ona przeniosła się do dzieci. Joyce twierdzi, że były dwa klucze, ale znalazła tylko jeden.

- Hm. - Reiker otworzył zamek i zajrzał do środka. I tutaj, jak w jarze, nie znajdziesz już niczego, pomyślała Maggie.

- Uważa pan, że te dwie sprawy się wiążą?

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności - powiedział, powtarzając prawie dosłownie wcześniejsze stwierdzenie Cliffa. - Mówi pani, że szeryf zainteresował się kufrem?

- Tak.

- Porozmawiam z nim w drodze powrotnej. Dwadzieścia pięć tysięcy nie zajmuje dużo miejsca, a to ogromny kufer.

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś zdecydował się trzymać tu taką sumę przez dziesięć lat.

- Ludzie są dziwni. - Reiker podniósł się z niejakim wysiłkiem. - Powtarzam, to tylko hipoteza. Mam jeszcze inną, że kochanka Morgana wzięła pieniądze i uciekła.

- Kochanka?

- Kochanka. Alice Delaney - powiedział Reiker tonem niemal beztróskim. - Trwało to jakieś pięć, może sześć lat. Wystarczy tylko zachęcić trochę ludzi i zaczynają mówić.

- Delaney? - powtórzyła Maggie, mając nadzieję, że się przesłyszała.

- Tak. Człowiek, któremu zleciła pani uporządkowanie posesji, to jej syn. Kolejny zbieg okoliczności. Świat jest ich pełen.

Udało się jej zachować spokój do końca wizyty porucznika. Sprowadziła go na dół, podziękowała uprzejmie za komplementy pod adresem jej twórczości, uśmiechnęła się chyba nawet na do widzenia. Dopiero gdy zamknęła za nim drzwi, pozwoliła, by emocje wzięły górę.

Matka Cliffa była kochanką Morgana przez pięć, sześć lat, po czym zniknęła zaraz po jego śmierci. Cliff musiał wiedzieć o tym związku. Całe Morganville zapewne wiedziało. Maggie ukryła twarz w dłoniach. W co ona się wpakowała?

Pewnie zwariował, ale jadąc do Morganówki, coraz częściej myślał, że wraca do domu. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek tak będzie myślał o tej starej rezydencji na odludziu. Tym bardziej że miał określony stosunek do Morgana. Nie potrafił zapanować nad tym, co się działo, a przecież sam zdecydował, że zamieszka z Maggie i wyprowadzi się, kiedy uzna za stosowne. Powtarzał sobie to od czasu do czasu i czuł się z tą świadomością pewniej.

Kiedy Maggie się śmiała, cały dom jaśniał i robiło się cieplej, gdy była zła, czuło się w powietrzu niezwykłą energię. Kiedy słońce zachodziło i las zasypiał, zaczynała komponować: z pokoju muzycznego dochodziły wtedy powtarzane fragmenty utworu, nuty, pojedyncze słowa i frazy. Podziwiał, że tyle czasu, godzina po godzinie, dzień po dniu, potrafiła spędzić przy fortepianie, pracując bez wytchnienia, z pasją i uczuciem.

Nie przypuszczał, że potrafi być aż tak zdyscyplinowana, gdy szło o muzykę. Od dawna zachwycił go talent Maggie, teraz miał okazję widzieć, ile wysiłku wkłada w komponowanie.

Przy remoncie domu pracowała zupełnie inaczej: zaczynała kilka rzeczy równocześnie, przenosiła się od jednej roboty do drugiej. Porzucała w połowie tapetowanie, nie kończyła malowania sufitu. We wszystkich pomieszczeniach stały nierozpakowane albo częściowo otwarte skrzynie i pudła, w kątach materiały potrzebne do remontu.

Nie znał nikogo, kto byłby do niej podobny. Nie wiedział, jak i kiedy to się stało, ale zaczynał ją rozumieć. Początkowo myślał, że kupiła stary dom na odludziu dla reklamy czy też powodowana chwilową zachcianką, teraz wiedział, że po prostu pokochała Morganówkę od pierwszego wejrzenia.

Być może była trochę rozpieszczona przez życie. Nawykła rozkazywać. Kiedy coś szło nie po jej myśli, jeżyła się albo zamykała w sobie. Cliff uśmiechnął się pod nosem; to samo mógł powiedzieć o sobie.

Musiał oddać Maggie sprawiedliwość. Nie uciekała przed problemami i trudnymi sytuacjami, których nie brakowało, od kiedy tu zamieszkała. Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałby, że zapuszcza korzenie, ale wobec Maggie ciągle miał wątpliwości. I chyba specjalnie je podtrzymywał, a to dlatego że w gruncie rzeczy bardzo pragnął, by została w Morganville. Dobrze było wracać wieczorem do domu, gdzie czekała na niego roześmiana albo nadąsaną Maggie Fitzgerald. Z pewnością nie oddałby tego teraz bez walki.

Wjechał na podjazd i zgasił silnik. Na skarpie zakwitły floksy i wielobarwne petunie, wzeszła delikatna nowa trawa.

Obydwoje włożyli w tę ziemię kawałek siebie i już samo to tworzyło więź, którą trudno byłoby zerwać. Pragnął Maggie ciągle z tą samą siłą i nic tego nie było w stanie zmienić.

Zachmurzył się, nie słysząc dźwięków muzyki. O tej porze Maggie zawsze komponowała. Zwykle siadała do fortepianu około piątej i spędzała przy instrumencie kilka godzin. Spojrzał na zegarek, za dwadzieścia pięć szósta. Zaniepokojony ciszą, nacisnął klamkę frontowych drzwi.

Jak zwykle otwarte, pomyślał z irytacją. Rano zostawił jej karteczkę, że nikt z jego pracowników nie będzie pracował tego dnia na posesji i dlatego ma zamknąć drzwi na klucz. Co za bezmyślność, uznał i pchnął drzwi. Dlaczego Maggie nie może wbić sobie do głowy, że jest w Morganówce odizolowana od ludzi? Zbyt wiele złych rzeczy się wydarzyło, żeby tak lekceważyła własne bezpieczeństwo.

Przywitała go martwa cisza. Nawet pies nie zaszczekał. Intuicja mówiła mu, że w domu nie ma nikogo, ale zaczął zaglądać po kolei do wszystkich pokoi, nawołując Maggie. Głos odbijał się echem w pustych wnętrzach; żadnej odpowiedzi.

Gdzie ona, u diabła, się podziewa? Zdenerwowany wbiegł na piętro, sadząc po dwa stopnie. Zaczynał panikować. Zwykle z samego rana pojawiał się ktoś z ekipy i odjeżdżał dopiero po powrocie szefa. Dbał, żeby Maggie nie zostawała sama. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tego dnia odstąpił od zasady.

- Maggie!

Przerażony przeszukiwał pokoje na piętrze. Na środku dywanu w sypialni leżały pantofle, bluzka przerzucona przez oparcie fotela, na toalecie kolczyki, które zdjęła wieczorem, i szczotka w srebrnej oprawie, z wygrawerowanymi na ręczce inicjałami jej matki. W powietrzu unosił się zapach Maggie.

Kiedy zobaczył nowe kafelki w łazience, odrobinę się uspokoił. Zaczęła, swoim zwyczajem, kolejną robotę, nie kończąc poprzednich, ale gdzie...

W białej umywalce dojrzał kilka kropli krwi; przeniknął go lodowaty dreszcz.

W tej samej chwili usłyszał dochodzące z zewnątrz głośne ujadanie Zbója i rzucił się na dół, ciągle nawołując Maggie.

Zobaczył ją, kiedy wybiegł przez kuchenne drzwi. Szła powoli od strony lasu w towarzystwie rozbawionego szczeniaka, z dłońmi w kieszeniach i pochyloną głową. Odetchnął z ulgą, po czym pobiegł ku niej i chwycił w ramiona, szczęśliwy, że jest cała i zdrowa. Był tak rozemocjonowany, przejęty, że nie zauważył nawet, iż Maggie stoi sztywna.

Wtulił twarz w jej włosy.

- Gdzie ty byłaś?

Oto człowiek, którego zaczynała rozumieć i kochać. Wbiła wzrok w dom.

- Poszłam na spacer.

- Sama? - zapytał bez sensu. - Wyszłaś z domu zupełnie sama?

- To moja ziemia, Cliff. Dlaczego nie miałabym wyjść na przechadzkę?

Chciał warknąć, że mogła zostawić kartkę, ale się pohamował. Co się z nim dzieje?

- W umywalce jest krew.

- Rozciąłam palec o kant kafelka.

- Zwykle o tej porze siedzisz w pokoju muzycznym i komponujesz.

- Nie trzymam się ściśle ustalonych godzin, tak samo jak nie muszę siedzieć kołkiem w domu. Jeśli chcesz mieć potulną kobietkę, która czeka na ciebie w progu, kiedy wracasz wieczorem do domu, poszukaj sobie kogoś innego! - Okręciła się na pięcie i odeszła, zostawiając Cliffa z szeroko otwartymi oczami.

Wszedł do kuchni, akurat kiedy nalewała sobie whisky. Zauważył, że jest bardzo blada i wyraźnie spięta. Tym razem nie próbował wziąć jej w ramiona.

- Co się stało?

Maggie zamieszała szkocką w szklaneczce i upiła spory łyk.

- Nie wiem, o co ci chodzi - burknęła i wyszła z kuchni przed dom.

Wieczór był ciepły, powietrze pachniało. Tutaj przynajmniej nie czuła się jak w klatce. Przeszła kilka kroków i usiadła na trawie. Latem będzie tu siadywała z książką, postanowiła. Na przykład z tomikiem poezji Byrona. Będzie czytała i grzała się w ostatnich promieniach słońca dopóty, dopóki nie zaśnie. Tak sobie planowała, gdy stanął nad nią Cliff.

- Co się dzieje, Maggie?

- Mam zły dzień. Rozkapryszone gwiazdy chyba mogą mieć humory?

Cliff usiadł obok Maggie, ujął pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- O co chodzi?

Wiedziała, że musi mu powiedzieć, nie zważając, co będzie potem.

- Był tu dzisiaj porucznik Reiker - zaczęła, odsuwając dłoń Cliffa.

- Czego chciał? Maggie upiła whisky.

- Powiedział, że nie lubi niezakończonych spraw i niewyjaśnionych wątków. A tu znalazł kilka. William Morgan tuż przed upozorowanym wypadkiem podjął z banku dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Dwadzieścia pięć tysięcy? - powtórzył zdumiony Cliff.

- Nie wiadomo, co się stało z pieniędzmi. Reiker uważa, że morderca je schował i czekał cierpliwie, aż ludzie zapomną o śmierci Morgana.

Cliff wyprostował się, odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na dom.

- Tutaj?

- Niewykluczone.

- Dziesięć lat to kawał czasu. Trzeba sporej cierpliwości - zauważył, ale on też nie lubił niewyjaśnionych wątków. - Powiedziałaś mu o kufrze na strychu?

- Tak. Chciał go obejrzeć.

Dotknął delikatnie jej ramienia, jakby próbował dać do zrozumienia, że nie chce narzucać się ze swoim wsparciem.

- I to wytrąciło cię z równowagi. - Maggie nie odpowiedziała i teraz w nim zaczęło wzbierać napięcie. - Jest coś jeszcze.

- Zawsze jest coś jeszcze. - Maggie spojrzała mu w oczy. - Wspomniiał, że kochanka Morgana zniknęła zaraz po jego śmierci - dodała i poczuła, jak palce Cliffa zaciskają się na jej ramieniu.

- Ona nie była jego kochanką. Moja matka mogła być na tyle nierozsądna, żeby zakochać się w człowieku pokroju Morgana, mogła nawet z nim się przespać, ale nie była jego kochanką.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, tylko czekałeś, aż dowiem się w taki sposób?

- To nie dotyczy ciebie i nie ma nic wspólnego ze znaleziskiem w jarze. - Cliff podniósł się raptownie; wezbrał w nim gniew.

- Kolejny zbieg okoliczności - powiedziała Maggie cicho, nie spuszczać z niego wzroku. - Czy to nie ty twierdziłeś niedawno, że nie wierzysz w zbiegi okoliczności?

Czuł się jak w potrzasku. Powinien wytłumaczyć to, czego nigdy nikomu nie próbował wyjaśnić.

- Po śmierci ojca matka czuła się bardzo samotna i bezradna. Morgan to wykorzystał. Ja mieszkałem wtedy w Waszyngtonie. Gdybym był na miejscu, może potrafiłbym ją powstrzymać. - Wracały dawne urazy. - Ten drań umiał grać na ludzkich słabościach. Kiedy dowiedziałem się, że spotyka się z matką, miałem ochotę go zabić - powiedział pełnym nienawiści tonem. - Była przekonana, że go kocha. Może naprawdę tak było, w każdym razie bardzo zaangażowała się w tę znajomość. Kobiety go kochały. Przyjaźniła się od lat z Louella, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia. Załamała się, kiedy znaleźli jego samochód w rzece.

Ciężko mu było opowiadać, ale Maggie czekała na dalszy ciąg.

- Nie zniknęła. Przyjechała do mnie. Była rozbita, ale znowu widziała wszystko trzeźwo. Wyrzucała sobie, że straciła głowę dla tego drania. Zerwała kontakty ze wszystkimi znajomymi z Morganville. Zdawała sobie sprawę, że ludzie wiedzieli, że plotkowali o niej i Morganie. Nie mogła tego znieść. Mieszka w Waszyngtonie, ułożyła sobie życie i nie chce, by dowiedziała się o tej sprawie.

Maggie zastanawiała się, czy wobec wszystkich kobiet, które zajmowały jakieś miejsce w jego życiu, był taki opiekuńczy. Joyce, matka... Czy i ona gdzieś tu się mieści?

- Rozumiem, co czujesz. Moja matka była dla mnie najdroższą osobą na świecie. Policja próbuje odtworzyć wydarzenia sprzed dziesięciu lat, twoja matka w nich uczestniczyła.

Cliff wiedział, że Maggie nie mówi wszystkiego, co myśli. Usiadł obok niej na powrót i położył jej dłonie na ramionach.

- Zastanawiasz się, jaki ja mogę mieć w nich udział.
- Zostaw mnie. - Chciała wstać, ale przytrzymał ją.
- Mogłem przecież zastrzelić Morgana, żeby chronić matkę.
- Nienawidziłeś go.
- Owszem.

Wpatrywała się w niego uporczywie. Mógł należeć do grona podejrzanych, ale Maggie uwierzyła w to, co zobaczyła w jego szarych oczach.

- Nie - szepnęła i przygarnęła go do siebie. - Rozumiem cię.

Poraziła go ta jej wiara w niego.

- Rozumiesz?

- Może aż za dobrze - szepnęła. - Bardzo się bałam. - Zamknęła oczy i chłonęła znajomy zapach Cliffa. - Teraz, kiedy jesteś ze mną, już się nie boję.

Wystarczyła jedna chwila nieuwagi, by zapomniał o wszystkim, cały świat zniknął i została tylko ona jedna.

- Maggie... - Wsunął palce w jej włosy. - Nie wolno ufać bez zastrzeżeń.

- To nie tak. - Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.

Spodziewała się namiętnego pocałunku, ale usta Cliffa były łagodne i słodkie. Zaskoczona i wzruszona, odsunęła się i spojrzała mu w oczy, które fascynowały ją od samego początku. Długo tak wpatrywali się w siebie, wreszcie Cliff przytulił Maggie do piersi i zaczął wodzić palcem po jej twarzy. To była jedyna twarz, za którą mógł tęsknić i którą chciał zawsze widzieć.

Osunęli się na trawę.

Czułość Cliffa zupełnie rozbroiła Maggie. Zamknęła oczy i poddała się pieszczotom.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W sobotę Maggie wylegiwała się w łóżku, podzemuając, do południa. Czują na policzku ciepły oddech Cliffa. Spał w najlepsze, obejmując ją jedną ręką.

Zakochała się i z satysfakcją odkryła delikatność Cliffa. Wiedziała już, że ta delikatność jest w nim, jest częścią jego natury, chociaż on nie lubi się z tym obnosić.

Nie chciała miłosnych zakłęb, tylko poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji. Kiedy w twoim życiu pojawia się ktoś zdolny do takiej namiętności i takiej czułości, trzeba być skończoną idiotką, żeby coś w nim zmieniać. Przecież nie jestem skończoną idiotką, zakończyła niespieszny monolog wewnętrzny i uśmiechnęła się.

- Co cię rozśmieszyło?

Otworzyła oczy i spojrzała na Cliffa; najwyraźniej nie spał już od dłuższej chwili.

- Dobrze mi - powiedziała, nie przestając się uśmiechać, i wtuliła w Cliffa. - Dobrze mi z tobą.

Przesunął dłonią po jej biodrze, udzie. Tak, jemu też było dobrze.

- Masz taką delikatną, gładką skórę.

Nie mógł pojąć, jak udało mu się przeżyć tyle lat bez Maggie. Przekręcił się i przygniótł ją do materaca.

- Ty przygotujesz śniadanie? - zapytał. Maggie oparła głowę na rękę i posłała mu bezczelne spojrzenie.

- Twierdzisz przecież, że nie umiem gotować.

- Dzisiaj będę tolerancyjny.

- Tak? Co za szczęście.

- Poproszę bekon i jajka sadzone. - Pocałował ją w szyję. - Bekon słabo wysmażony, jajka luźne.

Maggie zamknęła oczy i westchnęła. Chciała zachować tę chwilę za zawsze.

- Ja lubię bekon spieczony na brąz, a jajek nie jadam w ogóle.

- Jajka są zdrowe. - Zajął się uchem Maggie.

- Przytyłabyś trochę. - Znowu przesunął dłonią po jej skórze.

- Narzekasz?

- Odkarmimy cię. Trzy porządne posiłki dziennie i odpowiednie ćwiczenia powinny odnieść skutek.

- Nikt nie potrzebuje trzech posiłków dziennie - zaczęła wyniośle. - Jeśli zaś chodzi o ćwiczenia...

- Lubisz tańczyć?

- Tak, ale...

- Nie masz w ogóle mięśni - stwierdził, szczypiąc ją w ramię. - A jak u ciebie z wytrzymałością?

Maggie posłała mu wymowne spojrzenie.

- Ty powinieneś wiedzieć najlepiej. Cliff zaśmiał się i pocałował ją w usta.

- Masz refleks i cięty język.

- Dziękuję.

- Wracając do tańców. Byłaś kiedyś na wiejskiej zabawie?

- Co?!

- Tak przypuszczałem.

Cliff uznał, że najwyższa pora zabrać się za edukację damy, i zaczął tłumaczyć jej subtelne różnice między country a square dance, ale Maggie zamiast słuchać, zarzuciła mu rękę na szyję.

- Wolę, żebyś mnie pocałował.

Cliff bez zwłoki spełnił jej życzenie, a potem powiedział:

- Chcę iść z tobą na tańce.

Maggie była zadowolona, odprężona i... chyba szczęśliwa.

- Gdzie i kiedy?

- Dzisiaj wieczorem w parku za miastem.

- Dzisiaj wieczorem? - Maggie otworzyła jedno oko. - Tańce w parku?

- Taka tradycja. Obchody Dnia Fundacyjnego i święto wiosny w jednym. Prawie całe miasteczko się zbiera. Tańce do północy, a potem kolacja z tego, co kto przyniósł. A jeszcze potem... - Zamknął dłoń na jej piersi - Znowu tańce do świtu dla najwytrzymalszych.

- Do świtu? - Maggie wygięła się, podniecona.

- Chyba zdarzało ci się już tańczyć do świtu?

Albo powiedział coś nie tak, albo nie takim tonem, bo Maggie zeszywniała. Nie chciał teraz punktować różnic między nimi. W tej chwili chyba nawet ich nie zauważał. Objął ją i przytulił.

- Obejrzymy wschód słońca.

Nic nie mogła poradzić na to, że wątpliwości wracają.

- Nigdy dotąd nie wspominałeś o waszych tradycjach...

- Myślałem, że nie interesują cię wiejskie tańce i składkowe kolacje, ale najwidoczniej się myliłem.

Kolejne przeprosiny. Maggie przyjęła je równie chętnie, jak pierwsze. Uśmiechnęła się znowu i przechyliła lekko głowę.

- Zapraszasz mnie na randkę? Lubił ten kpiący błysk w jej oczach.

- Na to wygląda.

- Przyjmuję zaproszenie.

- Świetnie. - Bezwiednie zaczął kręcić na palcu pasmo włosów Maggie. - Co ze śniadaniem?

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

- Śniadanie przesuwamy na porę lunchu.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale z niecierpliwością wyczekiwała wieczoru poza domem, spędzonego w towarzystwie ludzi. Przekonała się, że może i potrafi żyć samotnie, i nie musi dowodzić sobie bez przerwy własnej niezależności.

Nie podjęła decyzji o przeniesieniu się na odludzie po to, żeby się czegoś nauczyć, a jednak wzięła od życia pewną lekcję: potrafiła zająć się codziennymi sprawami, które zwykle pozostawiała innym.

Teraz nie bardzo wiedziała, czego ma się spodziewać; być może okropnej muzyki i ciepłej lemoniady w papierowych kubkach. Na pewno nie oczekiwała udanego wieczoru.

Zaskoczyła ją liczba samochodów parkujących przy dojeździe do parku. Wyobrażała sobie, że mieszkańcy miasteczka przyjdą na tańce spacerem. Kiedy podzieliła się tą uwagą z Cliffem, wzruszył ramionami i szybko wjechał na wolne miejsce za jakimś żółtym wozem.

- Ludzie przyjeżdżają aż z Waszyngtonu i Pensylwanii.

- Naprawdę? - Maggie wysiadła z samochodu. Słońce już zachodziło. Wieczór był pogodny, ciepły. Tej nocy miała być pełnia. Podała Cliffowi dłoń i ruszyli aleją pod górę do wejścia do parku. Słońce schowało się za górami. Widziała już zachody słońca nad oceanem i w Alpach, na pustyni i w historycznych miastach Europy, ale ten zachód słońca wywarł na niej szczególne wrażenie. Czowała się związana z Morganville, to było już jej miejsce. Powodowana impulsem, zatrzymała się i zarzuciła Cliffowi ręce na szyję.

- A to co? - Zaśmiał się.

- Dobrze mi - odpowiedziała tymi samymi słowami co rano i w tej samej chwili powietrze wypełniła muzyka. Maggie rozpoznała skrzypce, bandžo, gitarę, pianino...

- Wspaniale! - zawołała i pociągnęła Cliffa. - Chodźmy szybko.

W pawilonie parkowym mrowił się tłum - kilka setek ludzi spragnionych zabawy. Kiedy Maggie i Cliff weszli, zaczęły się tańce. Na podium koło orkiestry stanęła jakaś kobieta, która śpiewnym głosem dyrygowała tancerzami, rzucając nazwy kolejnych figur.

Maggie większość słów nic nie mówiła, ale czuła doskonale rytm melodeklamacji i chciała ruszyć w tany.

Przyglądała się przez chwilę tańczącym i w czymś, co wydawało się w pierwszej chwili chaotycznymi płasami, dostrzegła wreszcie porządek i zasadę - układ kroków, sekwencję ruchów. Stała obok Cliffa i patrzyła zafascynowana na parkiet.

Cliff nie przypuszczał, że Maggie zareaguje tak żywo, że się zachwyci. Cieszył się, że ją tu przywiózł i mógł sprawić przyjemność. Z rozpromienioną twarzą kołysała się w rytm muzyki i chłonęła widok tańczących. Nie przypominała Maggie Fitzgerald, hollywoodzkiej sławy z ilustrowanych magazynów.

Kiedy orkiestra umilkła, zaczęła bić brawo jak szalona, a potem ze śmiechem chwyciła Cliffa za rękę.

- Muszę zatańczyć następny taniec, nawet jeśli się wygłupię!

- Słuchaj uważnie wodzirejki i poddaj rytmowi muzyki - poradził Cliff, kiedy szpaler zaczął formować się na parkiecie.

Kobieta przypominała właśnie sekwencję figur. Maggie znowu niewiele zrozumiała, ale starała się zapamiętać przynajmniej kolejność figur, kryjących się pod obco brzmiącymi nazwami. Cliff ją poprowadził i zaczęli tańczyć.

Czuła, że ludzie obserwują ją z zainteresowaniem, ale niewiele sobie z tego robiła. Mieli prawo jej się przyglądać. W końcu po raz pierwszy brała udział w imprezie, na której spotykało się Morganville. W dodatku pojawiła się w towarzystwie Cliffa.

Po kilku minutach na parkiecie miała wrażenie, że przez całe życie brała udział w wiejskich tańcach. Poruszała się z wdziękiem i elegancją i tyle w niej było dziecięcej radości, entuzjazmu, że Cliff musiał po raz kolejny przyznać przed samym sobą, jak bardzo się mylił w ocenie Maggie.

To kwestia okoliczności, próbował się usprawiedliwiać w myślach. Poznali się w niesprzyjających okolicznościach, ot co. Od kiedy zamieszkał z Maggie, czuł się tak, jakby znalazł coś, za czym tęsknił przez całe życie. Wspaniale było budzić się każdego ranka obok niej i wracać wieczorem do domu rozbrzmiewającego jej muzyką. Zapominał, że należą do dwóch różnych światów, że zbyt wiele ich dzieli. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, powtarzał sobie i otwierał ramiona, kiedy roześmiana wirowała ku niemu w tańcu.

Chyba nigdy jeszcze nie bawiła się tak dobrze jak tego wieczoru, nie czuła tak swobodnie i beztrosko. Obróciła się w kolejnej figurze i znalazła naprzeciwko Stana Agee.

- Miło panią widzieć, pani Fitzgerald.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i położyła szeryfowi dłoń na ramieniu.

- Szybko chwyciła pani zasady.

- Wspaniale mi się tańczy - przyznała, ale radość gdzieś zniknęła, wróciło napięcie. - Dopiero teraz widzę, ile dotąd straciłam. - Kątem oka zobaczyła Cliffa tańczącego z Joyce.

- Proszę zarezerwować jeden taniec dla mnie - rzucił jeszcze szeryf, po czym w kolejnej figurze wrócili do swoich partnerów.

Cliff od razu zauważył, że Maggie straciła dobry humor.

- Co się stało?

- Nic. - Nic, powtórzyła w myślach. A właściwie stało się, ale nie potrafiła wyjaśnić co. Może uświadomiła sobie, że zmieniając partnerów w tańcu, kładzie akurat dłoń na ramieniu mordercy? Skąd mogła wiedzieć? To mógł być każdy: agent nieruchomości, który sprzedał jej dom, rzeźnik, od którego wczoraj brała schab, kasjer z banku.

Jeszcze bardziej zaniepokoiła się, kiedy dostrzegła porucznika Reikera. Stał z boku i obserwował ją. Co on tu robi? Po co przyszedł? Czyżby chciał ją ustrzec? Przed czym? Cliff mówił jej, że na doroczne tańce w Morganville przyjeżdżają ludzie nawet z Waszyngtonu. Może porucznik był wielbicielem wiejskich obyczajów? Akurat. Pojawił się tutaj, żeby przyjrzeć się mieszkańcom miasteczka. Wzdrygnęła się. To w końcu jego praca. Wolalaby jednak, żeby go tu nie było.

A oto Louella. Starsza pani tańczyła z wdziękiem i pewną powściągliwością. Była urodzoną tancerką, Maggie musiała to przyznać, ale jej powściągliwość wywoływała niemiłe wrażenie, jakby kryło się pod nią coś, co szuka ujścia.

Znowu puszczasz wodze wyobraźni, powiedziała sobie Maggie. Widzisz rzeczy, których nie ma. Fantazjujesz i przesadzasz, pokpiwała z siebie, ale nadal czuła się nieswojo. Była obserwowana. Przez kogo? Przez Reikera? Stana Agee? Louellę? Joyce? Wszyscy znali się tu nawzajem i wszyscy znali Williama Morgana. Ona była obca. Zjawiała się w Morganville i odkryła tajemnicę, spoczywającą od dziesięciu lat w ziemi. Ktoś musiał mieć jej to za złe. Być może nawet całe miasteczko.

Nagle muzyka wydała się jej zbyt głośna, kroki tańca za szybkie, powietrze duszne. Nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się w ramionach Boga.

- Dobrze pani tańczy, panno Maggie - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Bardzo dobrze - powtórzył z przekonaniem.

Maggie odwzajemniła uśmiech. Jest śmieszna. Nikt nie ma jej nic za złe. Nie powinna doszukiwać się we wszystkim ukrytych znaczeń. Należy brać rzeczy, jakimi są.

- Cudownie się tańczy! - zawołała, przekrzykując śmiechy wokół i dźwięki muzyki. - Mogłabym tak kręcić się godzinami.

Bog zachichotał i puścił ją. Kolejna figura. Muzyka stała się szybsza, jeszcze głośniejsza, ale już jej to nie przeszkadzało, zły nastrój pierzchnął i kiedy taniec wreszcie się kończył, zarzuciła ze śmiechem Cliffowi ręce na szyję.

Cliff rozumiał, skąd wziął się niepokój, który wyczuł u Maggie wcześniej, i pociągnął ją w przeciwnym kierunku od miejsca, gdzie stali Agee i Louella.

- Napiłbym się piwa.

- Świetnie. Popatrzymy sobie na następny taniec. To najwspanialsza impreza w miasteczku.

- Też masz ochotę na piwo?

Maggie uniosła głowę, zmarszczyła brwi.

- A nie wolno mi?

Cliff wzruszył ramionami i podał rozlewającemu piwo chłopakowi pieniądze.

- Piwo jakoś nie pasuje do ciebie.

- Zbyt często myślisz stereotypami. - Maggie przyglądała się, jak piwo płynie z drewnianej beczki do plastikowego kubka.

- Być może - zgodził się Cliff i upił pierwszy łyk. - Dobrze się bawisz, prawda?

- Tak - przyznała ze śmiechem.

Piwo było ciepłe, ale gasiło pragnienie. Znowu rozbrzmiała muzyka, tym razem do kapeli włączyła się mandolina, nadając melodii nieco staroświeckie brzmienie. Maggie zaczęła odruchowo wybijać rytm stopą.

- Sądziłeś, że nie będę? - zapytała zaczepnie.

- Wiedziałem, że zainteresuje cię muzyka. - Cliff oparł się o ścianę i utkwiał spojrzenie w tańczących. - Chciałem wyciągnąć cię z domu. Nie sądziłem jednak, że tak ci się spodobają wiejskie tańce. Jakbyś się do nich urodziła.

- Kiedy w końcu przestaniesz zamykać mnie pod szklanym kloszem, Cliff? Nie jestem kwiatem cieplarnianym ani rozkapryszoną hollywoodzką gwiazdą. Jestem Maggie Fitzgerald i piszę muzykę.

- Chyba wiem, kim jesteś - odparł Cliff, powoli cedząc słowa, i dotknął jej policzka. - Chyba znam Maggie Fitzgerald. Byłoby lepiej i bezpieczniej dla nas obojga, gdybyś żyła jednak pod szklanym kloszem.

Serce zabiło jej szybciej; wystarczyło jedno dotknięcie...

- Przekonamy się. - Stuknęła swoim kubkiem w kubek Cliffa. - Za wzajemne zrozumienie?

- Za wzajemne zrozumienie. - Cliff nachylił się i pocałował ją. - Spróbujmy dać sobie szansę.

- Pani Fitzgerald?

Maggie odwróciła się i zobaczyła młodego człowieka, mnącego w dłoniach filcowy kapelusz. Pochłonięta Cliffem nie zauważyła, że kapela przestała grać.

- A to pan gra na pianinie. - Rozpoznała muzyka. - Był pan świetny.

Chłopak, już wcześniej onieśmielony, zmieszał się i poczerwieniał.

- Ja tylko... Dziękuję - wymamrotał, wpatrując się w Maggie jak w zjawisko.

Ona nie zdaje sobie sprawy, jakie wywiera wrażenie, pomyślał Cliff, upił łyk piwa i spokojnie obserwował pianistę.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem, że pani tu jest.

- Mieszkam tutaj.

Powiedziała to tak zwyczajnie, tak naturalnie, że Cliff przeniósł spojrzenie z muzyka na Maggie. Mówiła to wcześniej, przy różnych okazjach, na dziesiątki odmiennych sposobów, ale tak naprawdę usłyszał chyba po raz pierwszy to proste stwierdzenie. Tak, mieszka tutaj. Zdecydowała się tu osiedlić, podobnie jak on. Nieważne, gdzie mieszkała wcześniej, jak żyła. Teraz była tutaj, bo podjęła taką decyzję. Zamierzała zostać. Wreszcie w to uwierzył.

- Panno Fitzgerald... - Pianista nadal znęcał się nad swoim kapeluszem, szczęśliwy i stremowany. - Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo wszyscy cieszymy się, że pani tu jest. Nie chcemy nalegać, naprzykrzać się, ale gdyby pani zgodziła się zagrać coś, cokolwiek... Choćby fragmencik...

- Mam zagrać?

Chłopak brnął dalej, coraz mniej pewny siebie.

- Chcieliśmy tylko, żeby pani wiedziała... Gdyby miała pani ochotę...

- Nie znam tych melodii - powiedziała Maggie,

kończąc piwo. - Zgodzicie się, żebym improwizowała? Ufacie mi na tyle? Chłopak otworzył usta.

- Pani żartuje.

Maggie zaśmiała się i oddała pusty kubek Cliffowi.

- Zaczekaj tutaj.

Cliff pokręcił głową i ponownie oparł się o ścianę, a Maggie ruszyła z muzykiem na podium dla orkiestry. Ten jej nawyk wydawania rozkazów, myślał rozbawiony. A potem

przypomniał sobie zachwyty w oczach pianisty. Może warto było znosić nawet denerwujące nawyki Maggie.

Grała przez bitą godzinę i odkryła, że akompaniowanie do tańca sprawia jej ogromną przyjemność. Nieznana muzyka stanowiła zupełnie nowe wyzwanie. Już przy drugim kawałku obiecała sobie, że skomponuje podobny utwór.

Z podwyższenia mogła widzieć wszystkich tańczących; odnalazła wzrokiem Louellę, Stana, potem Joyce w parze z Cliffem. A potem dojrzała Reikera: stał oparty o filar, palił papierosa i obserwował uważnie ludzi wirujących na parkiecie.

Kogo szuka? - zastanawiała się Maggie. Nie potrafiła powiedzieć na pewno, ale miała wrażenie, że porucznik śledzi dwie pary: Louellę i Stana oraz Joyce i Cliffa.

Czyżby uważał, że któregoś z tej czwórki zamordowało Morgana? Z jego twarzy nic nie dało się wyczytać. Maggie znowu poczuła się nieswojo. Odwróciła głowę i skupiła się na muzyce.

- Nie przypuszczałem, że pianino ukradnie mi partnerkę - stwierdził Cliff, kiedy skończył się kolejny taniec i muzyka umilkła.

Maggie posłała mu kose spojrzenie.

- Nie narzekasz na brak partnerek.

- Samotny facet to łakomy kąsek. - Chwycił Maggie za rękę i pociągnął. - Głodna?

- A to już północ? - Maggie położyła dłoń na brzuchu. - Strasznie głodna.

Nałożyli kopiaste talerze jedzenia, chociaż w półmroku nie bardzo widzieli, co wybierają, aż nie spróbowali. Usiedli na trawie pod drzewem, jedli, wymieniali uwagi z przechodzącymi ludźmi. Niewymuszona atmosfera, wspólna zabawa, dobra muzyka, jakie to proste, pomyślała Maggie, ciesząc się poczuciem wspólnoty i przynależności. Kiedy skończyła jeść, oparła się o pień drzewa i rozejrzała po tłumie.

- Nie widzę Louelli.

- Stan pewnie odwiózł ją do domu - powiedział Cliff, przelękając kolejny kęs. - Zaraz powinien wrócić. Louella nigdy nie zostaje na tańcach po północy.

- Rozumiem.

- Dobry wieczór, pani Fitzgerald. - Obok Maggie przykucnął Reiker.

- Dobry wieczór, poruczniku.

- Bardzo podobała mi się pani gra. - Uśmiechnął się łagodnie, a Maggie skłęła się w duchu, że jego osoba wywołuje w niej złe emocje. - Od lat jestem wielbicielem pani muzyki.

- Cieszę się, że się panu podobało. - Powinna była na tym poprzestać, ale coś ją podkusiło, by dodać: - Nie widziałam, żeby pan tańczył.

- Ja? - zdziwił się porucznik. - Ja nie tańczę. Moja żona za to uwielbia tańce i wyciągnęła mnie z domu. Nie mogłem jej odmówić.

Maggie odetchnęła. Oto wyjaśnienie obecności Reikera na dorocznej imprezie - proste i jasne. Przyjechał z żoną.

- Większość ludzi, którzy lubią muzykę, lubi też tańczyć.

- Ja lubię, ale moje stopy nie za bardzo. - Porucznik spojrział na Cliffa. - Dziękuję panu za pomoc. Być może uda nam się wyjaśnić kilka wątków.

- Nie ma za co. Drobiazg - odparł Cliff. - Wszystkim nam zależy, żeby ta sprawa została zamknięta.

Reiker skinął głową i podniósł się z niejakim wysiłkiem.

- Mam nadzieję, że zagra pani coś jeszcze. Słuchać pani to prawdziwa przyjemność.

Kiedy porucznik odszedł, Maggie odetchnęła.

- Źle się przy nim czuję, jeżę się natychmiast na jego widok, a przecież on wykonuje tylko swoją pracę. To nie w porządku z mojej strony. - Sięgnęła znowu po talerz i zaczęła jeść. - O co mu chodziło z tą pomocą? - zagadnęła ostrożnie.

- Dzwoniłem do matki. Przyjedzie w poniedziałek, żeby złożyć zeznania.

- To musi być dla niej trudne.

- Nie. - Cliff wzruszył ramionami. - Minęło dziesięć lat. Ta sprawa to już przeszłość dla nas wszystkich. Z wyjątkiem jednej osoby - dodał cicho.

Maggie wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Nie będzie o tym myśleć, nie teraz.

- Zatańcz ze mną - poprosiła, kiedy kapela zaczęła stroić instrumenty. - Do świtu jeszcze daleko.

Tańczyli do zachodu księżyca. Maggie była niezmordowana, w tańcu wyładowywała napięcie i złą energię. Część tancerzy wykruszyła się, inni nabierali wigoru, a kapela nie przestawała grać.

Kiedy niebo zaczęło się przejaśniać, na parkiecie było nie więcej niż sto osób. Słońce wznosiło się powoli spoza gór i było w tym widoku coś mistycznego, jakaś niezwykła potęga. W końcu zespół zagrał ostatniego walca.

Cliff wziął Maggie w ramiona i zaczął z nią wirować. Czuł emanującą z niej energię, ale wiedział, że zaraz po powrocie do domu padnie wyczerpana całonocnym szaleństwem i będzie spała do popołudnia.

Spojrział na różowiące się niebo na wschodzie, potem na uśmiechniętą twarz Maggie i w tej właśnie chwili zrozumiał, że ją kocha.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Maggie, przepelniona muzyką, nie zauważyła, że Cliff jest milczący, zamknięty w sobie.

- Nie wierzę, że to już koniec. Mogłabym tańczyć jeszcze godzinami.

- Sen cię zmorzy, zanim dojedziemy do domu - powiedział Cliff, ale nie odważył się jej dotknąć.

Musiał kompletnie zwariować, żeby zakochać się w kimś takim jak Maggie. W kobiecie, która nie może się zdecydować, czy kłaść tapetę, czy raczej kafelki. Która nawykła wydawać ludziom rozkazy. Która nosi pod spranymi dżinsami jedwabne figi. Stracił rozum.

Ale ta sama Maggie potrafiła przetańczyć z nim całą noc. W drobnym ciele kryła się niezwykła siła i odwaga. Jej muzyka była niebiańska i grzeszna równocześnie. Wiedział przecież od samego początku, że nie uwolni się już nigdy od Maggie. Dlatego tak bardzo walczył z uczuciem.

Umościła się teraz na siedzeniu pick - upa i oparła głowę na ramieniu Cliffa, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie. I była to rzecz najnaturalniejsza w świecie, chociaż niełatwo przychodziło mu to zaakceptować.

- Nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam. Energia uchodziła z niej błyskawicznie. Chyba tylko siłą woli udawało się jej nie zamknąć oczu i nie zapaść natychmiast w sen.

- Ciągle jeszcze masz głowę wypełnioną muzyką.

Spojrzała na Cliffa.

- Chyba rzeczywiście zaczynasz mnie rozumieć.

- Trochę.

- To wystarczy. - Ziewnęła. - Miło było grać dzisiaj do tańca. Do tej pory unikałam publicznych występów. Bałam się. Nie chciałam, żeby porównywano mnie z matką, ale dzisiaj...

Cliff zachmurzył się.

- Chcesz zacząć występować? - Nie był pewien, czy podoba mu się ta perspektywa.

- Nie, w każdym razie nie zamierzam dokonywać rewolucji w swoim życiu. Gdyby ciągnęła mnie estrada, dawno bym się zdecydowała. - Poprawiła się w fotelu. - Ale posłucham rady C. J. i wykonam sama piosenkę tytułową do tego filmu. Kompromis, bo to nagranie, a nie występ. Poza tym mam bardzo osobisty stosunek do tej piosenki.

- Dzisiaj podjęłaś decyzję?

- Korciło mnie od dłuższego czasu. Nie należy trzymać się niewolniczo własnych zasad, to głupie.

Mam ochotę nagrać piosenkę i zrobię to. - Sen ją rzeczywiście zaczynał morzyć, ale dojeżdżali do domu. - To będzie oznaczało, że muszę lecieć na kilka dni do Los Angeles. C. J. się ucieszy. - Zaśmiała się sennie. - Będzie biedak robił wszystko, żeby mnie zatrzymać w Kalifornii.

Cliff poczuł, że ogarnia go panika. Zatrzymał samochód na podjeździe, wyłączył silnik.

- Wyjdź za mnie.

- Co? - Maggie potrząsnęła głową, pewna, że się przesłyszała.

- Wyjdź za mnie - powtórzył Cliff i wziął Maggie w ramiona. - Nagraj choćby całą płytę, ale wyjdź za mnie, zanim polecisz do Kalifornii.

Powiedzieć, że Maggie osłupiała, to mało. Patrzyła na Cliffa, zastanawiając się, które z nich postradało zmysły.

- Chyba nie bardzo cię rozumiem - odezwała się w końcu. - Chcesz, żebyśmy się pobrali?

- Doskonale słyszałaś, co powiedziałem.

Nie mógłby jej stracić właśnie teraz, kiedy zrozumiał, że nie potrafi bez niej żyć. Nie panował nad sobą, nie był w stanie myśleć logicznie. I nie mógł jej puścić bez solennej gwarancji, że wróci. - Nie polecisz do Kalifornii, jeśli za mnie nie wyjdiesz.

Maggie odsunęła się.

- Rozmawiamy o moim nagraniu czy o naszym ślubie? To pierwsze dotyczy mojej pracy, to drugie mojego życia.

Cliff, coraz bardziej rozeźlony spokojem Maggie, kiedy on nie potrafił się kontrolować, chwycił ją za ramiona.

- Od tej chwili twoje życie jest także moim życiem.

- Nie. - Zbyt dobrze znała podobne stwierdzenia. - Nikt nie będzie się mną opiekował, jeśli to właśnie masz na myśli. Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności i takiego poczucia winy.

- Nie wiem, o co ci chodzi! - wybuchnął. - Ja mówię, żebyś za mnie wyszła.

- Otóż to! Ty mi mówisz! - Szarpnęła się do tyłu, w oczach pojawiły się gniewne błyski. - Jerry też oznajmił, że powinnam wyjść za niego, i zrobiłam to, bo sądziłam, że rzeczywiście powinnam. Był moim najlepszym przyjacielem. Pomógł mi dojść do siebie po śmierci rodziców, zachęcał, żebym znowu zaczęła komponować. Chciał się mną opiekować. -

Maggie przeczesła włosy palcami. - Pozwoliłam mu, a potem nasze małżeństwo zaczęło się sypać. Jerry nie potrafił zadbać nawet o samego siebie, a ja nie umiałam mu pomóc. Chciałam i nie umiałam. Nie dam się znowu zamknąć pod kloszem, Cliff. Już nie.

- Twoje pierwsze małżeństwo nie ma tu nic do rzeczy. Podobnie jak zamykanie pod kloszem - odparował Cliff - Wiem, że potrafisz zadbać o siebie. Chcę tylko, abyś została moją żoną.

Maggie zmrużyła oczy; narastała w niej coraz większa złość.

- Dlaczego?

- Bo tak.

- To żadna odpowiedź. - Wyskoczyła z samochodu i zatrzasnęła drzwiczki. - Ochłoń, prześpij się z tym, rób, co chcesz - oznajmiła lodowatym tonem. - Ja idę do łóżka. - Okręciła się na pięcie i weszła na ganek. Kiedy nacisnęła klamkę, Cliff zapalił silnik. Niech jedzie, powiedziała sobie. Nie będzie próbowała go zatrzymywać. Nikt nie będzie nią rządził. Jeśli facet rozkazuje ci, że masz za niego wyjść, jest tylko jedna odpowiedź. Porządny kopniak w zbyt wybujałe ego. Ślub. Ni stąd, ni zowąd ma wyjść za niego. A gdzie miłość? O miłości nawet się nie zająknął. Ślub niby marchewka na kiju. Nie złapie się na taką przynętę. Jeśli naprawdę jej pragnie, niech lepiej się stara.

Kocham cię.

Oparła głowę o drzwi. Nie, nie będzie płakać. Wystarczyło, żeby powiedział te dwa słowa. Zrozumienie? Maggie wyprostowała się. Mają jeszcze bardzo długą drogę do przebycia, zanim pojawi się między nimi choćby cień zrozumienia.

Dlaczego Zbój nie szczeka? Zmarszczyła czoło i zamknęła z niejakim wysiłkiem odporne drzwi. Doskonały pies stróżujący. Zła, ruszyła ku schodom, myśląc o gorącej kąpieli i długim śnie, gdy zatrzymał ją zapach aromatyzowanej świecy. Woń róż? Dziwne. Miała bujną wyobraźnię, to prawda, ale nie aż tak, by zwidywały się jej zapachy. Skierowała się do salonu i zatrzymała w proggu.

W fotelu siedziała Louella: wyprostowana, sztywna, z zasadniczą miną, w tej samej szarej sukni, w której była na tańcach. Dłonie złożyła na kolanach. Była tak blada, że cienie pod oczami wyglądały jak sińce. Patrzyła przed siebie, w przestrzeń, niewidzącym wzrokiem. Na stoliku obok fotela stał wazon z bukietem róż, stąd intensywny zapach, i paliły się świece, właściwie dopalały w stopionej stearynie.

Zaszokowana Maggie, próbowała myśleć trzeźwo. Widać było, że z Louellą dzieje się coś złego, i trzeba obchodzić się z nią delikatnie. Podeszła powoli, ostrożnie, jak do rannego ptaka.

- Pani Morgan - zaczęła cichym głosem i dotknęła ramienia nieoczekiwanego gościa.

- Zawsze lubiłam światło świec - odezwała się Louella. - Jest znacznie miłsze niż światło lampy. Często palę świece wieczorem.

- Są śliczne. - Maggie przyklęknęła koło fotela. - Ale już rano.

- Tak. - Louella spojrzała w okno. - Często przesiaduję do rana. Lubię słuchać odgłosów nocy, leśnej muzyki.

Gdyby Maggie zastanowiła się przez moment, odprowadziłaby Louellę do samochodu, ale jej myśli nie podążyły tym tropem.

- Często przyjeżdża tu pani w nocy?

- Czasami. Jeśli noc jest ciepła i pogodna, idę spacerem. Jako młoda dziewczyna, bardzo dużo chodziłam, wybierałam się na dalekie wycieczki.

- A tutaj, często pani wraca? - Maggie trochę inaczej sformułowała pytanie.

- Wiem, że nie powinnam. Joyce mi powtarza, żebym trzymała się z daleka, ale ja... - Louella westchnęła i uśmiechnęła się smutno. - Ona ma Stana. To bardzo dobry człowiek... Są sobie bardzo oddani. Na tym polega małżeństwo. Trzeba się kochać, być sobie oddanymi, wspierać się.

- Tak - przytaknęła Maggie bezradnie.

- William nie umiał kochać. Po prostu taki już był. Chciałam, żeby Joyce miała kochającego męża, jak Stan.

Louella zamilkła, zamknęła oczy, oddychała płytko. Maggie myślała, że usnęła. Zdecydowana zadzwonić do Joyce, chciała się podnieść, ale Louella otworzyła oczy i chwyciła ją za rękę.

- Śledziłam go tamtej nocy - szepnęła. Teraz patrzyła prosto na Maggie.

- Śledziła go pani? - wykrztusiła.

- Nie chciałam zrobić mu nic złego. Joyce tak bardzo go kochała. On był tutaj. Miał przy sobie pieniądze. Wiedziałam, że planuje coś okropnego, bo on taki był. Należało z tym skończyć. - Zacisnęła konwulsyjnie palce na dłoni Maggie, głowa opadła jej na oparcie fotela. - Oczywiście pieniędzy nie można było zakopać razem z nim. I schowałam je.

- Na strychu.

- W starym kufrze. Potem o nich całkiem zapomniałam. Aż do czasu, kiedy zaczęli kopać w jarze. Wtedy przyjechałam tutaj i zabrałam pieniądze, a potem je spaliłam. Powinnam była to zrobić już wtedy, dziesięć lat temu.

Maggie spojrzała na bezwładną teraz dłoń Louelli. Krucha, drobna dłoń. Czy ta dłoń mogła nacisnąć spust strzelby? Maggie podniosła wzrok i zobaczyła, że Louella zapadła w spokojny sen.

Co robić? - zastanawiała się, odsuwając ostrożnie dłoń Louelli. Zadzwoić na policję? Spojrzała znowu na spokojnie śpiącą starszą panią. Nie, nie potrafiłaby tego zrobić. Zdecydowała się zawiadomić Joyce.

U Ageech nikt nie odpowiadał. Maggie westchnęła. Trudno, musi zadzwonić do Reikera. Zostawiła mu wiadomość na automatycznej sekretarce i wróciła do Louelli.

W progu salonu natknęła się na Stana.

- Och, przestraszył mnie pan.

- Przepraszam. - Stan spojrzał z troską na teściową. - Wszedłem od tyłu. Pies śpi jak zabity w kuchni. Louella dała mu chyba jakiś proszek nasenny, żeby nie hałasował.

Maggie chciała biec do kuchni, ale Stan ją zatrzymał.

- Wszystko w porządku. Nic mu nie będzie. Najwyżej będzie trochę nieprzytomny, jak się obudzi.

- Szeryfie... Stan. - Wybrała mniej oficjalną formę. - Właśnie usiłowałam się do was dodzwonić. Wygląda na to, że Louella siedzi tutaj od dobrych kilku godzin.

- Przepraszam. Bardzo z nią źle, coraz gorzej, od kiedy ta sprawa wybuchła, ale nie chcemy oddawać jej do zakładu.

- Nie. - Dotknęła ramienia Stana. - Mówiła mi, że nie śpi po nocach i... - Maggie zaczęła chodzić po pokoju. Jak powtórzyć to, co usłyszała od Louelli? Stan jest jej zięciem, do tego szeryfem.

- Ja słyszałem wszystko, Maggie. Odwróciła się do niego przejęta, pełna współczucia.

- Co teraz zrobimy? Jest taka słaba, krucha. Nie chcę, żeby karano ją za coś, co wydarzyło się tyle lat temu. Jeśli jednak go zabiła...

- To, co powiedziała, nie musi być prawdą.

- Stan potarł kark.

- To brzmiało logicznie - podjęła Maggie.

- Wiedziała o pieniądzech. Może rzeczywiście schowała je w kufrze, potem zapomniała, wyparła z pamięci, bo przypominało o... - Maggie pokręciła głową. - To jedyne wytłumaczenie czyjejś obecności tamtej nocy w domu, kiedy wystraszyły mnie hałasy. Ona potrzebuje pomocy. Nie policji i prokuratora, ale lekarzy.

Na twarzy Stana odmalowała się ulga.

- Będzie miała pomoc. Najlepszą, jaką uda się nam znaleźć.

Maggie oparła dłonie na stole.

- Ona bardzo cię kocha. Zawsze wyraża się o tobie w najlepszych słowach. Zrobi wszystko, żeby was oboje zadowolić. - Wzrok Maggie padł na leżące na stole zdjęcie, przedstawiające Morgana i Stana. Teraz wszystko się skończy. Louella dość już wycierpiała...

Nie wiedzieć dlaczego przypomniały się jej słowa Reikera: „Znaleźliśmy obrączkę. Bardzo ozdobną, grawerowaną, z trzema maleńkimi brylancikami... Joyce Agee powiedziała nam, że to obrączka jej ojca”.

Ale na zdjęciu William nie miał obrączki, Stan tak.

Podniosła głowę. Stan wiedział, nie musiał patrzeć na zdjęcie. W śmiertelnej panice rzuciła się do ucieczki. Stan dogonił ją, kiedy mocowała się z przekłętymi drzwiami, klnąc w duchu, że tak długo zwlekała z naprawą.

- Uspokój się. - Mówił cicho, z wysiłkiem. - Nie chcę zrobić ci krzywdy. Muszę się zastanowić. - Położył dłoń na kaburze. - Usiądźmy.

Cliff pił już drugą filiżankę kawy, chociaż znacznie chętniej napiłby się whisky. Zrobił z siebie kompletnego idiotę przed Maggie. Skrzywił się na tę myśl i wbił wzrok w laminowany blat baru. Zapach smażonych kiełbasek i jajek sadzonych jakoś nie budził w nim apetytu.

Co on najlepszego zrobił? Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach odpowiedziałaby „tak” na wykrzywane wściekłym głosem oświadczyzny? Nic dziwnego, że Maggie wysłała go do wszystkich diabłów. Z drugiej strony, monologował w duchu, nie należał do kalifornijskiego gwiazdozbioru pięknych oraz bogatych i nie zamierzał dla Maggie zmieniać sposobu bycia. Nie oczekiwał też, że ona zmieni swój. Dokonała tego, zanim pojawił się w jej życiu.

Zaklął, kierując obelgi pod własnym adresem. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto tak szybko zadomowiłby się w nowym miejscu. Niepotrzebnie wpadł w panikę, kiedy wspomniała o wyjeździe do Los Angeles. Przecież wróci. Ta ziemia stała się dla niej ważna i być może to był początek ich więzi, chociaż oboje upierali się, że nie mają ze sobą wiele wspólnego.

Wróci, powtórzył. Okazał się idiotą, myśląc, że ślubem zagwarantuje sobie jej powrót. Maggie do niczego nie można zmusić. Zostanie w Morganville, bo tego chce. I za to ją kocha.

Powinien jej to powiedzieć. Odsunął niedopitą kawę. Powinien był jej powiedzieć, że jest w niej zakochany od wielu tygodni i że uświadomił to sobie dopiero dzisiaj. Kiedy zobaczył jej twarz opromienioną różowym brzaskiem, dech mu zaparło. Spojrzał na zegarek. Rozstali się ponad godzinę temu. Uznał, że zdążyła się wyspać. Kobięcie przed porządnymi

oświadczykami godzina zdrowego snu w zupełności wystarczy. Pogwizdując cicho, rzucił pieniądze na ladę.

Jechał przez miasteczko, nadal pogwizdując, gdy na jezdnię wpadła rozgorączkowana Joyce i zaczęła wymachiwać, by stanął.

- Cliff!

Wyskoczył z samochodu.

- Któreś z dzieci?!

- Nie, nie. - Joyce chwyciła go za ramię. Nadal była w tej samej sukni, co na tańcach, tylko wcześniej starannie ułożone włosy rozsypały się w nieładzie. - Chodzi o mamę - wydusiła wreszcie, łapiąc powietrze. - Nie kładła się dzisiejszej nocy do łóżka. Nie ma jej. Stan też zniknął.

- Znajdziemy Louellę. - Cliff odgarnął jej kosmyki z twarzy tym samym gestem, do którego nawykł, odkąd byli dziećmi. - Pewnie poszła na spacer...

Joyce mocniej zacisnęła palce na ramieniu Cliffa.

- Myślę, że poszła do starego domu. Jestem pewna. To nie pierwszy raz.

Cliff pomyślał o Maggie i ogarnął go niepokój.

- Maggie jest w domu. Zajmie się nią.

- Z mamą jest coraz gorzej i gorzej. - Głos Joyce drżał. - Cliff, wydawało mi się, że robię dobrze, że tak właśnie trzeba.

- O czym ty mówisz?

- Skłamałam, kiedy policja mnie przesłuchiwała. Skłamałam bez zastanowienia, ale wiem, że dzisiaj zachowałabym się tak samo. - Przytknęła na moment palce do nasady nosa, opuściła dłoń i spojrzała na Cliffa z jakimś upiornym spokojem. - Wiem, kto zabił ojca. Wiem od kilku tygodni. Wygląda na to, że mama знаła prawdę od samego początku.

- Wsiadaj - zakomenderował Cliff. Myślał w tej chwili tylko o Maggie, samej na odludziu. - Opowiesz mi wszystko po drodze.

Maggie siedziała na niskiej ławce i wodziła wzrokiem za Stanem, przemierzającym w tę i z powrotem nerwowym krokiem pokój. Chciała wierzyć, że nie zrobi jej krzywdy, ale raz już zabił człowieka, przed dziesięciu laty. Teraz albo będzie musiał zabić znowu, albo odpowiedzieć za swój czyn.

- Byłem przeciwny temu, żeby Joyce pozbyła się domu. - Podszedł do okna i wrócił na środek salonu. - Nigdy tego nie chciałem. Pieniądze nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Jej pieniądze... pieniądze jej ojca. Skąd mogłem wiedzieć, że wystawi Morganówkę na sprzedaż pod moją nieobecność?

Przesunął dłonią po koszuli, zostawiając wilgotne ślady. Pocił się. Maggie poczuła się jeszcze bardziej niepewnie.

- Skłamała z tą obrączką. Maggie zwilżyła wargi.

- Ona cię kocha.

- Nic nie wiedziała. Nie powiedziałem jej... Przez te wszystkie lata milczałem. A teraz stanęła za mną. Czy można prosić o więcej? - Znowu zaczął chodzić w tę i z powrotem i przez długą chwilę skrzywienie żelówek na parkiecie wypełniało głuchą ciszę w pokoju. - Nie zamordowałem go - oznajmił w końcu zmęczonym głosem. - To był wypadek.

Maggie chwyciła się tych słów.

- Zgłosisz się na policję i wyjaśnisz...

- Wyjaśnię? - przerwał jej. - Wyjaśnię, że zabiłem człowieka, pochowałem go i zepchnąłem jego samochód do rzeki? - Przesunął dłońmi po twarzy. - Miałem wtedy dwadzieścia lat - ciągnął. - Chodziłem z Joyce od dwóch lat, ale Morgan od samego początku sprzeciwiał się naszej znajomości i musieliśmy spotykać się w tajemnicy przed nim. Kiedy Joyce zaszła w ciążę, nie mogło być już mowy o sekretach.

Oparł się o okno i spojrzał na Maggie.

- Powinniśmy byli się domyślić, że coś jest nie tak, gdy przyjął wiadomość spokojnie, ale odczuliśmy taką ulgę, byliśmy tacy szczęśliwi, że się w końcu pobierzemy, założymy rodzinę, że nic nie zauważyliśmy. Prosił tylko, byśmy przez kilka tygodni nikomu o niczym nie mówili, a on zajmie się przygotowaniem do ślubu.

Maggie miała przed oczami odpychającą twarz ze zdjęcia.

- Nie zamierzał zajmować się żadnymi przygotowaniem...

- Nie. Byliśmy tak pochłonięci sobą, że nie myśleliśmy o tym, jaki to człowiek. - Stan znowu zaczął chodzić: od okna na środek pokoju i z powrotem.

- Powiedział mi, że w starym domu rozpleniły się świstaki. Byłem młody, chciałem mu się przypodobać. Byłem gotów zrobić wszystko, żeby mnie zaakceptował. Obiecałem, że wezmę strzelbę, pojadę do Morganówki i zrobię porządek ze świstakami.

- Przyjechał przed wieczorem. Słońce już zachodziło. Nie spodziewałem się go. Kiedy wysiadł z samochodu, pomyślałem, że wygląda jak grabarz, w czarnym garniturze, wyglansowanych butach. Miał ze sobą metalową kasetkę, którą postawił na pniu koło jara. Nie owijał w bawełnę i nie tracił czasu. Oznajmił, że nie pozwoli, by takie wiejskie nic jak ja ożeniło się z jego córką. Że wyśle Joyce za granicę. Do Szwecji. Dokądkolwiek. Urodzi dziecko i odda do adopcji. Nie oczekuje, mówił, że zgodzę się za nic. W kasetce jest dwadzieścia pięć tysięcy. Mam je wziąć i zniknąć.

A więc chciał przekupić Stana. Tak, Maggie mogła uwierzyć, że w pojęciu Morgana pieniądze mogły załatwić wszystko.

- Zrobiło mi się czerwono przed oczami. Chciał mi odebrać jedyne, co miało dla mnie znacznie. - Stan otarł pot znad górnej wargi. - Wrzeszczałem, że nie może mi zabrać Joyce i dziecka. Wykrzyczałem, że wyjedziemy, że nie potrzebujemy jego brudnych pieniędzy, a on otworzył wieko i pokazał mi banknoty, jakby myślał, że mnie skusi. Wytrąciłem mu kasetkę z ręki.

Stan oddychał ciężko, znowu przeżywał tamtą chwilę, gniew i rozpacz. Maggie współczuła mu, ale też się bała.

- Ani na chwilę nie stracił zimnej krwi. Schylił się, pozbiierał pieniądze. Myślał, że zaproponował za mało. Nic nie rozumiał. Nie był w stanie. Kiedy zorientował się, że nie wezmę pieniędzy, wziął do ręki moją strzelbę tak spokojnie, jak brał kasetkę. Byłem pewien, że za chwilę mnie zabije i że ujdzie mu to płazem. Myślałem tylko o tym, że nigdy już nie zobaczę Joyce, nigdy nie wezmę na ręce naszego dziecka. Chwyciłem strzelbę, wypaliła nad moim ramieniem. Zaczęliśmy się mocować.

Maggie widziała tamtą scenę, jakby rozgrywała się na jej oczach: chłopiec walczący z . roslým mężczyzną. Zamknęła powieki i zobaczyła sekwencję zdarzeń z filmu, do którego napisała właśnie muzykę i który opowiadał o pragnieniach prowadzących do zbrodni. Przeżycia Stana były prawdziwe i nie potrzebowały oprawy muzycznej.

- Był bardzo silny, ale jakimś sposobem, nie wiem jak, wyrwałem mu broń i upadłem. Nigdy tego nie zapomnę. To jest jak mara senna. Upadam i strzelba wypala...

- To był wypadek. Samoobrona - powiedziała Maggie cicho.

Stan pokręcił głową.

- Miałem dwadzieścia lat, byłem biedny. Zabiłem najważniejszego człowieka w miasteczku. Obok ciała leżała kasetka z dwudziestoma pięcioma tysiącami dolarów. Kto by mi uwierzył? Może spanikowałem, a może postąpiłem rozsądnie, w każdym razie zakopałem ciało w jarze, razem z pieniędzmi. Samochód zepchnąłem do rzeki.

- Louella...

- Nie wiedziałem, że jechała za mną. Znała Morgana lepiej niż ktokolwiek inny i wiedziała, że on nigdy nie zgodzi się na ślub. Widziała wszystko ukryta między drzewami. Nigdy nie doszła w pełni do siebie po tamtym dniu. Z jakichś sobie tylko wiadomych powodów wykopała pieniądze i ukryła je na strychu. Widocznie chciała mnie chronić.

- A Joyce?

- Joyce o niczym nie wiedziała. - Stan pokręcił głową i pociągnął za kołnierzyk koszuli, jakby zrobił się za ciasny. - Nie powiedziałem jej. Musisz mnie zrozumieć. Kocham Joyce, kochałem od dziecka. Zrobiłbym dla niej wszystko. Gdybym jej opowiedział, co zaszło, mogłaby nie uwierzyć, że to był wypadek. Nie potrafiłbym żyć z takim podejrzeniem. Przez całe lata starałem się zadośćuczynić za tamto. Służyłem prawu, naszemu miasteczku. Byłem dobrym mężem, dobrym ojcem.

Wziął leżące na stole zdjęcie i gniótł je w dłoni.

- Ta cholerna fotografia. Byłem w szoku. Dopiero następnego dnia zobaczyłem, że zgubiłem obrączkę. Należała do mojego dziadka. Znaleźli ją dziesięć lat później przy Morganie. Wiesz, jak się czułem, kiedy usłyszałem, że Joyce zidentyfikowała ją jako obrączkę swojego ojca? Rozpoznała ją przecież i stanęła murem za mną. O nic nie pytała, a kiedy jej powiedziałem, co zaszło, uwierzyła bez zastrzeżeń. Tyle lat... żyłem z tym tyle lat.

- Już nie musisz dźwigać ciężaru. - Głos Maggie brzmiał spokojnie, ale nadal się bała. Nie wiedziała, co może się stać. - Ludzie cię znają, szanują. Louella złoży zeznania.

- Louella jest na granicy kompletnego załamania. Nie wiem, czy będzie w stanie zeznawać. Muszę myśleć o Joyce, o mojej rodzinie, reputacji. - Stan położył dłoń na kaburze.

Cliff jechał w stronę Morganówki tak szybko, jak pozwalała na to żwirowa nawierzchnia. Z opowieści Joyce zrozumiał jedno: Maggie, uwikłana w tragedię sprzed lat, jest teraz zdana na samą siebie tylko dlatego, że on zachował się jak idiota. Gdy wziął ostatni zakręt, na drodze pojawił się mężczyzna. Cliff nacisnął na hamulec i klnąc, wyskoczył z samochodu.

- Dzień dobry, panie Delaney. Pani Agee - przywitał się porucznik uprzejmie.

- Gdzie Maggie? - Cliff chciał wyminąć Reikera, ale ten chwycił go za rękę.

- Jest w domu. Czuje się dobrze. Proszę ją zostawić.

- Idę do niej.

- Jeszcze nie teraz - powiedział porucznik stanowczo i zwrócił się do Joyce: - Pani matka i pani mąż też tam są.

- Stan. - Joyce zrobiła krok i zatrzymała się.

- Pani mąż powiedział wszystko pani Fitzgerald. Cliff poczuł lodowaty chłód.

- Dlaczego jej pan stamtąd nie wyprowadził?! - napadł na porucznika.

- Wyprowadzimy ją. Wyprowadzimy ich wszystkich. Spokojnie.

- Skąd pan wie, że on nie zrobi jej nic złego?

- Nie wiem. Jeśli zostanie sprowokowany... Będzie mi potrzebna pani pomoc, pani Agee. Jeśli mąż rzeczywiście kocha panią tak bardzo, jak twierdzi, to teraz wszystko w pani

rękach. - Spojrzał w kierunku domu. - Musiał usłyszeć nadjeżdżający samochód. Lepiej, by wiedział, że pani jest tutaj.

Stan, nie puszczając Maggie, podszedł do otwartego okna. Oddech miał przyspieszony, świszczący i drgał mu nerwowo mięsień na policzku. Maggie zamknęła oczy i pomyślała o Cliffie. Jeśli wróci, wszystko skończy się dobrze.

- Ktoś tam jest. - Stan wskazał głową podjazd przed domem. - Nie pozwolę, abys z kimkolwiek rozmawiała. Rozumiesz chyba, że nie mogę ryzykować.

- Nie będę z nikim rozmawiać. Chcę ci pomóc, Stan. Przysięgam, że chcę pomóc. Jeśli coś mi zrobisz, to nigdy się nie skończy.

- Dziesięć lat minęło... - szepnął. - Dziesięć lat, a on ciągle próbuje zrujnować mi życie. Nie pozwolę!

- Zrujnujesz sobie życie, jeśli mnie zabijesz. - Myśl logicznie. Zachowaj spokój, nakazywała sobie Maggie. Tylko opanowanie może cię uratować. - Tym razem to nie będzie wypadek. Odpowiesz za morderstwo. Nikt już ci nie uwierzy, że jesteś niewinny. Joyce cię nie wesprze.

Wbił tak mocno palce w jej ramię, że przygryzła wargę, aby nie krzyczeć z bólu.

- Joyce stanęła za mną.

- Ona cię kocha. Wierzy w ciebie. Jeśli mnie zabijesz, wszystko się zmieni.

Stan zaczął drzeć, odrobinę rozluźnił palce. W stronę domu szła Joyce. Maggie w pierwszej chwili pomyślała, że to przywidzenie, ale nie, Stan też ją dojrzał.

- Stan. - Joyce położyła dłoń na gardle, jakby chciała wzmocnić głos. - Proszę, wyjdź.

- Nie mieszaj się w to. - Ponownie wbił kurczowo palce w ramię Maggie.

- Jestem zamieszana. Od początku byłam. Wiem, że wszystko, co zrobiłeś, zrobiłeś dla mnie.

- Niech to! - Stan oparł głowę o framugę okna i uderzył kilka razy zaciśniętą dłonią w parapet. - On nie może zniszczyć tego, co razem zbudowaliśmy.

- Nie, nie może. - Joyce podeszła bliżej, ważąc każdy krok. Znała Stana tyle lat i nigdy jeszcze nie słyszała w jego głosie desperacji. - On nie może już wyrządzić nam krzywdy. Jesteśmy razem. Zawsze byliśmy.

- Oni mnie zabiorą. Osądzą i skazą. A ja przecież służyłem prawu...

- Wszyscy o tym wiedzą, Stan. Będę przy tobie. Kocham cię. Jesteś dla mnie wszystkim. Proszę, nie rób nic, czego musiałabym się wstydzić.

Stan wyprostował się, odsunął o krok od okna. Policzek ciągle mu drgał, nad górną wargą zebrały się krople potu. Spojrzał na Joyce, potem w stronę jara.

- Dziesięć lat - szepnął. - Dziesięć lat i ciągle nie ma końca.

Skierował pozbawiony wyrazu wzrok na Maggie, wyciągnął pistolet z kabury. A potem powoli położył go na parapecie.

- Wychodzę - powiedział głuchym głosem. - Idę do mojej żony.

Pod Maggie ugięły się kolana, opadła ciężko na fotel i ukryła twarz w dłoniach. Nie miała siły płakać. W chwilę później była już w ramionach Cliffa.

- Maggie, to było najdłuższe dziesięć minut w moim życiu. Najdłuższe - powtórzył i zaczął obsypywać ją pocałunkami.

Nie potrzebowała tłumaczeń. Był przy niej i tylko to się liczyło.

- Powtarzałam sobie, że przyjedziesz. Tylko dzięki temu wytrwałam.

- Nie powinienem był zostawiać cię samej. - Ukrył twarz w jej włosach.

- Powiedziałam ci przecież, że potrafię zadbać o siebie.

Cliff zaśmiał się; był szczęśliwy, że znów trzyma Maggie w ramionach i wszystko znowu jest, jak było. Tak, jego Maggie potrafi zadbać o siebie.

- Reiker tu był. Wie mniej więcej, co się wydarzyło. Zabrał Louellę, Joyce i Stana.

Maggie przypomniała sobie bladą twarz Louelli, pełne męki oczy Stana, drżący głos Joyce.

- Dość już wycierpieli.

- Być może. - Przesunął dłońmi po ramionach Maggie, jakby chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa. - Gdyby coś ci zrobił...

- Nie. - Maggie pokręciła głową. - Nie mógłby. Nie potrafił. Chcę mieć to oczko wodne, Cliff - oznajmiła z nagłą mocą. - Proszę, żebyś zrobił je szybko.

- Będziesz miała swoje oczko wodne. - Cliff przygarnął ją do siebie. - I mnie będziesz miała. Chcesz mnie?

Spróbuję jeszcze raz, pomyślała. Przekonam się, czy Cliff rozumie.

- Dlaczego miałabym cię chcieć?

- Bo cię kocham - odrzekł i pocałował ją.

- To jest właściwa odpowiedź.



G. Nowotna